

Nancy Myer – Czetli
Steve Czetli

Niemy Świadek

Słowo wstępne

Szczególne wyrazy podziękowania należą się tym odważnym, pozbawionym uprzedzeń detektywom policyjnym i pracownikom aparatu ścigania, którzy podejmując współpracę ze mną, ryzykowali własną reputację, a niekiedy i posadę. Zaslugują oni zaiste na miano prawdziwych pionierów. Wówczas – a były to wczesne lata siedemdziesiąte, kiedy po raz pierwszy namówiono mnie do wykorzystania moich psychicznych możliwości w pracy detektywistycznej – oficerowie dochodzeniowi, których nazwiska wiązano z moim, nękanymi byli różnymi docinkami i dokuczano im na wiele sposobów. Szczęściem, swoistą tarczę ochronną zapewniało im zdrowe poczucie humoru, jakie na ogół dopisuje większości dobrych w swoim zawodzie policjantów, lecz nie były to dla nich lekkie czasy. Jednym złośliwie i wytrwale nucono aluzyjne melodie z filmów fantastycznych – najczęściej motyw piosenki „Czy potrafisz odczytać moje myśli?” Z „*Supermana*”, innym podrzucano na biurka szklane kule lub zdechłe nietoperze. A nawet kiedy nie natrzęsano się z nich otwarcie, byli stale nagabywani o wyciągnięcie ode mnie typowania na najbliższe wyścigi czy też ujawnienie, kto z kim ostatnio sypia; nierzadko stawali się ofiarami całej masy szczeniackich dowcipów.

Jednak szczytem tego szczególnego prześladowania były nagany przełożonych udzielane niektórym funkcjonariuszom za kontakty ze mną. Departamenty policji zazdrośnie strzegą swojej opinii i wcale nie pragną łączenia powagi ich urzędu z jakąś „stukniętą gospodynią domową”. Ci z policjantów, z którymi współpracowałam, organizowali nasze spotkania w ramach swego wolnego czasu, w prywatnych mieszkaniach, a wszelkie koszty musieli, z reguły, pokrywać z własnej kieszeni.

Na szczęście czasy się zmieniły i upadło wiele z dawniejszych uprzedzeń. Dobra robota wykonana wspólnie przez nas przyczyniła się do zdjęcia dużej części odium z pracy detektywistycznej, prowadzonej z wykorzystaniem zdolności parapsychicznych. Mamy nadzieję, iż wydanie tej książki pomoże w lepszym zrozumieniu i wykorzystaniu „niemego świadka”, jakim jest osoba obdarzona zdolnościami wizjonerskiego „uczestniczenia” w okolicznościach przestępstwa bądź trudnych do wyjaśnienia wydarzeniach.

Wspólnie z Nancy pragniemy wyrazić wdzięczność byłym oficerom dochodzeniowym, którzy poświęcili wiele godzin, pomagając nam w odtwarzaniu faktów dotyczących przypadków opisanych w naszej książce. Podziękowania zatem kierujemy do: Carla Williamsa, Grega Sacco, Jaya Ingrahama, Leroya Landona, Eda Heada, Irvina B. Smitha, Jacka Sinesa, Jima Moore’a, Rolf’a Wysocka, Jima Forda, Teda Hawkinsona, Bana Ewinga, Pete’a Sheldona, Raya Deputy’ego, Davida Deputy’ego i państwa Mitchellów. Naszą wdzięcznością obejmujemy również Kitty Williams, która dzięki swej znakomitej pamięci służyła nam pomocą w ułożeniu wydarzeń we właściwej kolejności i podsunęła szereg szczegółów dotyczących zażyłości łączącej rodzinę Williamsów z Nancy.

Dziękujemy także Williamowi Bondsowi, Williamowi Cilimburgowi i Bonnie White za to, iż wielkodusznie zgodzili się przywołać dla nas z pamięci pewne tragiczne i bolesne epizody ze swego życia.

Odnalezienie po siedemnastu latach byłych funkcjonariuszy policji kryminalnej nie jest wcale łatwym przedsięwzięciem choćby z tego względu, że emerytowani policjanci, podobnie jak ich czynni zawodowo koledzy, zwykle zachowują zastrzeżone numery telefonów. Pani Bernice Biddle, sekretarka superintendenta policji stanu Delaware, oraz pani Lisa McNatt z działu kadr wydzwaniały ofiarnie w naszej sprawie, starając się dotrzeć telefonicznie do tych byłych oficerów śledczych, z którymi Nancy straciła kontakt.

Jesteśmy także wdzięczni Charlocie Walker, dyrektorce biblioteki czasopism News Journal Newspaper Library, oraz pracownikom tej instytucji za udostępnienie nam wycinków prasowych odnoszących się do wielu wydarzeń opisanych w niniejszej książce. Dziękujemy również Katherinie Moser, pracownicy biblioteki w Wilmington, za trud włożony w poszukiwanie danych koniecznych do opisanego przypadku Aubreya MacKaya.

Specjalne podziękowania składamy też Phyllis i Jessowi Czetlim.

Rozdział pierwszy

Katastrofa na morzu

3 lipca 1975 roku w Atlantic City w stanie New Jersey wstał ciepły i słoneczny ranek. Zaczynał się nowy dzień, taki sam jak czternaście minionych, które trójka żeglarzy spędziła na trasie, płynąc z jeziora Erie przez Barge Canal ku Intracoastal Waterway i Coral Gables na Florydzie.

Dzień ten miał być punktem zwrotnym rejsu – szczęśliwe przybycie wieczorem do brzegu oznaczać będzie, że najniebezpieczniejszą część podróży załoga zostawi za sobą. Zanim zmierzchn zapadnie, żeglarze opłyną wybrzeże New Jersey, wpłyną w głąb zatoki Delaware i w górę, ku ujściu rzeki Delaware, potem kanałem dotrą do zatoki Chesapeake i dalej do Intracoastal Waterway. A wtedy zdradliwy i niebezpieczny Atlantyk zostanie już za nimi.

Frank Abel, właściciel jedenastometrowej płaskodennej łodzi mieszkalnej, którą nazwał „wesołym domem”, wstał jak zwykle pierwszy, by zaplanować trasę na cały dzień rejsu. Około siódmej zwlekł się z koi dwaj pozostali członkowie załogi: Lee Cilimburg i Bill Bonds. Pomogli spuścić łódź na wodę, a potem wgramolili się z powrotem na swoje posłania, aby złapać jeszcze parę godzin snu.

Obaj chłopcy, liczący sobie po dziewiętnaście lat, swoim zwyczajem spędzili miniony wieczór na penetrowaniu miasta. W 1975 roku Atlantic City nie było jeszcze mekką gier hazardowych wschodniego wybrzeża, ale dla młodych ludzi, pochodzących z przedmieścia Cleveland, to owiane legendą miejsce miało do zaoferowania mnóstwo atrakcji.

Wspólna żegluga nieoczekiwanie zbliżyła do siebie młodzieńców, którzy dotychczas mieli ze sobą niewiele wspólnego, choć obaj byli zapaśnikami drużyn w rywalizujących szkołach średnich, a ich rodzice należeli do tego samego jachtklubu. Lee wylądował po szkole na intratnej posiadzie smarowacza na frachtowcu przewożącym rudę dla firmy Cleveland Cliffs Company, a Bill poszedł na uniwersytet do Ohio i studiował ekonomię.

Lee był niespokojnym duchem. Kochał włóczęgę i swobodę. Z plecakiem przemierzał szlaki w Appalachach, na niektóre wyprawy wyruszając zimą. Gdy nadarzyła mu się okazja do rejsu, natychmiast zapalał entuzjazmem, mimo zastrzeżeń ojca.

Sięgając pamięcią wstecz, William Cilimburg, jego ojciec, zastanawiał się często, czy obiekcje wobec podróży syna, które tamtego lata uparcie mu się nasuwały, miały swoje logiczne uzasadnienie, czy też wypływały raczej z ponurego przeczucia. Najpierw martwiło go, że Lee może stracić pracę, ale syn argumentował, iż zamierza wyjechać w ramach urlopu. Później nie spodobało mu się, że propozycję wyjazdu Lee otrzymał dopiero wtedy, gdy inni, starsi członkowie jachtklubu ją odrzucili.

– Słuchaj, Lee – przekonywał chłopaka – ten facet wołał innych gości. Do ciebie przyszedł, jak mu nie wyszło. Do diabła z taką ofertą!

Ale jego niefrasobliwy syn nie zwracał sobie głowy podobnymi wątpliwościami.

Na koniec ojciec wysunął sprawę powrotu do domu – Abel oferował tylko pokrycie kosztów biletu autobusowego.

– Musisz wrócić do domu na czas i pójść do pracy. Nie masz na tyle urlopu, żeby się tłuc autobusem przez połowę kraju – podkreślał. – Jeśli faceta nie stać na samolot dla ciebie, daj sobie z tym spokój.

Ale Lee oświadczył, że różnicę ceny pokryje z własnej kieszeni i sam zorganizuje sobie powrotny przelot. Wówczas ojciec zrozumiał, ile znaczy dla syna ta żeglarska wyprawa, i ustąpił.

Życie na łodzi biegło swobodnie. Nie obowiązywał podział prac. Gdy trzeba było coś zrobić, brał się za to ten, kto miał wolną chwilę, albo się znalazł najbliżzej. Jeśli kogoś znużyło sterowanie, ster przejmował następny, byle się akurat zjawił w przestronnej sterowni na górnym pokładzie. Kabina ta zresztą, dzięki swym dużym oknom i wygodnej kanapce ustawionej wzdłuż jednej ściany, była ulubionym miejscem spotkań załogi. W przedniej części tego pomieszczenia, przed oknem z widokiem na dziób, stał masywny stalowy fotel dla sternika.

Najczęściej zasiadał w nim Frank Abel. Niski i krępy, liczący sobie pięćdziesiąt pięć lat, był sympatycznym i wyrozumiałym kapitanem, niewymagającym zbyt wiele od swojej załogi. W samej rzeczy, z upływem drugiego tygodnia Bill nawet zaczął odczuwać coś na kształt winy, że obaj z Lee zostawiają Franka samego, wypuszczając się co wieczór do miasta.

Ale kapitan nie narzekał. Na razie sprawy biegły zgodnie z planem. Oprócz niewielkiego zejścia z kursu w wyniku awarii śluzy, dnia mżawki i incydentu w kanale w pobliżu Schenectady, gdzie podeszli niebezpiecznie blisko barki, reszta układała się dobrze. Wszystko wskazywało na to, że postawiony cel, czyli przetransportowanie łodzi do nowego domu Abła na Florydzie, zostanie wkrótce osiągnięty.

Teraz nawet kłopotliwy etap trasy wiodący po wodach Atlantyku wzdłuż brzegów New Jersey przebiegał bez zakłóceń. Wczesnym popołudniem łódź okrąży Cape May i skieruje się na północ w głąb zatoki Chesapeake.

Był tylko jeden kłopot. W układzie transmisyjnym napędu powstał niewielki przeciek i okresowo dawało się odczuć krótkotrwały spadek mocy, lecz dodanie paliwa powinno chwilowo zlikwidować problem. Było jeszcze wprawdzie to ostrzeżenie sztormowe złapane przez radio, ale na rafie na niebie nie widać żadnej chmurki, a wody zatoki są gładkie i spokojne. Nic nie budziło niepokoju Franka, a bezpieczny kanał Chesapeake & Delaware leżał w odległości niespełna pięćdziesięciu mil.

Około piętnastu mil na północ, w osiedlu Scottfield, położonym w pobliżu Newark w stanie Delaware, zabudowanym niedużymi, stylowymi domkami piętrowymi, młoda gospodyni, Nancy Anderson, myła naczynia przy kuchennym zlewie, czyste odkładając na suszarkę. Nakrycia potrzebne jej były do przygotowania obiadu, bo mąż, John, nauczyciel matematyki, miał za jakąś godzinę wrócić do domu.

Salwy śmiechu dochodzące z przenośnego brodzika umieszczonego strategicznie pod kuchennym oknem, wydawane przez cztero- i pięcioletni, przeszły w znajomy płaczliwy wrzask sygnalizujący kłopoty. Nancy wyjrzała przez okno, by rzucić okiem na chłopców, i mimochodem omiotła wzrokiem horyzont. Na niebie nagle i niespodziewani pojawiły się groźne, burzowe chmury. Z jakiegoś względu te zwiastuny burzy przejęły Nancy lękiem.

Wytarła ręce, wzięła najnowszy tomik zbioru recenzji nowości wydawniczych i wyszła na betonowe schodki wiodące z kuchni na podwórko. Stąd mogła swobodnie obserwować nadejście burzy. Na proggu uderzyło w nią gęste, rozprażone powietrze i oslepił blask słońca. Nad głową wisiał jeszcze jasny błękit, ale znad ujścia rzeki Delaware zbliżały się matowe, ciemne chmury, płynące na południe. Już widać było przecinające niebo i biegnące ku ziemi srebrne smugi błyskawic.

Pięcioletni Blake, pluskający się w brodziku kilka kroków dalej, zgarnął akurat większość drewnianych ludzików, mieszkańców jego ulubionej zabawki, łodzi rybackiej, i teraz wyciągał rączkę po samą łódkę. Czterolatek, Travis, kuczał w płytkiej wodzie i ściskając w objęciach tę właśnie zabawkę płakał wniebogłosy.

Blake ujrzawszy matkę przejął inicjatywę i wrzasnął:

– Mamo, Travis nie da mi się bawić łódką!

Wiedząc jednak z doświadczenia, że matka, jakimś dziwnym sposobem potrafi go przejrzeć na wylot, nie czekał na wymierzenie sprawiedliwości, tylko wyskoczył z wody, złapał wąż ogrodowy i puścił zimny strumień prosto w pierś Nancy.

Ociekająca wodą książka upadła na trawę, a napadnięta zniecacka ofiara puściła się w pościg za chichoczącym napastnikiem. Travis upuścił łódeczkę między inne pływające zabawki, wygramolił się z brodzika i przyłączył do gonitwy.

Dudniący odgłos gromu przerwał kaskady śmiechu i przeraził Nancy, zdumioną raptowną bliskością burzy, nadchodzącej jakby prosto nad Scottfield. Matkę i dzieci ogarnął podmuch gorącego wichru. Nancy kazała synom schronić się w domu, sama też weszła do środka, żeby zadzwonić do sąsiadki, Marty Evans, której malutką córeczkę widziała wcześniej bawiącą się na ulicy. Kiedy wróciła po brodzik, wiatr był dużo chłodniejszy i zaczął padać deszcz. W powietrzu czuło się zapach morza.

W świetle błyskawic i przy akompaniamencie niemal bezustannych grzmotów Nancy z trudem przewróciła ciężki, plastikowy pojemnik, wylewając na oślep na trawnik wraz z wodą ukochane zabawki swoich dzieci. Potem przeciągnęła ciężar przez masywne drzwi do piwnicy.

Kiedy zamykała metalową osłonę wzmacniającą drzwi i zasuwała zasuwę, wichura stawiała jej opór, a deszcz siekł po twarzy. Wbiegając na górę, by sprawdzić zamknięcie okiennic, przystanąła na moment uderzona widokiem z okna saloniku. Drzewa rosnące od frontu, o pniach grubości niemal trzydziestu centymetrów, były zgięte pod ostrym kątem, a wicher zdawał się jeszcze przyspieszać. Dął jednak w dziwny sposób, jakby zataczał kręgi; gałęzie i jakieś śmiecie toczył po trawniku. Nancy podejrzewała, że to przejście tornado.

Dwie posesje dalej piorun uderzył w basen, a towarzyszący mu huk wstrząsnął budynkiem aż po fundamenty. Bawiący się dotąd w piwnicy chłopcy wbiegli po schodach na parter. Deszcz bębnił po dachu niczym ciskane ziarna żwiru, a kiedy nad domem z hukiem rozpędzonego pociągu towarowego przetoczył się grzmot, Travis przyłgnął kurczowo do matki. Nancy, w obawie, że któreś z naprężonych do granic wytrzymałości drzew może runąć na ścianę domu, uwolniła się z uścisku syna i wysłała chłopców z powrotem do piwnicy.

Kiedy burza minęła, Nancy wybiegła przed dom ocenić szkody. Trawnik zasłany był liśćmi i kawałkami gałęzi. Żdźbła trawy, jeszcze przed chwilą brunatne i suche, lśniły teraz żywą zielenią. Na pojedynczych łądogach kołysały się duże krople. Spieczona ziemia zaczynała spijać deszczową wilgoć, ale resztki wody gromadziły się w płytkich kałużach rozsianych po całym podwórku.

Okrążywszy dom, Nancy na tylnym dziedzińcu spotkała Martę, która przyszła podziękować za wcześniejsze ostrzeżenie. Opowiadała, że ledwie zdążyła przed uderzeniem burzy wybiec na ulicę i wrócić z córką do domu. Obie kobiety pozostawały wciąż pod wrażeniem nagłej siły i gwałtowności żywiołów.

Spoza drzwi do piwnicy wychodzących na tylne podwórze wysunęła się główka Blake'a. Rozejrzał się dokoła.

– Ale bajzel! – powiedział z nabożnym podziwem.

Wyszedł z piwnicy i z miejsca zaczął się taplać w kałużach. Za nim przydreptał Travis i skierował się ku miejscu, gdzie poprzednio stał brodzik. Spieszył na ratunek zabawek. Najpierw zainteresował się łódeczką, odwróconą do góry dnem i wystawiającą swój brzuszek na promienie lipcowego słońca, które ponownie objęło kontrolę nad ziemią. Potem, widząc brata szalejącego wśród kałuż, zaczął zbierać drewniane ludziki, żeby się nie zapodziały w trawie.

Bill Bonds leżał na koi, czytając gazetę, kiedy kątem oka spostrzegł na horyzoncie ciemną chmurę. Nie wyglądała groźnie, ale lekki niepokój kazał chłopcu odłożyć pismo i dołączyć do Franka stojącego za sterem.

Lee, który odpoczywał na pokładzie, znalazł się w sterówce z tego samego powodu. Łódź była pięć mil od brzegu, ale nikomu z załogi na myśl nie przyszło, żeby dobić do lądu. Tylko obawa przed naprawdę wielkim sztormem uzasadniałaby takie postępowanie, a nikt z obecnych nie sądził, by nadszycająca chmura miała zwiastować istotnie groźną burzę. Przypuszczali, że zdołają stawić jej czoło na morzu. Frank skierował kwadratowy dziób łodzi dokładnie pod wiatr.

Siedząc na kanapie, chłopcy obserwowali otoczenie. Billa zdumiała szybkość, z jaką niebo straciło jasną, rozświetloną barwę, a jego kopuła stała się matowa, niby odlana z wosku. W dali zabrzmiał grzmot, woda się wzburzyła. Łodzią zaczęło kołysać, deszcz dudnił po dachu kabiny, a widoczne przed dziobem deszczowe strugi wichur gnał i zginał niczym widmowe badyle.

Przerwę w pracy napędu odczuli od razu wszyscy trzej. Jednocześnie też doznali ściskającego serce uczucia ogromnej bezradności, kiedy bezwolna raptem łódź tańczyła biernie na falach. Jednak po chwili śruba zaczęła się znowu obracać.

Frank przekazał ster w ręce Lee, a obaj z Billem, walcząc z porywami wyjącej wichury, z trudem dotarli na rufę i dodali paliwa. Wprawdzie kłopoty z napędem zostały w ten sposób chwilowo zażegnane, ale sytuacja wciąż nie wyglądała dobrze. W tym krótkim okresie, potrzebnym na dojsię na rufę i z powrotem, sztorm rozszalał się jeszcze gwałtowniej. Frank znowu stanął za sterem i starał się trzymać łódź dziobem do fali.

Wzburzone morze unosiło masywną krypę wysoko w górę i ciskało w doliny między falami, które teraz dochodziły nawet do trzech metrów. Już dziesięć minut kwadratowy dziób łodzi toczył z wodą ciężką batalię. Ludzie zastanawiali się z lękiem, jak długo kadłub może jeszcze wytrzymać.

Łódź i tak już ucierpiała: wiatr zerwał antenę, a fale zmyły sprzęt przymocowany na zewnątrz burty.

Nikt z załogi nie miał wątpliwości, że ich „wesół dom” już długo nie zdierzy bezlitosnego naporu żywiołów. Niestety, nic nie wskazywało, żeby sztorm miał wnet przycichnąć. Fale nadal sięgały trzech metrów, a wichry wyły tak głośno, że ludzie musieli krzyżeć, aby się usłyszeć. Błyskało silnie i grzmiało bez przerwy. Wiatr, wiejąc z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, a w porywach jeszcze większą, smagał podmuchem kruchą kabinę. Wtedy podjęto ową nieszczęsną decyzję. Być może któryś z obecnych rzucił propozycję, że lepiej byłoby płynąć z wiatrem, a Frank bez namysłu zaczął ją wprowadzać w czyn. Nie pomyślał, ile czasu zabierze obrócenie jedenastometrowej łodzi o 180 stopni. Niestety, trwało to zbyt długo jak na warunki sztormowe.

Po wykonaniu zaledwie ćwierć obrotu, kiedy łódź znalazła się w położeniu najwrażliwszym, najbardziej podatnym na ataki żywiołu, nadbiegła z boku trzymetrowa fala. Z przerażającą gracją uniosła przeszkodę na grzbiecie i cisnęła w dolinę, kładąc krypę na burtę. Cisnęła z całą mocą.

Lee i Billa, którzy wówczas siedzieli na kanapie, impet uderzenia rzucił na przeciwną ścianę kabiny. Bill głową wybił okno, przez które zaczęła się wlewać woda.

Następna fala przewróciła łódź stępką do góry. Bill raptem został uwięziony pod kanapą; Frank i Lee zniknęli mu z pola widzenia. Mógł się jedynie domyślać, że opuścili sterówkę, żeby dotrzeć na rufę i wydostać dmuchaną łódkę ratunkową, ale pewności nie miał. Na pewno wiedział tylko, że jest przybłokowany ciężkim meblem w kabinie, którą błyskawicznie wypełnia woda; zimna i słona kłębiła się wokół sięgając brody, zalewając usta, nos. Właśnie po raz ostatni zaczerpnął powietrza, gdy nagle został uwolniony spod kanapy.

Rosnący poziom wody uniósł nieco i przechylił sofę. To Billowi wystarczyło. Odbił się do góry i wypłynął tam, gdzie między niedawną podłogą a obecnie sufitem kabiny pozostała jeszcze prawie dziesięciocentymetrowa warstewka powietrza. Łapczywie złapał oddech w płuca i zanurkował w gorączkowym poszukiwaniu drzwi. Gnany strachem, który mu kazał szukać wyjścia z pomieszczenia przekształcającego się szybko w wypełnioną wodą trumnę, macał na oślep rękami.

Na drzwi jednak nie trafił.

Resztki powietrza wyparła woda, więc Bill opadł na dno sterówki. Od początku sztormu ze wszystkich sił starał się opanować popłoch. Próbował trzymać nerwy na wodzy, by nie ulec panice i przez to nie stracić szansy na przeżycie. Całej trójce udawało się zachowywać spokój – udawało, aż do wywrócenia łodzi. To był moment wyzwolenia strachu, panoszącego się odtąd w sterówce niczym nawałnica na zewnątrz. Strachu, który do tej chwili zmuszał Billa do rozpaczliwej walki o życie.

Ale teraz, pozbawiony powietrza i otoczony ciszą w zalanej kabynie, Bill odczuł niewytłumaczalny spokój. Spokój płynący z rezygnacji. Kiedy niemal w tym samym czasie dojrzał jakieś zielone światło, instynktownie ruszył w tym kierunku, powoli rozgarniając wodę rękoma. Działał jak we śnie. Światło stawało się coraz wyraźniejsze, aż nagle cisza została przerwana i wypłynął na powierzchnię. Wycie wichru znów wypełniło mu uszy, rozplyniona słona mgła uderzyła w twarz.

Oszołomiony, uczeplił się kurczowo przewróconej łodzi; wraz z nią wznosił się na grzbiety wałów wody i stromo zjeżdżał w wodne doliny. Trzymał się z całych sił wiedząc, iż jego życie od tego zależy. Kiedy po raz kolejny znalazł się na fali, dojrzał w dali światła brzegowe, widoczne mimo burzowego mroku. Tam był ratunek i bezpieczeństwo – niestety, poza jego zasięgiem. Przywarł do kadłuba, wypatrując gumowej łódki z Frankiem i Lee.

Niewiele później dziób zaczął się podnosić i Bill uprzytomnił sobie, że za chwilę łódź zatoni. Desperacko rzucił się do zderzaka wiszącego na burcie. Odwiązanie zderzaka dawało szansę utrzymania się na wodzie. To zadanie, wykonywane zwykle w kilka sekund, zajęło Billowi prawie dziesięć minut. Odepchnął się od burty, a po jakichś pięciu minutach „wesoły dom” pogrążył się w głębinach. W ostatniej chwili woda rozerwała dach nadbudówki i teraz jego resztki wraz z rzeczami załogi unosiły się na falach.

Płynący na zderzaku Bill był w szoku. Nie mógł myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że musi wyłowić należące do niego rzeczy. Szczególnie ważne wydawało mu się odzyskanie żółtego śpiwora pożyczonego od kolegi.

Jeszcze pół godziny po zatonięciu łodzi okrążał miejsce katastrofy, zbierając z wody resztki dobytku załogi. Potem bezwiednie odrzucił sztukę po sztuce, zatrzymał tylko śpiwór i jął płynąć ku brzegowi.

Dopiero wtedy umysł zaczął mu się rozjaśniać. Wraz z powrotem świadomości mógł trzeźwo ocenić położenie, w jakim się znalazł. Poczuł ból. Spojrzał po sobie i zauważył strużki krwi płynące z poranionych stóp i łydek. Wyszperał z pamięci strzępy wiadomości dotyczących okoliczności ucieczki z zalanej kabiny i doszedł do wniosku, że chyba nogami wybił okno albo przeciskał się przez roztrzaskaną szybę: tydzień wcześniej oglądał film szczęki i teraz zaczęła go prześladować myśl: krwawie na środku zatoki, krwawie w słonej wodzie.

Znowu poczuł panikę, ale zdusił ją w sobie i zaczął płynąć w kierunku lądu, rytmicznie pracując rękoma. W pewnej chwili coś otarło mu się o gołe. Panika przerodziła się w trwogę: z takiej opresji wyszedł cało, a teraz rekin chce mu odgryźć nogę: z nagle zrodzoną wściekłością gwałtownie zanurzył rękę w wodzie, gotów zadławić na śmierć każdego napastującego go stwora. Zamiast tego wyciągnął linę. Dwadzieścia metrów dalej dojrzał boję – rekin okazał się siatką do połowu krabów.

Minęła chyba z górą godzina, gdy ponownie ujrzał ląd. W zmierzchu, na horyzoncie zamajaczył brzeg – wyglądał na suchą, trawiastą połąkę wznoszącą się nieco nad powierzchnią wody. Bill wyobraził sobie, jak wychodzi na trawę i idzie tam, gdzie czeka go spokój i bezpieczeństwo. Kiedy dopływał coraz bliżej, „trawa” wciąż rosła mu w oczach. Po dobieciu do brzegu okazało się, że wylądował na terenie podmokłym, porośniętym trzciną, której ostre jak żyłtka liście sięgały mu wysoko nad głowę. Wyczerpany i zdezorientowany, kiedy zaszedł już na tyle daleko od brzegu, że znalazł skrawek ziemi, by móc się położyć, Bill wpełzł do mokrego śpiwora i natychmiast zasnął kamiennym snem. Zupełnie nie czuł ukłuc moskitów, które na jego obolałym ciele urządziły sobie ucztę.

Nancy dopiero w sobotę przeczytała w lokalnej gazecie, że burza – przypuszczalnie ta sama, która w czwartek przeszła przez Scottfield – uśmierciła rybaka w małej aluminiowej łódce i prawdopodobnie jeszcze dwie inne osoby, znajdujące się na pokładzie dużej łodzi mieszkalnej. Informacja zawierała również wzmiankę, że w piątek znaleziono dziesięcioletniego chłopca, niejakiego Williama C. Bondsa, wędrującego plażą w pobliżu szosy numer 9, na wschód od Odessy, po nocy spędzonej na mokradłach. Młodzieniec był cały pokryty bąblami po ukąszeniach owadów, oszołomiony, ale żywy. Los jego dwóch towarzyszy nie jest jeszcze znany.

Podana historia przyciągnęła uwagę Nancy częściowo ze względu na jej własne przeżycia związane z tą samą – jak sądziła – burzą. Nawałnica przerażała gwałtownością na lądzie; jak musiała się srożyć na morzu, Nancy mogła sobie łatwo wyobrazić. Dalszy opis tego wydarzenia, przytoczony w poniedziałek, przyciągnął ją jeszcze bardziej. Dziennikarz, Charles C. Farrell, opisywał szczegółowo starania Williama Cilimburga o odzyskanie syna imieniem Lee, jednego z dwóch zaginionych z pokładu nieszczęsnej łodzi. Pan Cilimburg przyleciał w sobotę samolotem z drugim synem, Royem. Oświadczyli poszukującej ekipie, że Lee to doświadczony żeglarz, z pewnością więc zdołał się uratować, trzeba go tylko znaleźć, zanim umrze z wycieńczenia.

Kiedy Nancy czytała ten artykuł, wczuwała się w sytuację nieszczęśliwego ojca. Wyobraziła sobie ogrom jego smutku i oczyma duszy ujrzała obraz borykającej się z burzą łodzi.

Była w sterówce. Widziała dwóch mężczyzn, z których jeden był wyraźnie starszy. Kiedy uderzenie fali przewróciło łódź obaj polecili do przodu; starszego wstrząs rzucił na jakąś metalową podporę, a młodszy zniknął z kabiny. Nancy wiedziała, że wpadł do morza. Wiedziała też, z jakąś wewnętrzną pewnością, że tym młodzieńcem był Lee Cilimburg.

Starszy facet slaniał się, oszłamiony i bezradny. Nancy cofnęła się wstrząśnięta przeświadczeniem, że człowiek ten wkrótce umrze. Utopi się,

Lee Cilimburg wydosłał się wprawdzie z łodzi, jednak choć Nancy wyteęzała umysł, nie była pewna, czy chłopiec nadal żyje. Wnikając myślą w jego osobowość, wiedziała, że ma on na tyle woli i charakteru, by walczyć o życie. Martwił ją jednak fakt, że choć koncentrowała się na jego nazwisku, skupiała na nim całą swą uwagę, nie była w stanie wylapać wibracji typowych przy odbieraniu wizji osób żywych. Może jest tylko nieprzytomny, próbowała się pocieszać.

Z każdym dniem coraz lepiej poznawała mechanizmy działania własnego umysłu, ale nawet teraz, dwa lata po zaakceptowaniu swoich parapsychicznych zdolności, ciągle ich nie doceniała. Jednak już się przekonała, że informacje odbierane przez nią w formie obrazów, dźwięków, a niekiedy po prostu jako przeświadczenie o czymś, stawały się coraz dokładniejsze. Cieszyło ją to, ale i przerażało zarazem.

W czasie prowadzonych w ubiegłym roku w New Jersey poszukiwań zaginionej dziewczynki Nancy dokładnie określiła miejsce, gdzie później odnaleziono zwłoki dziecka. Na mapie wskazała pewien odcinek szlaku kolejowego i, zgodnie z wcześniejszym jej opisem, ofiarę zabójstwa istotnie wyłowiono z wody obok torów...

Podczas prac nad drugim przypadkiem – w pobliżu Avondale w stanie Pensylwania – zawieziono Nancy w okolice spalonego domu, którego właścicielka zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Kiedy oficer śledczy zaprowadził Nancy na zgliszczą, złapała tam coś na kształt „myślowego tropu”. Ruszyła przez podwórze i doszła aż do gęstych krzaków jeżyn rosnących na skraju trawnika. W tym miejscu zgubiła ślad, oświadczyła jednak z przekonaniem, że poszukiwana kobieta właśnie tutaj straciła życie. Faktycznie, w tych jeżynach odnaleziono zegarek ofiary, o czym Nancy wówczas nie miała pojęcia.

– Wiem, jak pani to robi – oznajmił jeden z policjantów, który cały czas ze zdumieniem przyglądał się jej postępowaniu.

Nancy spojrziała na niego z zaciekawieniem.

– Pani ma chyba wspaniale rozwinięty zmysł węchu. Szła pani jak po sznurku tą samą trasą, co psy gończe

– Kto wie – odparła Nancy z uśmiechem. – Może to psy posługują się tym samym, co ja.

Lecz czymże to ona się posługuje?!

Najdawniejsze wspomnienia, jakie mogła wywołać z pamięci, wiązały się z wędrownkami z kraju do kraju z ojcem, którego rządowa posada wymagała wojaży zagranicznych do takich egzotycznych miejsc, jak: Ekwador, Chile, Brazylia, Afganistan czy Bejrut. Wiele razy wówczas ocalił ją od nieszczęśliwego wypadku jakiś wewnętrzny głos, któremu nauczyła się ufać. Dla samotnej, małej dziewczynki, dorastającej na obcej ziemi, bez stałych przyjaciół i rodzimej kultury, z której dziecko mogłoby czerpać wzory zachowań, taki duchowy kompas był wygodnym środkiem zaradczym. Ale Nancy nie znała wtedy jego wartości. Uparta i nieprzejednana, nie zawsze słuchała tego głosu.

Sytuacja się zmieniła, kiedy Nancy dorosła na tyle, by móc zrozumieć, że nie każdemu był dany taki cenny system wewnętrznego sterowania. System ten nie tylko pomagał dziewczynce unikać niebezpiecznych ludzi i sytuacji, lecz niekiedy pozwalał przewidzieć, co ma się zdarzyć w przyszłości. Nie zawsze jednak z tą świadomością przyszłych wydarzeń umiała sobie poradzić. Kiedyś, na przykład, gdy miała szesnaście lat, zamartwiała się przez kilka tygodni tym, że jej ukochany pies, Samba, nie będzie mógł towarzyszyć rodzinie w podróży do Lashkar Gah w Afganistanie. Nie było żadnych logicznych podstaw uzasadniających takie przypuszczenie – zawsze dotychczas mogła zabierać ze sobą swoich ulubieńców, rodzice nie robili z tego problemu. Tuż przed wyjazdem oznajmiono im jednak, że pies musi zostać, bo tam, gdzie się udają, wykryto ogniska wścieklizny.

Niezdolna do ochraniańia siebie za pomocą fałszu, Nancy, jako młoda dziewczyna, była zmuszona stawić czoło ludzkim o niej sądom, wyrażanym w przykłej formie, bez dyplomacji i taktu. Cierpiała nie wiedząc, jak się przed tym obronić.

W rezultacie nie potrafiła odwrócić się plecami do żadnego zadania, które – według jej przekonania – trzeba było wykonać. Głos wewnętrzny uparcie stawał jej przed oczyma sprawy, którymi musiała się zająć. I choć nie zawsze były to przedsięwzięcia imponujące, podejmowała je ze szczerym zaangażowaniem. Jako mieszkanka Newark pomagała zbierać datki na miejscowy szpital, walczyła o ocalenie stuletniego drzewa przed wycięciem pod autostradę, organizowała rajd z petycją do władz o przeprowadzenie w stanowym uniwersytecie zawodów jazdy figurowej na lodzie. Niektórzy ludzie negatywnie oceniali pobudki zaangażowania się Nancy w tego rodzaju sprawy twierdząc, że szuka reklamy i jest idealistką. Inni uważali ją za obłudną, a nawet wścibską. A Nancy zawsze z bolesną przenikliwością wiedziała, co o niej myślą. Z natury nieśmiała i skłonna do retrospekcji, zmuszona była rozwinąć w sobie umiejętność radzenia sobie z silnymi emocjami, jakie wzbudzała w ludziach. Kiedy była starsza, fakt, że inni postrzegali ją i osądzali tylko z pozorów – widząc w niej osobę towarzyską i otwartą, kiedy w gruncie rzeczy była nieśmiała i niepewna siebie – zaskakiwał ją i zbijał z tropu. Uświadomiła sobie wkrótce, że ludzie traktują ją zgodnie z tym, co mówi lub robi, a nie według tego, kim naprawdę jest. Ta świadomość pogłębiała w niej uczucie osamotnienia.

Samotność jak zhora prześladowała dzieciństwo Nancy mimo bliskości kochających rodziców, z którymi więzy zacieśniały się nawet bardziej w warunkach życia na rozmaitych dziwnych, a czasem i niebezpiecznych placówkach. Nancy miała nadzieję, że małżeństwo ukończy ból wyobcowania, ale tak się nie stało.

Chciała zostać matką czując, że to byłoby najlepszym lekarstwem, ale widać nie było jej pisane szybkie macierzyństwo. Przez sześć długich lat miała poronienie za poronieniem, aż w końcu oboje z Johnem podjęli decyzję o adopcji. Z pracy na stanowisku tłumaczki w Wilmington, w przedporodowej klinice dla matek mówiących tylko po hiszpańsku, wyniosła pewne spostrzeżenia związane z szybkością procedur adopcyjnych. Dowiedziała się wówczas, że choć lista oczekujących na białe i zdrowe niemowlęta jest przeraźliwie długa, to w przypadku dzieci krwi mieszanej sytuacja ma się całkiem odwrotnie. To te biedne, malutkie stworzenia usychają z tęsknoty, by ktoś je zabrał do siebie, dał im miłość i opiekę. Nancy wiedziała, co trzeba załatwić, więc nie zwlekając razem z Johnem wystąpili o adopcję najpierw jednego, a wkrótce potem drugiego chłopca rasy mieszanej.

Dzieci sprawiły, że dotychczasowe mieszkanie stało się dla Nancy w końcu prawdziwym domem. Obecność chłopców w jej życiu poruszyła nową głębię uczuć, wyzwalając ciepło i opiekuńczość tak przemożne, że Nancy poczuła się w pełni przydatna. Rozkoszowała się każdym swoim pomysłem, każdym gestem, które wywoływały radość dzieci, i z zachwytem obserwowała, jak rozwija się ich osobowość.

Wiedząc, co znaczy miłość rodzicielska, chciała spróbować pomóc Williamowi Cilimburgowi. Mimo świadomości, że jej interwencja mogła być przez niego odebrana z przykrością. Jako niepotrzebne wtrącanie się w nie swoje sprawy osoby postronnej. Nancy nie chciała dopuścić, żeby nieszczęśliwy ojciec nie wysłuchał o swoim synu tego, co ona potrafiła mu powiedzieć. Ale jak to przeprowadzić?

Mimo obaw, że przedstawiciele policji stanowej nie potraktują jej poważnie, jednak od nich zadzwoniła. Oficer śledczy był grzeczny, ale obojętny. Wysłuchał wprawdzie wszystkiego, co miała do powiedzenia, ale Nancy była pewna; że albo nic z tego nie zanotował, albo ewentualne zapiski wyrzucił do śmieci zaraz po rozmowie.

– Zadzwoń do gazety – radził John.

– Ech, dziennikarzy dopiero trudno przekonać!

– Przecież wierzysz, że postępujesz słusznie, prawda?

Istotnie, wierzyła. I zadzwoniła.

Gdy do telefonu podszedł Charles Farrell, Nancy w kilku słowach opowiedziała, kim jest i co potrafi, oznajmiając przy tym, że w pełni rozumie niechętnie reakcje ludzi, kiedy ktoś nieproszony zgłasza swoją pomoc, deklarując przy tym parapsychiczne zdolności. Zapewniła, że nie szuka popularności. Najważniejszy jest tu Lee Cilimburg, argumentowała, który – być może – zdołał ująć cało z katastrofy.

– Ale jak pani może się o tym dowiedzieć? – dziwił się dziennikarz.

– Za pomocą wizji. Potrafię wywołać czy też odbierać pewne obrazy dotyczące ludzi bądź sytuacji.

Farrell, który nie miał zbyt wielkiego przekonania co wiarygodności informacji zdobywanych w wyniku jakichś „wizji”, poszedł się skonsultować z szefem. Kiedy znów podniósł słuchawkę, zaczął wypytywać o szczegóły: jak to jest z tymi „wizjami”, co z tego wynika i jak działa.

Nancy wyjaśniła, że wystarczy jej poznać na przykład czyjeś nazwisko, a potrafi scharakteryzować daną osobę.

Dziennikarz, chcąc sprawdzić jej słowa, poprosił o zademonstrowanie tej umiejętności.

Usłyszał opis cech charakteru naczelnego redaktora.

Ku zdziwieniu Farella charakterystyka była bardzo trafna.

– A Lee Cilimburg? – badał dalej.

– Energiczny, bystry, silnego charakteru – odparła. – Nie jest typem, który się łatwo poddaje. Z pewnością potrafi wytrwale walczyć o przeżycie. Jest także wrażliwy. Cilimburgowie – ciągnęła – są bardzo religijni i przeżyli już jedną tragedię w rodzinie. Jedno z ich dzieci przeszło dawniej jakąś ciężką chorobę, w której otarło się o śmierć.

To zrobiło na Farrellu wrażenie. Faktycznie, Cilimburg – ojciec opowiadał mu wcześniej, że najstarszy syn, Ray, miał w wieku dziesięciu lat atak gościa stawowego tak ostry, że zdawało się, iż chłopiec nie przeżyje. W swoich reportażach o katastrofie łodzi dziennikarz nie podał zbyt wielu informacji o rodzinie Cilimburgów, a już na pewno o chorobie Raya nie napisał ani słowa. Nie pozbył się, co prawda, wszystkich swoich zastrzeżeń, ale Nancy go zaintrygowała. Pojechał po nią i zawiózł do zatoki widokowej w pobliżu Augustine Wildlife, gdzie – zdaniem Nancy – nastąpiło zatonięcie łodzi. Kobieta była przeświadczona, że im bliżej sceny wydarzeń się znajdzie, tym więcej będzie mogła powiedzieć na temat katastrofy.

Później, w czwartkowym wydaniu gazety, Farrell napisał:

„Patrzyła w milczeniu w wody rzeki Delaware, jakby z jej toni chciała odczytać tę najistotniejszą wiadomość”.

I właśnie tak było. Nancy, stojąc na brzegu i skupiwszy myśli na Lee Cilimburgu, znalazła się duchem ponad wzburzonymi, pędzonymi wichrem falami; płynęła obok chłopca walczącego rozpaczliwie o życie.

Lee płynął, ale nie miał pojęcia, dokąd zmierza – nic nie widział. Starał się zachować zimną krew. Jest przecież twardy, mówił sobie. Wytrzyma. Wyjdzie z tego. I było niezłe, dopóki jakiś Kabel czy łańcuch nie owinał mu się wokół lewej nogi i nie wciągnął go pod wodę.

Nancy odezwała się cicho do Farella:

– Nie sądzę, żeby przeżył.

Raptownym ruchem odwróciła się od rzeki, mając nadzieję, że zdoła się odciąć od smutku, którego ponurą falę wchłonęła wraz z wizją losu Lee. Jednakże, choć zniknęły tragiczne obrazy, smutek pozostał.

Gdy wraz z Farellem zmierzała z powrotem ku samochodowi, dziennikarz zadał jej pytanie, czy wie, gdzie i kiedy woda wyrzuci na brzeg ciała ofiar.

Odparła, że zwłoki Abla zostaną znalezione jeszcze tego samego dnia. W istocie, Farell już wiedział – choć się z tym nie zdradził – że wczesnym rankiem, w kanale przy ujściu rzeki, wyłowiono jakiegoś topielca; przypuszczalnie ciało Franka Abla.

Zapytał o odnalezienie Lee.

– Prawdopodobnie w środę – brzmiała odpowiedź.

– Gdzie?

Nancy bezradnie wzruszyła ramionami.

– Może mapa mogłaby pomóc – podsunął dziennikarz.

– Kto wie – odparła.

Na kłapie bagażnika rozłożył więc samochodową mapę stanu Delaware i nim zdążyć rozprostować wszystkie zagięcia, palec Nancy błyskawicznie wskazał ujście rzeki Appoquinimik. Nie potrafiła wprowadzić prawidłowo wypowiedzieć tej nazwy, ale była pewna, że podała właściwe miejsce.

Powrotną drogę do Newark Nancy odbyła w milczeniu. Była przygnębiona i wstrząśnięta. Aż do przybycia nad rzekę szczerze wierzyła, że Lee mógł się uratować. Po konfrontacji z wizją jego śmierci pragnęła tylko wrócić do domu. Była przekonana, że jej rola w tej sprawie już się skończyła.

William Cilimburg zdawał się sądzić inaczej.

Za namową Farella Nancy zadzwoniła do niego poprzedniego wieczora. Czyniła to niechętnie. Wcześniej zależało jej, by podzielić się z nim swoją nadzieją, teraz czuła lęk przed tą rozmową. Ale kiedy ojciec Lee poprosił ją o spotkanie, zgodziła się.

Jedynie światła sygnalizacji ulicznej w Port Penn ułatwiły Cilimburgowi rozpoznanie Nancy, kiedy jej Volkswagen zatrzymał się w środku miasta. Wysiadł z własnego wozu i ciężkim krokiem ruszył ku niej.

Nie bardzo wiedział, czego ma oczekiwać po tym spotkaniu. Nie potrafił sobie poradzić z nowo poznanymi faktami, a nadzieją, której nie tracił do tej pory, zaczynała go opuszczać. Obraz tego, co rzeka uczyniła z ciałem Franka Abla, nie mógł, niestety, napawać otuchą.

Cilimburg otrzymał wezwanie z policji, aby w kostnicy Wilmington dokonać identyfikacji zwłok. Kiedy znalazł się na miejscu, nie był przygotowany na to, co zobaczył.

– Wyciągnęliście innego faceta. To przecież murzyn i waży chyba ze sto pięćdziesiąt kilo – skomentował.

– Nie, proszę pana. To biały, ma 170 centymetrów wzrostu i około osiemdziesięciu kilogramów – usłyszał w odpowiedzi.

Funkcjonariusze policji nie uważali za wskazane wcześniej ostrzec Cilimbura, w jakim stanie znajduje się ludzkie ciało po czterodniowym przebywaniu w wodzie, za to nie szczędzili mu przestróg co do osób o parapsychofizycznych zdolnościach, które – co mocno podkreślali – nierzadko zerują na cudzych tragediach dla zdobycia popularności i wyłudzenia pieniędzy.

Pochylając się do okna samochodu Nancy, Cilimburg był więc teraz wewnętrznie rozdarty między ostrożnością a depresją.

Nancy ogarnęła wzrokiem twarz ogorzałą od słońca po dniach spędzonych nad rzeką na poszukiwaniach syna, w przenikliwe oczy spojrzała ze smutkiem i troską. Zgodziła się pojechać z nim w to samo miejsce, w którym dzień wcześniej była z Farellem. Ray i brat Williama, jadący za nimi, pozostali w samochodzie, a Nancy wraz z Cilimburgiem – ojcem podeszli trzysta metrów dalej, na brzeg rzeki, i usiedli na przybrzeżnej ławce.

Nancy powtórzyła swoją wersję wydarzeń. Była to jedna z najtrudniejszych chwil w jej życiu.

– Desperacko walczył o przetrwanie – powiedziała na koniec. – Nawet kiedy coś mu spętało nogę, uparcie starał się wyswobodzić. Był silny i nie chciał się poddać. Dzielny chłopiec.

Wiedziała jednak, że nawet takie słowa będą niewielką pociechą dla nieszczęśliwego ojca. Podczas jej relacji dławili go łzy, kręcił tylko głową niezdolny wykrztusić słowa, by nie wybuchnąć płaczem. Jakiś czas musiał dochodzić do siebie.

Nancy czekała. Potem Cilimburg ze zniszczonego portfela wyciągnął fotografię syna i wręczył ją milczącej kobiecie, jakby chciał go jej przedstawić.

Zdjęcie ukazywało jasnowłosego, pełnego wigoru młodego człowieka, o oczach takich jak u ojca. Nancy czuła, że starszy pan ma nadzieję wywołać u niej tym wizerunkiem inne wizje – wizje o szczęśliwym zakończeniu. Trzymając podobiznę w złączonych dłoniach, zaczęła mówić o Lee. Mówiła, jaki był, przytaczała

tyłe znanych tylko rodzinie szczegółów, że ojciec nie mógł już dłużej wątpić – to, co opowiedziała o tragicznym dniu, musiało być prawdą.

– Nie potrafię pogodzić się z myślą, że on już nie żyje – przemówił Cilimburg, kiedy skończyła.

– Rozumiem pana. Sama mam dwóch synów; gdyby mnie spotkało to samo, czułabym się identycznie.

– Dlaczego właśnie on?! Taki wrażliwy, taki dobry dla zwierząt. Nie zrobił krzywdy nawet mrówce. Mówiłem mu: na miłość boską, przecież na świecie są ich miliony. A on odpowiadał: nie szkodzi, tato, to przecież żywe stworzenia, nie można po nich deptać. I nigdy tego nie czynił.

Odstąpił parę kroków i ruszył z wolna brzegiem rzeki. Nancy uszanowała jego potrzebę samotności.

Kiedy odwróciła głowę, znalazła się twarzą w twarz z Rayem, bratem Lee. Ray podszedł już wcześniej i przysłuchiwał się rozmowie, ale Nancy tego nie spostrzegła – całą jej uwagę pochłaniało pragnienie pocieszenia strapionego ojca.

– Chciałbym się mylić – rzekł Ray – ale głos wewnętrzny mówi mi, że mojego brata nie ma już między żywymi. Nie wiem, co robić, bo się boję, jak ojciec to znieśie, kiedy będziemy musieli stanąć wobec tragicznego faktu.

– Pański ojciec to dzielny człowiek. Poradzi sobie z tym na pewno.

Zacząła mówić młodemu człowiekowi, czego się będzie mógł spodziewać po innych członkach rodziny, opisywała ich reakcje. To, że Nancy wydawała się tak dobrze znać jego bliskich, dziwnie krzepiąco wpłynęło na Raya.

Gdy wrócił ojciec, wyciągnięto z samochodu jakieś mapy nawigacyjne i Nancy miała określić miejsce katastrofy. Chciała znaleźć ujście rzeki Appoquinimik, ale morskie mapy okazały się dla niej nie do rozszyfrowania. Doszukiwanie się na nich czegokolwiek było dla Nancy bezcelowe. Musiała poradzić sobie inaczej; przesuwiała dłonią nad powierzchnią każdej sekcji mapy do chwili, aż poczuła ciepło.

– To tutaj – oznajmiła. – Tu zatонуła łódź.

Wskazała to samo miejsce, które podała Farellowi dzień wcześniej.

Niewiele więcej mogła uczynić dla tych ludzi. Rozmowa się rwała, ale Nancy nie potrafiła znieść myśli, że musi ich opuścić i zostawić z tym strasznym nieszczęściem. Czuła w sobie ich ból. Pragnęła objąć wszystkich kojącym uściskiem.

Wracała w milczeniu do samochodu. Bill Cilimburg chciał ją zaprosić na lunch. Odmówiła.

– Muszę wracać do domu – powiedziała – zwolnić opiekunkę do dzieci.

– Czy mógłbym wobec tego zwrócić pieniądze za opiekunkę?

– Nie.

– Zapłacić za benzynę?

– Nie.

Cilimburgowie dziękowali jej za pomoc, ale ojciec nie mógł się oprzeć, by nie wyrazić nadziei, że Nancy się pomyliła.

– Cóż, szczerze mówiąc, sama mam taką nadzieję – odparła. – Naprawdę chciałabym, żeby go znalezione gdzieś na mokradłach.

Wiedziała jednak, że tak się nie stanie.

Ciało Lee Cilimburga zostało wyłowione około trzystu metrów od brzegu, w okolicy ujścia Appoquinimik, w czwartek rano, przez grupę ekologów prowadzących badania w tamtym rejonie. Nancy więc dokładnie określiła miejsce, a co do czasu, pomyliła się tylko o parę godzin. Przy zwłokach nie znaleziono okularów, bez których – zgodnie z oświadczeniem ojca – Lee był całkowicie ślepy. To mogło wyjaśnić wcześniejsze uwagi Nancy o braku orientacji chłopca, w jakim płynie kierunku.

Kiedy William Cilimburg przybył do Wilmington zidentyfikować zwłoki syna, zadał koronerowi pytanie, czy znaleziono jakieś ślady, które mogłyby wskazywać, że nogi chłopca były obwiązane kablem lub łańcuchem. W odpowiedzi usłyszał, że znaki na lewej nodze przypominają otarcia od czegoś w rodzaju kabla.

Rozdział drugi

Leć, ptaszku, leć

Funkcjonariusz policji stanowej stanu Delaware, stojący tego majowego popołudnia roku 1976 na progu domu Nancy Anderson, był zwalistej postury, średniego wzrostu, ciemnowłosa i miał bystre, brązowe oczy. Zachowywał się obcesowo i lekceważąco. Zastukał do drzwi, po czym odwrócił się do swego kolegi, kręcąc głową z krzywym uśmiechem.

Ta wizyta u jakiejś tam „wróżki” była dla detektywa Carla Williamsa czymś na kształt niewczesnego żartu. Lubił dobre żarty, ale – na Boga – nie cierpiał marnować czasu. To jasno wynikało z wykazu spraw, jakie doprowadził do końca w ciągu kilku krótkich miesięcy pracy w policji stanowej, ściągnięty tam do specjalnych poruczeń przez pułkownika Irvina B. Smitha. Miał rozwiązywać sprawy, z którymi inni detektywi nie mogli sobie poradzić. Większość przydzielonych mu zadań należała do przypadków zawitych, w których dochodzenie ciągnęło się rok albo dłużej. Williams i jego ekipa dochodzeniowa, licząca kilku niezależnych detektywów, poradziła sobie z nimi w rekordowym czasie.

Ten sukces nie przysporzył mu popularności wśród mniej zdolnych kolegów, ale Williams i tak zbytnio nie szukał rozgłosu.

Sprawy do rozwiązania przydzielał mu Smith, zwany pułkownikiem albo Smittym, zależnie od rangi podwładnych lub ich zamilowania do przestrzegania formalnych przepisów. Williams zwracał się do niego: Smitty.

– Daję ci do rozpracowania nowy przypadek – oświadczył Smith, a Williams czekał na wyjaśnienia. – Kiedy tylko biorę benzynę na tej małej stacji przy drodze numer trzynaście, muszę się zawsze nasłuchać, jacy to jesteśmy diabła warci, bo nie potrafimy wykryć sprawców napadu na tę stację. Ten chłopak jest w stanie śpiączki w szpitalu Du Pont. Chcę, żebyś z nim pogadał.

– Z kim mam pogadać? – Williams był całkiem zbity z tropu.

– No, z tym chłopakiem, ofiarą napadu.

– Mówił pan, zdaje się, że facet jest w stanie śpiączki.

– Zgadza się.

– To jak, do cholery, mam z nim gadać, skoro jest nieprzytomny?!

Smith się nie odezwał.

– A nawet gdybym mógł z nim porozmawiać, nie widzę potrzeby – ciągnął Williams. – zbiorę dowody, tak jak zwykle.

– Nie tym razem. To nic nie da – zawyrokował Smith.

Poślę z tobą tę dziewczynę. Pojedziecie tam razem i spróbujesz wyciągnąć coś od chłopaka.

Williams był wściekły. Już sobie wyobrażał to przesłuchanie z jakąś babą na karku.

– Co to za dziewczyna? – chciał wiedzieć.

– Nancy Anderson. Pamiętasz przypadek Cilimburga? Ona podała wtedy czas i miejsce wyłowienia zwłok. To nie jest zwykła dziewczyna.

– Co proszę?

– Ma dar jasnowidzenia. Może nam pomóc zakończyć tę sprawę.

– Panu niech pomaga, ale ja nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Nie wierzę w jakieś zaszrane czary-mary – wybuchnął Williams.

Zapadło milczenie przerwane wkrótce dźwięcznym barytonem pułkownika:

– Sierzancie...

Williams wiedział, że po takim wstępie dalsze spieranie się ze zwierzchnikiem to czysta strata czasu.

– Okay, okay. Zbiorę ją ze sobą, ale nie mam zamiaru koło niej skakać. Zbiorę ją do szpitala, odstawię z powrotem i na tym koniec. Parszywy interes!

Kiedy Nancy wyjrzała przez szerokie okno saloniku, spostrzegła od razu, że facet wchodzący po schodkach na werandę chciałby być gdziekolwiek, byle dalej od jej drzwi. Ta przenikliwość ani odrobinę nie przyczyniła się do rozproszenia jej obaw przed kolejną sprawą. W istocie załowała, że dała się namówić pułkownikowi do wspólnego działania. Prawdę powiedziawszy, mimo rzetelnej pracy, jaką wykonała dla rodzin w New Jersey i Pensylwanii, wciąż nie była przekonana, czy postrzeganie pozazmysłowe jest sposobem wystarczająco dokładnym i zgodnym z charakterem pracy policyjnej.

Zaskakująco precyzyjna przepowiednia, dotycząca katastrofy łodzi i przypadku Cilimburga, wywołała rozgłos i na krótko kreowała Nancy na miejscową atrakcję. Wzrosły oczekiwania i policja wystąpiła z propozycją współpracy. Nancy jednak nie była do końca przeświadczona, czy tę pracę potrafi wykonać dobrze.

A jeśli nawet od czasu do czasu podejmie się jakiegoś zadania, to przecież skaże się tym samym na doświadczanie takich samych emocjonalnych przeżyć, co dana ofiara – myślała. A co będzie, jeżeli zdarzy się jej pomyłka? Nie chce przecież wystawić się na pośmiewisko, ani działać pod przymusem. Strachem przejmowała ją myśl, że wielu oficerów śledczych może spędzić mnóstwo godzin podążając po śladzie, który zaistniał tylko w jej fantazji. Wyobrażenia podsuwała jej obraz pełen obaw, że kiedy poda fałszywy trop. Zostanie aresztowana, a jeśli określi zbyt wiele szczegółów może postawić siebie w sytuacji osoby podejrzanej.

Pułkownik jednak potrafił być niezwykle przekonywujący. Wyprostowana jak struna żołnierska sylwetka wywoływała z miejsca postrach, a gdy przemówił, w jego niskim, wibrującym głosie było tyle pewności i naturalnej godności, że osoba, do której się zwracał, rzadko wątpiła w słuszność słyszanych słów, czy też sprzeciwiała się jego rozkazom.

A poza tym, Nancy musiała się przyznać przed sobą, że jego zabiegi, zmierzające do pozyskania współpracy, mile schlebowały jej próżności.

Z Irvinem Smithem zetknęła się pierwszy raz dwa lata temu, na seminarium w Delaware technical community college. Smith, wydelegowany przez ówczesnego komendanta Jamesa Forda, miał się zorientować, czy prowadzony przez Nancy trening intuicji może znaleźć zastosowanie w pracy policyjnej. Był przy tym osobiście zainteresowany znalezieniem odpowiedzi na pytanie, czy to, co na policji nazywano „szczęśliwym posunięciem”, może być czymś więcej niż tylko przypadkiem.

Owego dnia Nancy zaznajamiała słuchaczy z zasadami psychometrii, demonstrując możliwość pozyskiwania informacji z przedmiotów martwych. Wśród wręczonych jej doświadczalnych obiektów znalazła się odznaka policyjna Smitha. Dokładność i szczegółowość tego, co ta kobieta miała o nim do powiedzenia, wywarła na policjancie niezatarte wrażenie. Jednym z jej komentarzy była zapowiedź uzyskania przez niego wysokiego awansu.

Faktycznie, dwa lata później Smith został komendantem policji stanowej stanu Delaware i miał pod sobą ponad 470 oficerów w dziewięciu ekipach dochodzeniowych, od Wilmington po Georgetown. Wówczas ponownie natknął się na Nancy. Ich drogi skrzyżowały się na początku 1976 roku w Dupont Country Club, w Wilmington. Tam Nancy także prezentowała swoje zdolności odczytywania cech i spraw ludzkich z przedmiotów emocjonalnie związanych z daną osobą. Obecny na pokazie bliski przyjaciel Smitha, kapitan Pete Sheldon, zwany „kościstym”, zapatrywał się na to dość sceptycznie.

Przydomek Sheldon'a brał się od jego chudej, wysokiej postury i pociągłej twarzy o ostro rzeźbionych rysach. Swym słusznym wzrostem stu dziewięćdziesięciu centymetrów znacznie górował nad większością mężczyzn, ale jego poglądy na sposoby pracy w policji były zdecydowanie bardziej przyziemne. Hołdował zasadzie: „konkretnie i przepisowo”, która nie dopuszczała, aby jakaś postronna „dzierlatka”, oglądając koszulę czy skarpetkę, mówiła, co się wydarzyło.

Sheldon i Smith byli bliskimi przyjaciółmi. Obaj służyli w Marynarce i wstąpili do policji mniej więcej w tym samym czasie. Gdy Smith otrzymał rangę pułkownika, właśnie z Sheldonem i jego żoną oblewał swój awans.

– Nie, stary, takiego kitu nikt mi nie wciśnie – oburzał się Sheldon. – To się po prostu kupy nie trzyma!

– Słuchaj, kościsty. Stanowczo ci oświadczam, że choć nigdy przedtem nie spotkałem tej kobiety, opowiedziała wtedy o mnie i mojej rodzinie takie rzeczy, jakie tylko moi najbliżsi mogli znać.

Ta prowadzona szepem wymiana zdań przyciągnęła uwagę Nancy, która zwróciła się do Sheldon'a z pytaniem, czy chciałby udzielić jej jakiegoś osobistego drobiazgu do przeprowadzenia eksperymentu. Z początku policjant zaczął odmownie kręcić głową, ale raptem zmienił zdanie i wyciągnął portfel. Skórzany przedmiot, chociaż ogrzany ciepłem ciała, emocjonalnie był całkiem zimny.

– Nic nie potrafię powiedzieć – oznajmiła Nancy.

– Widzisz? – Sheldon z tryumfującym uśmiechem obrócił się do przyjaciela.

– Moment, stary. Poczekaj chwilę – mitygował go Smith.

– To nowy portfel – ciągnęła kobieta. – Nie nosi go pan zbyt długo.

Sheldon był zdumiony. Faktycznie, portfel ten kupił sobie jakieś sześć tygodni temu. Wyciągnął rękę, by go odebrać.

– Muszę dostać coś, co pan ma już dość długo i jest to przedmiot panu bliski, ceniony przez pana – wyjaśniła.

Sheldon niechętnie i z zakłopotaniem wręczył jej zegarek.

Zamknęła w dłoni podany drobiazg, a potem spojrzała wprost na policjanta.

– Nie chcę się tutaj wdawać w szczegóły, ale powiem panu, że ma pan teraz kłopoty z jednym z synów. Jeśli chciałby pan o tym porozmawiać obszerniej, służę po spotkaniu.

Później wymieniła szereg mniej drażliwych faktów odnoszących się do samego Sheldon'a, jego rodziny, wydarzeń z przeszłości. Były to szczegóły, których w żaden normalny sposób nie mogła wcześniej znać.

Nazajutrz Smith zadzwonił do Nancy.

Następnie telefonował regularnie każdego dnia przez kolejne dziewięć tygodni.

– Nancy – mawiał – mam kilka spraw, które mogłabyś pomóc rozwiązać. Naprawdę tak myślę. Zgódź się tylko przyjechać, a sami cię przywieziemy, czymś ugościmy i będziemy mogli pogadać.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – odpowiadała niezmiennie Nancy. – mam teraz coś innego na głowie. Jestem zajęta.

Smith był uprzejmy, ostrożnie ważył słowa, ale każdą rozmowę zawsze kończył zapewnieniem, że następnym razem postara się być bardziej przekonujący, a odmowy nie przyjmie.

Nancy pojęła w końcu, że wykręty nic tu nie pomogą, nie jest to sposób na pozbycie się pułkownika. Seria telefonów mogłaby się urwać dopiero wtedy, gdyby Smith sam doszedł do wniosku, że informacje pozyskane drogą postrzegania pozazmysłowego nie są na tyle dokładne, żeby się przydać policji.

– Okay – zgodził się z wysuwanymi przez nią zastrzeżeniami. – ty tylko przyjeżdż i pokaż, co potrafisz. Jeśli wyjdzie na twoje, przeproszę, postawię ci lunch i damy sobie spokój ze wszystkim.

Niby przyznała mu rację, ale wciąż jeszcze szukała okazji, by się wymigać od spotkania. Jednak Smith kuł żelazo póki gorące.

– No to na kiedy się umawiamy? – naciskał.

– Naprawdę nie wiem, muszę najpierw załatwić sobie opiekunkę do dzieci.

– W porządku, zorganizuj sobie opiekę i zadzwoni do mnie.

Oczywiście nie zadzwoniła, ale on nie rezygnował. Zatelefonował i tym razem Nancy zmuszona była określić, kiedy się zobaczą. A w tydzień później Carl Williams stukał do jej drzwi.

Ubrany był w garnitur, ale Nancy nie dała się zwieść zwykłym wyglądem mężczyzny. Nie przyszedł z normalną wizytą towarzyską. Nancy wiedziała, że dla tego faceta praca w policji stanowiła sens życia, niemal obsesję. Wyczuwała także, że miejsce u progu jej domu jest ostatnim, w jakim pragnął się znaleźć w ten słoneczny, majowy poranek.

– Carl Williams z policji stanowej – przedstawił się obojętnym tonem. – pułkownik Smith przysłał nas, żebyśmy zabrali niejaką Nancy... – zawiesił głos i z udawanym zakłopotaniem odwrócił się do kolegi stojącego z tyłu.

– Anderson – odpowiedział partner zdumiony nagłą utratą pamięci szefa. Skorzystał z okazji, by się również przedstawić:

– Jestem Greg Sacco.

Był wyższy, młodszy od Williamsa i w wyraźnie lepszym nastroju.

Nancy schyliła się, łapiąc za obrozę szczekającego psa, i wolną ręką przytrzymała drzwi. Policjanci weszli do środka, a ona, wciąż pochylona w niewygodnej pozycji, patrzyła w górę, w pełne zniecierpliwienia i złości oczy Williamsa.

– Nancy Anderson to ja – powiedziała, nadal powstrzymując wrywającego się czworonoga. Uświadomiwszy sobie jednak jak groteskowo musi wyglądać, puściła obrozę. Ogar trzymany na uwięzi przejawiał temperament dobermana, ale puszczonej wolno stracił od razu całą zaciętość. Łypnął zdziwionym ślepiem na swoją panią, podbiegł truchcikiem do Sacco i zaczął mu obwąchiwać nogi. Za chwilę oparł mu przyjaźnie łapy na kolanach. Młodszy oficer podrapał zwierzaka po łbie i zapytał, jak się wabi.

– George – odparła Nancy.

Williams wzniosł oczy do nieba i ruszył do saloniku. Za nim szli Sacco i Nancy, a na końcu George. Przez chwilę wszyscy stali po prostu na środku pokoju, nie za bardzo wiedząc, co z sobą zrobić.

– Pułkownik chce, żeby pani porozmawiała z pewnym chłopakiem w szpitalu Du Ponta – przerwał w końcu milczenie Williams. – Szkopuł w tym, że facet jest w stanie śpiączki. Wie pani, jak to zrobić?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Nancy. – Pomagałam policji w kilku jedynie sprawach. Nie mam doświadczenia. Mówiłam to pułkownikowi. Współpraca z policją to nie mój pomysł.

– Ani mój – mruknął Williams.

Nancy oczekiwała sceptycyzmu, błahej obojętności, ale na kogoś takiego jak ten uprzejmy policjant o kamiennej twarzy nie była przygotowana.

Oboje przez chwilę mierzyli się wzrokiem, w końcu Nancy odezwała się pierwsza:

– Powiem panu coś. Nie sądzę, żeby się to wszystko udało. To przez upór pułkownika. Wydzwaniał do mnie pełne dziewięć tygodni i wreszcie namówił do wspólnego działania. Teraz trafia mi się jedyna okazja uwolnienia. Mam zamiar pojechać z panem i udowodnić pańskiemu zwierzchnikowi, że sprawa z tym chłopakiem nie wypali – wtedy oboje będziemy mieli tę współpracę z głowy.

No i chwala Bogu, pomyślał Williams, starając się ze wszystkich sił nie pokazywać po sobie uczucia ulgi. Nie było to łatwe. Już w czasach szkolnych miał z tym kłopot; wszelkie wrażenia odbijały mu się na twarzy. Teraz także stale się musiał pilnować, by maskować emocje.

Przedłużające się milczenie przerwał Sacco:

– A może pojechać najpierw do Dover?

Policja prowadziła również dochodzenie w sprawie podpalenia w Dover. Miasto było odległe o ponad godzinę jazdy na południe i Williams próbował wymyślić sposób, dzięki któremu mógłby, nie rozjuszając szefa, uniknąć wyjazdu do Dover z Nancy, oszczędzając tym sobie fatygi i czasu. Nie wierzył wprawdzie, że ktoś

mógłby naprawdę czytać w myślach innych ludzi, lecz mimo to nie był zachwycony pomysłem spędzenia godziny w zamkniętym samochodzie z jakąś babą, której się wydaje, że to potrafi.

– A może wystarczy pokazać tej pani zdjęcia podpalonego obiektu? – rzucił pytanie do podwładnego.

Młodszy funkcjonariusz spojrział na Nancy; wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Ale pobyt na miejscu przestępstwa może być pomocny.

– No to czemu jej tam nie zabrać? – zaproponował Sacco koledze.

– Czemu nie? – zgodził się Williams niechętnie.

Samochodowa podróż do stolicy stanu dłużyła się Nancy niemiłosiernie. Siedziała z tyłu, a policjanci ignorowali jej obecność przez większą część drogi.

Sacco od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie, przeważnie dotyczące dzieci. Przy jednej z takich rzadkich okazji Nancy opowiedziała mu, jak mały Blake zaklinował się w swoim łóżeczku, kiedy skakał po nim jak na trampolinie. Podczas niefortunnego zeskoku nóżka malca wpadła pomiędzy metalową ramę a stalową sprężynę i uwięzła niemal do pachwiny. Mimo wszelkich starań nie można było chłopca uwolnić. Nancy próbowała rozmaitych sposobów – noga ani drgnęła. Oczekiwanie na wezwaną pomoc Travis osładzał bratu czekoladkami, żeby ten się nie szamotoł i nie wpadał głębiej. Słodkie środki uspokajające spełniały swoją rolę, dopóki dzieciak nie zobaczył ratownika w czerwonym kombinezonie wchodzącego do sypialni z nożycami. Mały podniósł niesamowity wrzask myśląc, że mężczyzna, żeby go wyciągnąć, będzie musiał uciąć mu nogę. Ale facet z ekipy ratunkowej przechylił tylko łóżeczko i mocno popchnął sprężynę od spodu. To wystarczyło – Blake był wolny.

Nancy odniosła wrażenie, że we wstecznym lusterku odbił się cień uśmiechu przemykający po twarzy mężczyzny siedzącego za kierownicą, ale pewności nie miała. Pomyślała jednak, że Williams musi chyba mieć dzieci.

– Pani pracowała nad tą sprawą z zatonięciem łodzi? – spytał Sacco, ale zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

– Zadzwońłam do dziennikarza z *New Journal*, a on skontaktował mnie z rodziną. Wcześniej telefonowałam też do komisariatu, opowiedziałam im moją wersję wypadku, ale tamtejszy funkcjonariusz nie potraktował mnie poważnie.

– Pewnie tylko wpisał pani zgłoszenie do okrągłego rejestru – wtrącił Williams. – Ja bym tak zrobił.

– Czy to jakiś specjalny rejestr dla topielców? – zainteresowała się Nancy.

– Podobno przewidziała pani czas i miejsce wyłowienia zwłok – pospieszenie wpadł jej w słowo Sacco nie chcąc, żeby kobieta się domyśliła, że „okrągły rejestr” to po prostu okrągły pojemnik na śmieci.

– To było strasznie przynębiające. Ojciec chłopca pokładał wiarę w żeglarskich umiejętnościach syna, które powinny uchronić go przed zatonięciem i, szczerze mówiąc, sama myślałam, że chłopak zdołał ocalić życie. Byłam o tym przekonana aż do dnia, kiedy pojechałam nad rzekę z tym dziennikarzem. Potem znalazłam już smutną prawdę. Wiedziałam.

– Skąd pani wiedziała?

– Zobaczyłam to.

– Zobaczyła pani... – powtórzył Williams beznamiętnym tonem.

– Oczywiście duszy widziałam obraz katastrofy. Oglądałam go w głowie niczym film, z tą tylko różnicą, że czułam się tak, jakbym była nie widzem, a uczestnikiem.

Williams zgromił kolegę wzrokiem za podjęcie tego tematu, ale nie zdołało to zgasić ciekawości Sacco.

– A jak pani to robi? – dopytywał się.

Nancy zastanawiała się chwilę. Czasami czuła, że „to” się po prostu dzieje, nie musiała się wcale wysilać, a mogła nad wszystkim panować. Miała na ten temat swoją teorię, pewne spostrzeżenia, ale nie chciała się nad tym rozwodzić w obecności wrogo nastawionego policjanta.

– Właściwie nie wiem – zamknęła kwestię ostatecznie.

Zajechali na duży parking położony na przedmieściu Dover, w sąsiedztwie jakiegoś rozwalonego magazynu i kompleksu biurowego. Ruszyli powoli dokoła budynku, a po trzech okrążeniach Williams zatrzymał samochód przy bramie. Odwrócił się na fotelu i utkwiał wzrok w Nancy.

– No i...? – spytał.

– Co? Ach... Sądziłam, że zabierzecie mnie do spalonego budynku – wyjąkała zmieszana Nancy. Jak tylko wymknęły jej się te słowa, od razu pożałowała. Była więcej niż pewna, iż Williams w tej chwili pomyślał z drwiną: „ładny z niej jasnowidz!”

Poczula nerwowe ściskanie w okolicy żołądka. Uczyniła wysiłek, żeby zachować spokój wiedząc, że teraz musi się skupić i opanować. W odzyskaniu równowagi pomogła jej nadzieja, że już niebawem uwolni się od pułkownika Smitha.

Williams próbował wymienić pełne wyrazu spojrzenia z Sacco, ale podwładny, unikając jego wzroku, zwrócił się do Nancy:

– Może pani zacząć pracować już tutaj? Wziąłem ze sobą część dokumentów dochodzeniowych, może chce pani rzucić okiem na zdjęcia?

– Nie, najpierw spróbuję wykorzystać wpływ otoczenia. Potem ewentualnie przejrzę fotografie.

W aucie zaczęło się robić coraz cieplej. Nancy rozpięła żakiet i oparła czoło o szybę.

Williams ponownie wrzucił bieg i ruszył wolno w ostatnią rundę wokół budynku. Ten płynny i spokojny ruch samochodu pomógł się Nancy odprężyć. Odprężyć i skupić.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, znalazła się w jakiejś stodole, a może stajni. Nie spodziewała się takiego otoczenia, ale ostry zapach wilgotnego siana i spleśniałego zboża nie pozostawiał wiele wątpliwości. Bywała z ojcem w zbyt wielu takich miejscach, by teraz nie rozpoznać, gdzie się znajduje. Coś tu jednak było nie tak. Rozejrzała się dokoła. Panował półmrok. A gdzie zwierzęta? Gdzie zapach gnoju? Czuć było natomiast lekką woń... Benzyny? W słabo oświetlonym wnętrzu majaczyły niewyraźne kontury jakichś maszyn. Skąd tu maszyny, jakie maszyny? Niemal jednocześnie z tym pytaniem napłynął obraz symbolu właściwego dla marki John Deere, a potem wizja traktora i jeszcze kilku maszyn rolniczych. Była tam też jakaś mała cysterna na paliwo. Jakie to dziwne, pomyślała Nancy, że kurek cysterny jest otwarty i ciemna strużka ścieka na betonową podłogę, płynąc ku brezentowej płachcie rozpostartej pomiędzy sprzętem rolniczym. Wśród tego sprzętu metodycznie poruszali się dwaj ludzie. Widziała ich bardzo wyraźnie, co było w zasadzie wbrew logice wobec panujących w stodole ciemności. Jeden z mężczyzn nosił jakieś blaszanki, drugi trzymał kilka świec. Nancy patrzyła, jak ci ludzie bez pośpiechu układali te blaszane puszkę i świece na brezencie.

– Starczy wibracji?

Charakterystyczny ton głosu Williamsa wyrwał ją z transu i przeniósł z powrotem do samochodu.

– Tak, panie sierżancie. Myślę, że wystarczy.

Szczegółowość wizji wzmocniła jej zaufanie w prawdziwość obrazu, ale i zmartwiła. Cóż z tego, że mogła zidentyfikować ludzi widzianych oczyma duszy, skoro nie miała pojęcia, dlaczego w jej głowie powstał wizerunek jakiejś stajni czy stodoły, kiedy w istocie to, co oglądała naprawdę, było spalonym magazynem w podmiejskim terenie o zabudowie przemysłowej.

– No więc, kto to zrobił? – spytał obcesowo Williams.

Sacco aż skrzywił się w fotelu z zażenowania.

– Dwaj mężczyźni – odparła Nancy. – Jeden ma około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i waży jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilogramów. Jest ciemnowłosy i lekko ciągnie za sobą nogę. Gładko wygolony, o owalnej twarzy, trochę powyżej trzydziestki. Drugi, młodszy, to blondyn. Może mieć dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Mocnej budowy, zdolny podnosić ciężary. Starannie ubrany i wyglądający zdrowo. Oczy ma zielone. Dziwna sprawa... Należałoby sądzić, że obaj powinni być zdenerwowani robiąc coś takiego, a oni sprawiali wrażenie zupełnie spokojnych. Ale to nie ten budynek spalili – dodała na zakończenie. – podpalili jakąś stodołę.

Czekała z napięciem na komentarz Williamsa, ale policjant milczał. Kiedy podniosła oczy, obaj mężczyźni wpatrywali się w nią z napięciem. Williams wyglądał tak, jakby wpadł w osłupienie. Sacco, z początku również zdumiony, odzyskiwał rezon i z wolna na jego oblicze wypływał uśmiech.

– Jedźmy już – przerwał wreszcie milczenie Williams – zanim ktoś wezwie miejscowych gliniarzy i trzeba się będzie tłumaczyć, co tu robimy.

Wyprowadził samochód z parkingu i jechał w milczeniu aż do piaszczystej zatoczki obok drogi. Sacco cały czas przerzucał plik jakichś papierów, które sobie położył na kolanach.

– Czuję tam naftę – odezwała się Nancy – a na podłodze rozłożona była brezentowa płachta. Oni mieli też świeczki. Widziałam, jak ustawiali je na brezencie. Rozróżniłam też inny zapach, woń benzyny. Ale nafta przeważała.

Sacco wyciągnął z dokumentów protokół wizji lokalnej i przebiegał go wzrokiem. Williams milczał.

Nancy ponownie wróciła duchem do tamtej sceny.

Teraz w stodole szalał ogień, topiąc i skrzęcając jakieś metalowe części. Niewiele wiedziała o pożarach, ale zdumiewała ją żarłoczność, z jaką płomień pochłaniał budynek wraz z zawartością.

– Tam był straszliwy żar – powiedziała niepewnie.

– Bo paliła się nafta. Benzyna wybucha, a nafta daje gorący płomień – wyjaśnił Williams.

Nancy wciąż zachodziła w głowę, dlaczego odebrała myślowy obraz stodoły, kiedy oglądanym obiektem były najwyraźniej jakieś zabudowania handlowe. Jednak wiedząc doskonale, że rzeczywiste dane mogą zakłócić odbiór informacji mentalnych, zaniechała pytań i próbowała się odprężyć.

– Ale po co to wszystko? – głowił się Sacco. – Po to tylko zniszczył wszystkie swoje maszyny, żeby dostać odszkodowanie?!

– Przecież on wcale nie zniszczył wszystkiego – zaproponowała Nancy.

Obaj mężczyźni obrócili się do niej jak na komendę.

– Trzy maszyny wyprowadził wcześniej. Kombajn marki Harvester i jakiś traktor, chyba „John Deere”. Co trzecie, nie wiem, ale jestem pewna, że tak było.

Tymczasem Sacco trzymał już w ręku listę sprzętu zgłoszonego do wypłaty odszkodowania.

– W wykazie jest kombajn „Harvester” i traktor „John Deere” także – stwierdził, wodząc palcem w dół kartki.

– Może, ale ja widziałam, że traktor ten nie został spalony.

– Chwileczkę – przerwał Williams, wyciągając listę z rąk kolegi. – Porównajmy ten opis ze zdjęciami spalonego wnętrza.

Nancy pochyliła się do przodu, jak najbliżej szczeliny pomiędzy przednimi fotelami. Williams położył sobie na kolanie wykaz wypłat za odszkodowanie obok zdjęć z pogorzelniska.

Po dobrej minucie podniósł wzrok na kolegę.

– Trzech maszyn brakuje. Do diabła, czemu dotąd nikt nie policzył tych wraków?!

Sacco wzruszył ramionami.

– Okay. Tylko jak to teraz udowodnić?! – Williams kręcił głową, ale w jego tonie nie było już poprzedniego sarkazmu.

Nancy odchyliła się do tyłu i zadała sobie to samo pytanie.

Zobaczyła obraz jakiegoś starszawego mężczyzny, któremu luźna porowata skóra zwisała z okrągłych policzków. Miał bulwiasty, czerwony nos, a na nim okulary o grubych szklach. Ubrany był w jakiś niebieski kombinezon. Ten przekaz myślowy Nancy odbierała z uczuciem niezachwianej pewności, że mężczyzna wie, co się stało tamtej nocy.

Streściła policjantom swoją wizję, ale widać było, że te informacje niewiele im dały.

– Jest jeszcze coś, co może być pomocne – dodała. – On te maszyny trzyma u siebie. Ma jeszcze jeden warsztat czy magazyn.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Czyżby szukany przez nich facet był aż tak głupi? Cóż, to się da sprawdzić.

Godzinę później Williams zatrzymał samochód w okolicy Bear, przy starej stacji benzynowej zwanej „u Toniego”. Były tu tylko dwa stanowiska do pobierania paliwa, a niewielki baraczek służył jako biuro. Opodal otwartych drzwi stał czerwony automat do coca coli.

W czasie jazdy z Dover Sacco chciał zapoznać Nancy ze szczegółami sprawy napadu na stację i pobicia Jacka White’a, ale ona wolała znać tylko nazwisko ofiary i datę zajścia. Po przybyciu na miejsce obaj policjanci weszli do baraku, skąd za chwilę dobiegł głos Williamsa prowadzącego z kimś rozmowę.

Nancy jednak ociągała się z wejściem do środka. Skupiając myśli na nazwisku chłopca, oddalała się powoli od drzwi biura. Ale po przejściu zaledwie paru metrów nogi raptem odmówiły jej posłuszeństwa, ciało stężało i stanęła jak wryta. Otworzyła usta jak do krzyku i unosząc wzrok ku górze spojrzała wprost na uliczną latarnię.

Nagle blask lampy oślepił jej oczy, a wokół zamiast przejrzystej jasności majowego popołudnia rozpostarła się głęboka noc i jej atramentowo czarne ciemności, w których stacja benzynowa „u Toniego”, oświetlona sztucznym światłem latarni, była jedynym widocznym miejscem. Rozbrzmiewający w głowie Nancy krzyk i błaganie o litość, wypowiedane głosem młodego chłopca, przeniosły ją duchowo do wnętrza biura. Tępy ból ścisnął jej żebra stalową obręczą, a ostry cios przeszył grzbiet. Kaleczone mięśnie zwijały się niczym gniazdo przerażonych żmij. Tysiące obrazów wirowało w myślach w gigantycznym zamęcie, ścinając krew w żyłach, wyciskając powietrze z płuc.

– Dobrze się pani czuje? – głos był znajomy; brzmiał uspokajająco i blisko.

Nancy mrugnęła oczyma i znów wróciło popołudnie. Obok stał Sacco i patrzył na nią z troską.

Wciąż oszołomiona pokręciła głową.

– Nie. Nie wiem. Jakoś nie mogłam się ruszyć.

Williams ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma przyglądał jej się z niewielkiego oddalenia. Wymienił spojrzenie z kolegą.

– Chodź tu, chłopie, i powiedz jej – rzucił Sacco.

Williams jednak odwrócił się bez słowa i ruszył do samochodu.

Wyglądał tak, jakby się z czymś zmagał, coś w sobie przetrwał.

– Nie mogę zostać w tym miejscu, muszę kawałek odejść – powiedziała Nancy cichym, znużonym głosem.

Sacco podprowadził ją do auta, gdzie mogła się oprzeć o drzwi.

– Co on ma mi powiedzieć? – zainteresowała się.

– Chodzi o miejsce, w którym pani stała. Dokładnie tam znaleziono chłopaka.

Nancy specjalnie się nie zdziwiła, ale głęboko przejęła. Koszmar koszmarem, jednak świadomość, że to, co przeżyła w wizji, było w rzeczywistości prawdziwym cierpieniem i męką jakiegoś człowieka, stała się niemal nie do zniesienia. Ogrom nienawiści i gniewu, które znalazły ujście w ataku na bezbronne ciało, napelniał ją przerażeniem. Głos Sacco zdawał się odpływać gdzieś w dal, a okropna wizja jęła znów powracać. Czując, że kręci jej się w głowie, Nancy wzięła głęboki oddech.

– Wszystko w porządku? – zatroszczył się Sacco.

Kiwnęła głową w milczeniu. Jeszcze jakąś minutę zbierała siły. Potem skupiła się i zaczęła opisywać swoją wizję.

– Widzę trzech mężczyzn. Przyszli obrabować chłopaka, ale on im się postawił. Jack White nie należy do potulnych osób. Nie potrafi biernie przyjmować zła. To było niemądre, że zaczął bronić stacji, ale chciał pokazać, jaki z niego chojrak. W jego sposobie zachowania było coś, czym sprowokował napastników do ataku. Widzę trzech drani. Dwóch stoi z boku i się gapi; ten, który bije chłopaka, to potężny drab, przypuszczalnie

ciężarówiec, a z całą pewnością facet silny i owładnięty wściekłością. Brutal, który stracił panowanie nad sobą. Działa jak w transie. Zaczął bić Jacka i nie może przestać.

– Potrafi pani dokładnie opisać, jak on wygląda?

Sacco wyciągnął notes.

Nancy na moment przymknęła oczy i po raz drugi przebiegła w myślach oglądane obrazy. Teraz czyniła to spokojnie, z dystansu i bez emocji.

– Potężnie zbudowany, twarz popolita, z nosem boksemerskim; takim złamanym czy spłaszczonym.

– Rasy?

– Białej, tak jak dwaj pozostali. Ten wielki ma na koncie długi rejestr występów: włamania, napad z bronią w rękę. To niebezpieczny przestępca.

Williams siedział w samochodzie. Fragmenty rozmowy toczącej się między Sacco a Nancy wpadały mu w ucho, ale nic z tego, co teraz usłyszał, nie uznał za rewelację. To go podnosiło na duchu; wciąż musiał bowiem dochodzić do siebie po słowach Nancy wypowiedzianych tam, na pogorzeliisku.

– Macie panowie mapę? – spytała kobieta.

– Mapę? Może być mapa naszego stanu? – odpowiedział pytaniem Sacco.

– Zbyt mało szczegółowa.

– Po co pani mapa? – zainteresował się Williams.

– Spróbuję wskazać, gdzie ten bandyta mieszka.

– Naprawdę pani to potrafi?! – nawet Sacco nie mógł w to uwierzyć.

– Nie wiem. W sprawie łodzi mapa pomogła.

Komisariat mieścił się w budynku o oryginalnej, ceglanej fasadzie, położonym w pobliżu lotniska Wilmington, zaledwie kilka mil od stacji benzynowej „u Toniego”. Williams założył, że w takim miejscu bez wątplenia znajdzie się szczegółowa mapa okolicy. Zaparkował tuż obok wejścia, na miejscu zarezerwowanym dla komendanta, i pierwszy wysiadł z auta. Zanim Sacco zdążył otworzyć drzwi po stronie Nancy, Williams, rzuciwszy tylko: „muszę zadzwonić”, zniknął we wnętrzu budynku.

Ten nietypowy na zewnątrz komisariat w środku przedstawiał się całkiem zwyczajnie. Dekorator wnętrz najwidoczniej hołdował wyłącznie zasadzie dbałości o bezpieczeństwo. Jeśli nawet zachowano tutaj jakiś architektoniczny styl, można go było określić mianem oschłego i pozbawionego starania o wygodę. Jedyne umeblowanie holu stanowiła drewniana ławka z wąskim siedzeniem i niewygodnym oparciem. Sacco usadowił Nancy na tej „ławie tortur”, a sam załatwił pozwolenie wejścia na górę – żądał otwarcia pokoju przesłuchań i udostępnienia szczegółowej mapy Wilmington.

Williams pojawił się dopiero na piętrze, przy stole z rozłożoną mapą. Nancy również podeszła do mapy, ale oczy utkwiała w przeciwległej ścianie. Patrzyła przed siebie, gdyż opisy i szczegóły topograficzne rozpraszały jej uwagę i przeszkadzały w koncentracji. Skupiła myśli na wizji muskularnego mężczyzny, jednocześnie lekko wodząc ręką ponad zadrukowaną powierzchnią. Papier w dotyku był prawie wszędzie tak samo chłodny, tylko w jednym miejscu poczuła ciepło pod dłonią. Wskazała palcem ten punkt.

– On mieszka tutaj – oświadczyła.

Sacco przysunął się bliżej, żeby dokładnie obejrzeć określony obszar. Wyciągnął notes i zapisał nazwy przecinających się ulic oraz najbliższy obiekt w tej okolicy – szpital świętego Franciszka.

Kolejna przerwa w podróży wypadła w klinice ortopedycznej im. Alfreda i Du Ponta, instytucji o światowej renomie, usytuowanej w północnej części Wilmington. Pokój, w którym leżał Jack White, był niewielki i, ku zdumieniu Nancy, stosunkowo pusty, bez zwykłego wyposażenia i sprzętu, jakie zazwyczaj znajdują się w salach szpitalnych. Oprócz łóżka i krzesła z prostym oparciem stał tu tylko stolik z małym grającym cicho przenośnym radiem.

Zaraz po wejściu do środka Sacco podszedł do łóżka sprawdzić, czy od ostatniej wizyty zaszła w stanie pacjenta jakaś zmiana. Williams został na korytarzu.

Żadne z doświadczeń przeżytych w tym dniu, tak przecież wyczerpującym emocjonalnie, nie mogło się jednak równać z szokiem, jakiego Nancy doznała na widok Jacka White'a. Z natury nieduży i szczupły chłopiec – który miał jedynie sto sześćdziesiąt centymetrów i musiał kiedyś ważyć około sześćdziesięciu kilogramów – od lutego, kiedy został pobity, jeszcze stracił ogromnie na wadze. Cały czas był nieprzytomny i nie mógł normalnie jeść. Chudziutkie ramiona zgięte w łokciach obronnym gestem i dłonie lekko ściśnięte w niedomknięte pięści nieustannie drżały. Usta miał otwarte, jakby do krzyku, który nie mógł mu się wydobyć z gardła.

Nancy umiała odbierać oznaki aktywności ludzkich umysłów. Przejawy tej aktywności wyczuwała u Jacka, lecz jego sygnały myślowe nadawane były na przerażająco niskim poziomie. Przeważał w nich strach, jakby chłopiec przebywający w swoim zamkniętym świecie nadal był bity. Myśl, że Jack mógł zostać złapany w pułapkę tamtej chwili, przejęła Nancy dreszczem.

Jack leżał na boku, tyłem do drzwi. Oczy miał zamknięte i gdyby nie drżenie ciała, wyglądałby jak martwy. Nancy, stojąc za nim, starała się dostroić do jego umysłu; wysyłała ku niemu fale mózgowe zawierające ładunek pocieszenia – miały sprawić mu ulgę. Odebrany w odpowiedzi sygnał cierpienia chłostał i ciało otwartą ku chłopcu psyche Nancy.

Obeszła łóżko dokoła, by spojrzeć na twarz Jacka. Potem, zamknawszy oczy, zaczęła powtarzać w myśli:

Uspokój się, jesteś już bezpieczny. Nie bój się. Jesteś w szpitalu.

Z transu wyrwał ją nagły odgłos głośno zaczerpniętego ustami powietrza. To Sacco sapnął ze zdziwienia. Szeroko otwarte oczy Jacka patrzyły teraz wprost na Nancy.

– Czy zrobił to odruchowo? Jak pani myśli? – spytał zdumiony policjant.

– Nie wiem – odpowiedziała, ale w głębi duszy była przekonana, że to coś więcej niż odruch. Chłopiec sprawiał wrażenie spokojniejszego, drżenie trochę zelżało.

Do pokoju wszedł czarnoskóry pielęgniarz. Zmienił pozycję pacjenta.

– Ten facet nie wie o bożym świecie – zagadnął nie pytany.

W tej samej chwili z ust Jacka wydobył się niski, gardłowy odgłos, niczym skowyt – prymitywny i cichy:

– Auugggg.

– To nieprawda. On zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Nie może mówić, ale rozumie wszystko – Nancy zareagowała pospiesznie.

Na dźwięk jej głosu Jack jakby się uspokajał. Wciąż na nią patrzył.

– Niemożliwe. Doznał za dużych obrażeń. Na pewno nie kontaktuje – upierał się pielęgniarz.

– Auuggg...

– Oto jego odpowiedź – skwitowała Nancy. – Na swój sposób chce powiedzieć, że jest pan w błędzie. Słyszysz, co pan mówi, i rozumie to.

– On wydaje takie odgłosy od czasu do czasu. Zupełnie przypadkowo. – pielęgniarz nie dawał za wygraną.

– Moim zdaniem powinien pan zwracać większą uwagę, kiedy to się zdarza, bo on wtedy próbuje porozumieć się z panem – obstawała Nancy przy swoim.

Pielęgniarz, najwyraźniej nie przekonany, uśmiechnął się tylko i powrócił do swych zajęć. Ponownie obrócił pacjenta, układając go plecami do Nancy. Z ust chłopca znowu wypłynął gardłowy dźwięk, długi i nieprzerwany.

– Chyba chce patrzeć na panią. Wydaje mi się, że to jego wołanie – zauważył Sacco.

Nancy znów przeszła na drugą stronę łóżka. Z chwilą, gdy się znalazła w polu widzenia chłopca, dźwięk umilkł.

Była pewna, że w jego oczach widniał ślad myśli. Jack nie mógł mówić, ale jego umysł nie przestał działać.

Delikatnie ujęła zaciśniętą pięść i poczuła, że ciało chłopca odpręża się, a początkowy dygot przechodzi w leciutkie drżenie. Skórę miał suchą, tylko na czole perlily mu się kropelki potu, jak po wielkim wysiłku. Nancy puściła jego dłoń z zamiarem wytarcia mu czoła, a wtedy od razu powrócił gardłowy dźwięk:

– Auuggg...

Poczekaj chwilę, sformułowała przekaz myślowy, chcę tylko wziąć szmatkę, żeby ci wytrzeć czoło. Nie denerwuj się.

– Auuggg...

Spokojnie Jack. Ja cię słyszę. Potrafię czytać twoje myśli. Nie musisz krzyczeć.

Była pewna, że w jego oczach ujrzała błysk zrozumienia. Próbowwała mu tłumaczyć, co ona tu robi, kim jest i po co przyszła z policjantem, ale gdy tylko zaczynała wspominać o napadzie, ciało chłopca tężało, mocniej dygotał i wydawał jęk. Wobec tego pospiesznie zaniechała wyjaśnień.

Nie myśl o tamtym. Pozbądź się wspomnień i skup się na dochodzeniu do zdrowia. Dokładaj starań, by przekonać ludzi, że potrafisz zrozumieć, co do ciebie mówią.

Gładziła go po czole. W pewnej chwili z radia dobiegł refren znanej piosenki „leć ptaszku, leć / fruń wysoko, aż do nieba... „

Ulubiona piosenka mamy, usłyszała w myślach. Słowa te odebrała z lekkim wstrząsem; spojrzała chłopcu w oczy, lecz nie wyczytała z nich niczego. A mimo to przekaz myślowy był wyraźny: *ulubiona piosenka mamy*.

Wyczerpane i udręczone ciało Jacka wyglądało tak, jakby chłopiec nareszcie odzyskał spokój.

Kiedy Nancy i Sacco wyszli na korytarz, Williams siedział na krześle przy ścianie. Patrzył na postępującą w milczeniu parę dziwiąc się, że jego podwładny nie zasypuje Nancy pytaniami. Gdy się zbliżyli, wstał z krzesła i we trójkę opuścili szpital bez słowa.

Nancy pierwsza przerwała milczenie.

– Nie na wiele chyba przyda się panom moja wizyta u tego chłopca – odezwała się, kiedy Williams wyprowadzał samochód ze szpitalnego parkingu.

– On chyba zdawał sobie sprawę z naszej obecności – zauważył Sacco. – Zawiadomię rodzinę, że chłopak zaczyna reagować.

– Gdy będzie pan z nimi rozmawiał, proszę zapytać o piosenkę „Leć, ptaszku, leć”.

– Piosenkę? A o co chodzi?

– Kiedy ją nadawali przez radio, chyba usłyszałam w myślach, jak Jack powiedział: „ulubiona piosenka mamy”. Właściwie pewna jestem, że powiedział te słowa.

Dalsza rozmowa już się nie kleiła, a dwadzieścia minut później samochód hamował przed domem Nancy. Williams wybąkał kilka słów podziękowania, które – o dziwo – zabrzmiały szczerze. Nie obiecywał sobie wprawdzie wiele po tej współpracy, ale docenił wysiłek Nancy.

W mieszkaniu zastała zaciągnięte zasłony rozpraszające przez tkaninę światło popołudniowego słońca. Nie odsłoniła okien. Przyćmiony blask, zalewając złotem wnętrze, czynił je przytulnym i bezpiecznym. George powitał ją hałaśliwym szczekaniem; potem przytulił łeb do jej kolan w niemej prośbie o pieczytę. Poklepała go czule po grzbiecie i opadła na sofę. Pies zwinął się w kłębek obok niej.

Była wyczerpana, ale doświadczenia tego dnia pomogły jej spojrzeć na siebie innymi oczyma.

Jestem zbyt wrażliwa. Za bardzo to przeżywam. To mi nie wyjdzie na dobre.

Zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie zrezygnować ze współpracy z policją, bez względu na prośby czy naciski ze strony pułkownika.

A jeśli odebrany przeze mnie przekaz myślowy nie jest prawdziwy? Zresztą, tak może byłoby lepiej – nie ciągnęliby mnie do współpracy w innych sprawach.

Nie mogła się jednak oszukiwać. Wiedziała, iż skrycie pragnie potwierdzenia swoich wizji. Chciała pomóc w wykryciu tego drania, który Jacka praktycznie pozbawił życia. Tego bandyty, który sprawił, że chłopiec leży bez czucia i przez resztę życia skazany będzie na bezwolną egzystencję z niesprawnym umysłem w okaleczonym ciele. Gdyby jej pomoc mogła się przyczynić do ujęcia przestępcy, fakt ten okupiłby wszelkie włożone przez nią wysiłki.

Pogrążona w myślach straciła poczucie czasu. Dopiero stuk otwieranych drzwi przywołał ją na powrót do rzeczywistości. Do saloniku wtargnęli prowadzeni przez ojca chłopcy. Cichy pokój w jednej chwili wypełnił się gwarem, słońcem i ujadaniem George'a.

Blake, jak zwykle, chciał wieść prym i zawładnąć całą uwagą matki. Rzucił się do niej i zamalowaną kartkę papieru, której podczas spaceru nie wypuszczał z rąk, przysunął jej niemal do samej twarzy. Nancy wzięwszy od niego obrazek odsunęła go na taką odległość, żeby móc coś zobaczyć: kolorowe plamy i patykowate postacie pokrywały prawie całą powierzchnię kartki. Na drugim planie widniał domek i słońeczko.

– Przypnij obrazek do lodówki, Blake, żeby babcia zobaczyła – poleciła Nancy.

Małec uśmiechnął się od ucha do ucha wiedząc, że rysunek musi być dobry, skoro mama chce go pokazać babci. Pędem rzucił się do kuchni.

– Ja nie mam obrazka, mamusiu – pożałił się Travis.

– Nie szkodzi, skarbie. I tak na lodówce nie ma już miejsca. A może zamiast rysunku uściskasz mamę mocno? To lubię tak samo jak dostawanie obrazków.

Buzia chłopca rozjaśniła się w radosnym uśmiechu.

Otoczywszy małutkimi rączkami szyję matki Travis wycisnął na jej czole entuzjastyczny pocałunek.

– Co będzie na kolację? – spytał niemal równocześnie.

Nancy uprzytomniła sobie nagle, że sprawie kolacji nie poświęciła dotąd ani jednej myśli. A przecież nic nie jadła od śniadania. Spojrzała na Johna bezradnie.

– Pójdziemy do „Ponderosy”?

– Hurra! – krzyknął Travis. – Pójdziemy, tatusiu? Pójdziemy.

W tej sytuacji John nie miał wielkiego wyboru.

– No, chłopcy, myć się przed wyjściem – rzucił.

Kiedy Travis z radosną energią popędził do łazienki, Nancy raz jeszcze powróciła myślą do poturbowanego Jacka zwinętego w kłębek na szpitalnym łóżku. Z niewiadomego powodu napłynęły z pamięci słowa i melodia: „Leć, ptaszku, leć ...” – piosenka mamy.

Jeśli pułkownik Smith zadzwoni, myślała, i jeśli moja dzisiejsza praca przyniesie jakiś pożytek. To może, mimo wszystko. Powinam zgodzić się na współpracę?

Rozdział trzeci

Trudne początki

Ani stłumiony gwar rozmów toczonych w lokalu, ani aromat smażonych befsztyków, ani nawet szczęśliwe twarzyczki malców nie wpłynęły tym razem na polepszenie nastroju Nancy. Była znużona i spięta. Czuła, że następuje jakiś przełom w jej życiu, ale nie bardzo wiedziała, co ta zmiana może dla niej oznaczać. Dokąd mogą ją zaprowadzić zdolności parapsychiczne? Czy współpraca z policją stanie się jej życiowym powołaniem? Od dawna tkwiło w Nancy przekonanie, że czeka na nią jakieś doniosłe zadanie, ale zawsze sądziła, iż to wiązać się będzie raczej z dziedziną ducha aniżeli z czymś przyziemnym, a już na pewno z niczym tak praktycznym jak współpraca z policją. Te oczekiwania dotyczące przyszłości miały zapewne związek z przekazem, który Nancy odebrała jako dziecko.

Wspomnienie dzieciństwa sprowadziło tęsknotę za ojcem. W pewien sposób obraz ojca łączył się w myślach Nancy nierozdzielnie z jej szczególnymi uzdolnieniami. Ale Fred Myer już nie żył. Zmarł przed pięcioma laty podczas wizyty u swojej siostry w Newport News, w Wirginii. Późnym wieczorem powalił go atak serca; obecny przy tym John Massey, jego szwagier, szanowany miejscowy kardiolog, wiedział dokładnie, co robić. Nie czekał na karetkę, lecz bez chwili zwłoki, z największą możliwą prędkością zawiózł chorego do szpitala w Richmond w głębokim przeświadczeniu, że tam, w najlepszym ośrodku kardiologicznym na całym wschodnim wybrzeżu, pacjent uzyska najodpowiedniejszą pomoc. Niestety, nawet doskonali specjaliści tego szpitala nie zdołali Freda uratować. Zawał okazał się zbyt rozległy. W 1971 roku, w noc poprzedzającą święto Halloween, serce Freda Myera przestało bić.

Córkę łączyła z ojcem szczególna więź. Fred nie wyróżniał żadnego spośród swoich dzieci, ale Nancy widząc, że ojciec posiada specjalny dar, jaki ona odgadywała również i w sobie, wyczuwała tworzącą się między nimi specyficzną bliskość.

Fred Myer nigdy nie nazwał swoich umiejętności parapsychicznymi uzdolnieniami, a dla Nancy, w dniach dzieciństwa, były to po prostu pewne zdolności przydatne w różnych, całkiem zwyczajnych okolicznościach życiowych.

Dopiero kiedy trochę dorosła, zrozumiała, że zarówno ona, jak i ojciec potrafią robić to, czego inni ludzie nie umieją. Jedną z takich możliwości było porozumiewanie się ze zwierzętami. Ojcu zdarzało się czasem poskramiać rozdrażnione lub przerażone czworonogi i temu zawdzięczał miano „magico”, jakim go obdarzali chilijscy wieśniacy. Nancy sama wiedziała, co robić, by nawiązać kontakt ze zwierzęciem i choć nigdy nie pytała o to ojca, była przekonana, że posługuje się tą samą metodą co on.

Również inne jego poczynania zdawały się – w oczach Nancy – wykraczać poza zwykłe ramy logiki, nie wiedziała jednak, czy podziw dla niego miał swoje źródło w jego istotnie paranormalnych zdolnościach, czy też brał się z naturalnej percepcji przez dziecko obrazu mądrego i czułego rodzica.

Przebiegając pamięcią wspomnienia z dzieciństwa w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: kiedy i gdzie to wszystko miało swój początek, Nancy przeniosła się myślą na zakurzoną, rozprażoną słońcem uliczkę w małej chilijskiej wiosce, Chillan.

Dziewięcioletnia wówczas Nancy jak zwykle towarzyszyła służącej w drodze na targ. Również i tym razem podchodzili do niej miejscowi cyganie trajkocząc coś szybko w swoim narzeczu. Mimo iż nie był to hiszpański, którym dziewczynka mówiła już dosyć biegle, ani tym bardziej angielski, skupiając się potrafiła w pełni zrozumieć, co mówią. Oni chcieli, aby się do nich przyłączyła.

Z opowieści służby wynikało, że przypadki uprowadzenia przez cyganów miejscowych dzieci nie należały wcale do rzadkości. Służący bali się tych ludzi i choć byli przekonani, że porwanie córki amerykańskiego urzędnika z misji rządowej byłoby czynem zbyt zuchwałym nawet dla „przybłędów”, przestrzegali jednak dziewczynkę, żeby z nimi nie rozmawiała ani nawet nie spoglądała w ich stronę.

Cyganie – w przeświadczeniu miejscowej ludności – znali potężne czary i potrafili wzrokiem rzucać uroki. Nancy starała się być posłuszna zakazom, ale całkowite ignorowanie zaczepek było wręcz niemożliwe.

Wraz z upływem długich miesięcy pobytu rodziny Myerów w Chilian cyganie stawali się coraz śmielsi. Dawali Nancy w prezencie drobne świecidełka, zbywając śmiechem bojaźliwe próby służących odganiania ich od dziewczynki.

Nancy, traktująca życie z typową beztróską dziewięciolatki, nie czuła żadnego zagrożenia, a nawet ciągnęła ją do ludzi z tego kolorowego i radosnego plemienia. W jakiś niepojęty sposób zaczęła odczuwać więź duchową z nimi i całkiem przestała zważać na ostrzeżenia służących.

Pewnego dnia pod wielką, rzucającą cień płachtą zasiadła grupa cyganów, otaczając kołem przystojnego, starszego mężczyznę. Nancy nigdy dotąd go nie widziała. Zaskoczyło ją więc, gdy nagle usłyszała jego nakaz bez słów, przenikający jej myśli:

Zbliź się do mnie, dziecko.

Posłuchała. Nie odczuwając strachu, ruszyła ku grupie cyganów wbrew protestom służących.

– Policja, policja! – krzyknął jeden z miejscowych starców spodziewając się, że Nancy zostanie porwana.

Na to wołanie z przeciwległego końca placu przybiegł karabinier, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Służąca oskarżycielskim gestem wskazała na wpatzonego w Nancy cygana.

– Ja tylko chciałem się porozumieć z tym szczególnym dzieckiem – odezwał się po hiszpańsku przywódca cyganów.

Oficer wyprostował się groźnie na całą wysokość i rzucił władczo:

– Możesz z nią porozmawiać, wiedz jednak, że to Amerykanka i jeśli ją porwiesz, Amerykanie wyślą za tobą wojsko, żeby ją odebrać.

Stary cygan ponownie zatopił spojrzenie w oczach Nancy i rzekł do policjanta z uśmiechem:

– Ani ty, ani wszystkie armie świata nie zdołają wykraść tego dziecka, jeśli ono nie zechce.

Otaczający go współplemieńcy roześmiali się ze zrozumieniem. Starzec, wciąż z uśmiechem, zwrócił się w myślach do Nancy, wzywając ją do przyłączenia się do plemienia.

Nie, odparła dziewczynka tym samym sposobem. Nie chcę iść z wami. Nie do tego jestem powołana i ty o tym wiesz.

Cygan kiwnął głową. Obróciwszy się do całego zgromadzenia, przemówił:

– To dziecko ma gwiazdy wokół głowy. Będzie mogło przewidywać przyszłość i leczyć. Zostanie wielkim nauczycielem. Bóg tę dziewczynkę przeznaczył widać do ważnych zadań, skoro dał jej tak wiele. Nigdy dotychczas nie widziałem nikogo obdarzonego tak hojnie. Dotąd o takich szczególnych dzieciach nie pochodzących z cygańskiego rodu tylko słyszałem, ale sam nigdy przedtem żadnego z nich nie spotkałem.

Uśmiechnął się przekornie.

– Gdyby to było dawniej, za moich młodych dni, zanim lata nauczyły mnie mądrości, ukradłbym ją. Teraz już tak nie postąpię. Wiele poznałem od tamtej pory. Wiem, że ta dziewczynka, gdybym ją rozgniewał, sprowadziłaby niedolę na mój lud.

Nancy słuchała spokojnie. W obecności tego mężczyzny czuła się dobrze i lekko. Ciekawiło ją także, o co chodziło z tymi gwiazdami.

Skoro tylko zaczęła o tym myśleć, ujrzała w oczach cygana jakiś błysk. Teraz patrzyła jego oczyma – widziała jakieś dziecko, dziewczynkę podobną do siebie, ale głowę tamtej okalało świetliste pasmo energii złożone z pulsujących lśniących refleksów. Z nagłym przestraszeniem uprzytomniła sobie, że patrzy na siebie. Migotliwy blask wokół jej głowy układał się w aureolę gwiazd pałających na tle czarnego jak aksamit chilijskiego nieba. Gwiazdzista korona wyglądała pięknie, lecz jednocześnie było w niej coś groźnego. W pewien niepojęty sposób Nancy wiedziała, że te gwiazdy kryją w sobie zapowiedź jej przyszłości, co budziło jakiś głęboko ukryty lęk. Pod gorącym południowym słońcem przeszył ją nagle lodowaty dreszcz; ujrzała wizję wielu martwych ciał.

Raptem obraz zniknął i ponownie patrzyła w oczy starca. Cygan podniósł się z ziemi i wyciągnął rękę. Musnął palcami policzek dziewczynki, a przez nią przepłynął strumień energii.

Nie lękaj się przeznaczenia. Dziecko. Usłyszała. Bóg czuwa nad tobą.

Ty jesteś taki sam. Jesteś taki jak ja. Pomyślała Nancy ze zdumieniem i ulgą.

Na moment zgasło światło w oczach mężczyzny i wydawał się tylko zwykłym, starym człowiekiem.

Spotkanie kogoś podobnego koi uczucie osamotnienia. Czy ta samotność jest bardzo dokuczliwa? Spytała Nancy.

Da się wytrzymać, odparł. Chciał ją ponownie dotknąć, ale musiał cofnąć rękę, bo karabinier opiekuńczo zasłonił dziewczynkę własnym ciałem.

Wspomnienie owego dnia utkwilo mocno w świadomości Nancy. Pamięć o tym zdarzeniu krzepiła ją, równocześnie zasmucając, ale i pomagała lepiej zrozumieć te własne umiejętności, których nie posiadali inni.

Jednym z jej osobliwych talentów była możliwość widywania zdarzeń z przeszłości. Kiedy na przykład zwiedzała jakieś ruiny zastanawiając się, jak to miejsce mogło wyglądać w dniach świetności, potrafiła się raptem znaleźć w przeszłości i obserwować pewne epizody rozgrywające się w danym miejscu. Pewnego razu, podczas bytności w stolicy Peru, Limie, przystanęła zafascynowana przed liczącymi parę wieków szczątkami dziecka – odnalezionymi gdzieś wysoko w Andach. Zakonserwowane w lodzie i zmumifikowane zwłoki przetrwały setki lat w nienaruszonym stanie, zachowało się nawet ubranie. Kiedy z podziwem oglądała malutkie, zasuszone ciało, zaskoczył ją w pewnej chwili widok żywych, błyszczących oczu mumii. Gdy zajrzała w głębie tych źrenic, zobaczyła to samo dziecko pełne życia, bawiące się w jakiejś świątyni. Mogła przypuszczać, że należy ono do kręgu osób uprzywilejowanych, gdyż otaczał je rój służby gotowej na każde jego skinienie. Z okazywanego malcowi szacunku można też było wnosić, że go wielbiono, ale Nancy czuła jego samotność. Niczego mu nie brakowało oprócz przyjaźni. W następnej wizji ujrzała go na łożu boleści, na

przemian rozpalonego gorączką i wstrząsanego dreszczem. Nancy odruchowo cofnęła się na pewną odległość i patrzyła, jak rodzice chłopca, szaman i służba dokładali rozpaczliwych wysiłków, by go wyrwać śmierci. Zaraz potem pojawił się inny obraz: rzędy ludzi oplakujących zgon malca. Wizja ta rozplynęła się we łzach Nancy.

Zafascynowana swoją nową „zabawką”, Nancy często posługiwała się tą umiejętnością, kiedy z rodziną zwiedzała ruiny starożytnych inkaskich miast. Mimo, że była zbyt młoda, by w swoich wizjach skupiać się na wylapywaniu wiarygodnych szczegółów potwierdzających autentyczność przekazów, nie miała wątpliwości, że to, co widzi, jest absolutnie prawdziwe. Była przekonana, że ogląda nieklamane obrazy przeszłości.

Wizje z bieżących czasów różniły się znacznie: miały wyraźniejsze kontury, kolory bardziej wibrowały. Dla Nancy były realne jak życie. Najczęściej składały się z serii obrazów, które niczym film snuły się swobodnie w myślach dziewczynki. Niekiedy zjawiały się jako reakcja na coś, co ją nurtowało: zmartwienia, przeżycia radosne lub smutne.

Kiedy Nancy, jeszcze jako pięcioletni brzdąc, płynęła statkiem na pierwszą placówkę swego ojca do Brazylii, z radością ale i z obawą oczekiwała tego, co ją tam czeka. Informacje o najbliższej przyszłości napływały do niej w potwierdzających się snach i wizjach. Była za mała, żeby zrozumieć istotę treści przekazów, lecz niewątpliwie pomogły one przygotować jej dziecięcą psychikę na niezwykle i trudne życie, jakie miało ją spotkać w amazońskiej dżungli. W widywanych przez nią obrazach powtarzała się scena odprowadzania dzieci do sypialni przez matkę: dwie małe dziewczynki – ona i jej siostra Susy – zatrzymywały się w progu pokoju, a matka zapalała światło. Wtedy ogromne, czarne i przerażające owady rozpierzchały się na wszystkie strony z chrobotem swych owadzich nóg na drewnianych deskach podłogi.

Równie często miewała wizje motyli. Widziała ich całe chMary: kolorowe, lśniące turkusowe, jakich nie oglądała nigdy w życiu. Lubiała je w myślach wzywać, aby siadały na niej. Później, po przybyciu do Brazylii, okazało się, że rzeczywistość przerasta fantazję. Turkusowe motyle były wszechobecne. Nancy zachwycała się ich zwiewnym pięknem, gdy przerażała ją dzikość dżungli, myślała zawsze, jak dobrze sobie radzą w drapieżnym środowisku te kruche stworzenia. Jeśli one potrafią przeżyć, mówiła sobie, to ona tym bardziej nie ma się czego bać.

Czasem ze snu wyrwały ją wizje węży; widziała obrazy ogromnych, obłych cielsk zwisających z konarów lub wijących się wśród gałęzi. To pojawiały się, to znikwały, kiedy ich barwy ochronne pozwalały im wtopić się w otoczenie, lub odcinały się kontrastowo na tle paproci, pnączy czy cieni dżungli będącej ich domem.

Ale najbardziej przeżywała mała Nancy wizję pięknej i niebezpiecznej czarnej pantery o lśniącym futrze i smukłej sylwetce, przemyskającej wśród paproci w poszukiwaniu zdobyczy. W oglądanej przez dziewczynkę scenie zwierzę poruszało się z bezszelestną gracją, a jego przemieszczanie sygnalizowane było jedynie wrzaskiem małp i skrzeczeniem papug. Nancy jak zahipnotyzowana wpatrywała się w złotawe ślepia, a zwierzę odpowiadało jej spojrzeniem sięgającym w głąb duszy. W czasie przeżywania tej wizji dziewczynka czuła, że ona i wielki drapieżnik rozumieją się doskonale. Przekonała się też później, że dzięki częstemu przywoływaniu takich obrazów rozwinęła w sobie pewien rodzaj więzi ze wszystkimi olbrzymimi kotami. Kiedy bywała w zoo, lwy, tygrysy lub pantery, jeśli nawet spały, budziły się, podnosiły powieki, śledziły każdy ruch małej dziewczynki, szukały jej wzrokiem, spoglądały w oczy. Pięć lat później, podczas pobytu na drugiej rządowej placówce ojca w Chillan, nadarzyła się Nancy okazja praktycznego sprawdzenia swojej zdolności kontaktu z drapieżnikiem z rodziny kotów. Wtedy zależało od tego jej życie.

Ojciec Nancy, specjalista do spraw kultury rolnej, spełniał na swoich placówkach wielorakie obowiązki: od szkolenia Chilijczyków w zakresie nowoczesnej uprawy roli i przetwórstwa żywności, po udzielanie porad przy naprawie maszyn rolniczych. W wolnym czasie uczył wieśniaków podstaw weterynarii, zasad pierwszej pomocy i racjonalnego żywienia. Radził i pomagał wszędzie tam, gdzie jego umiejętności dały się wykorzystać. Jesienią 1956 roku wsie leżące na północ od Chilian zaatakowała puma, raniąc poważnie kilku mieszkańców. Powszechnie było wiadomo, że skoro taki drapieżnik zacznie napadać na ludzi, będzie to czynił stale, dopóki nie zostanie zabity.

Fred Myer wraz z Nancy przebywał wówczas w tej okolicy u pewnego farmera; wieśniacy od razu zaproponowali mu udział w obławie, jako że był myśliwym znanym z pewnej ręki i dobrego oka. Nie mógł odmówić, choć się obawiał o córkę, którą musiał zabrać ze sobą na polowanie. Doszedł bowiem do wniosku, że dziewczynka będzie bezpieczniejsza u jego boku, w gromadzie uzbrojonych mężczyzn niż pozostawiona w słabo strzeżonej wiosce. Podczas czekania na skompletowanie grupy myśliwych Nancy przysłuchiwała się opowieści o drapieżniku – potworze, terroryzującym i dziesiątkującym wieśniaków. Taka wersja utrwaliła się dzięki temu, że historia przechodząc z ust do ust potęgowała okrucieństwo pumy, jak również rozmiar ran zadanych ludziom. Nancy spróbowała wyobrazić sobie tego okrutnego kota, ale uzyskana wizja różniła się zasadniczo od obrazu przedstawianego przez wieśniaków.

Nancy została przeniesiona myślą na jakąś polankę, gdzieś głęboko w lesie. Stała tam puma. Zwierzę, patrząc błagalnie w oczy dziewczynki, wcale nie sprawiało wrażenia groźnego. Nancy czuła strumień bólu promieniującego z prawej przedniej łapy dzikiego kota. Spojrzała w tym kierunku i od razu spostrzegła, że kocur stracił dwa pazury, a rany po nich, zabrudzone i krwawiące, wyglądały na mocno zainfekowane.

Wyciągnęła rękę i gładząc ogromnego drapieżnika po łbie, skierowała wiązkę energii od swojej dłoni do zranionej łapy.

Wzmógł się raptem gwar rozmów wyrwał ją ze świata wizji.

– Puma jest ranna – rzuciła bez namysłu. – Boli ją łapa i nie może polować. Tatusiu, czy zamiast ją zabijać, nie można by jej karmić, dopóki nie wydobrzeje?

Zamarła z przerażenia, kiedy uświadomiła sobie znaczenie swoich słów i zobaczyła miny słuchających. Wzrokiem poprosiła ojca o pomoc, ale nim on zdołał powiedzieć choć słowo, jeden z wieśniaków zerwał się na nogi i podskoczył do Nancy.

– Skąd ty to wiesz? – zawołał, a zwróciwszy się do pozostałych dodał: – Tropiciele śladów mówili, że zwierzę nie ma dwóch pazurów na przedniej łapie. A ty skąd to wiesz?

Milczała.

– Pewnie słyszała, jak dzieciaki sobie opowiadały – pospieszył ojciec z pomocą, rzucając jej równocześnie ostrzegawcze spojrzenie, żeby siedziała cicho.

Fred Myer cieszył się dużym respektem wśród tubylców, więc jego wyjaśnienie zostało przyjęte od razu i bez zastrzeżeń.

Rozpoczęła się obława. Po kilku godzinach polowania Nancy znużyła się nieco skrupulatnym wypełnianiem zakazu ojca, zabraniającego jej oddalania się od grupy. Zaczęła czasami zbaczać ze ścieżki w las, pozostawać w tyle lub wybiegać do przodu. Dopóki słyszała odgłosy obławy, czuła się bezpiecznie. W poczuciu całkowitego bezpieczeństwa wysforowała się przed myśliwych i podążała szlakiem, który w tym miejscu ostro zakręcał. Pierwsza pokonała zakręt i stanęła oko w oko z pumą.

Scena była dokładnie taka sama jak widziana w wizji. Dziki kocur spojrzał jej głęboko w oczy. Nancy podniosła rękę, a drapieżnik wyprężył szyję, by dotknąć wyciągniętej dłoni. Pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem przepłynął strumień energii.

Uciekaj w góry. Nie atakuj wieśniaków, nakazała Nancy pumie. Idą tu ludzie, żeby cię zabić, bo napadasz na wsie.

Poczuła ogarniające ją ciepło i miłość płynące od wielkiego kota.

Uciekaj! Krzyknęła na głos i w myślach zarazem.

– Rzuć się na ziemię! – zabrzmiał prawie w tej samej chwili rozkaz ojca wydany tonem pełnym przerażenia. – Na ziemię, bo nie możemy strzelać! Padnij!

Ale Nancy nie posłuchała, stała niby zaczarowana, patrząc jak zranione zwierzę wacha ją delikatnie, potem odwraca się i znika w gęstwinie. Wieśniacy rzucili się do przodu, otaczając ją troskliwie, a Fred upuściwszy strzelbę opadł na kolana, zamykając córkę w niedźwiedzim uścisku.

– Nic się nie stało, tatusiu – odezwała się Nancy, kiedy ojciec wypuścił ją z objęć i odsuwając na długość ramienia jął sprawdzać, czy nie doznała obrażeń. – Puma już me wróci. Poszła w góry leczyć rany.

Fred Myer, roztrzęsiony i pobudzony przepływem adrenaliny pompowanej gwałtownie przez jego, żyły, mógł tylko bez słowa obejmować i kurczowo trzymać przy sobie córkę. Za nimi rozbrzmiewały strzały oddawane bezskutecznie za zmykającym drapieżnikiem.

– Ona była tylko zraniona i głodna, tatusiu..

Ale Fred wciąż nie mógł odzyskać głosu. Ściskając małą córeczkę, nie spostrzegł powrotu myśliwych ani tropiciela śladów, który podszedł z boku i przyglądał się Nancy z nabożną czcią.

– *Esta nina es una bruja* – powiedział mężczyzna i składając ukłon Nancy, dotknął jej rękawa.

– Co to znaczy, tatusiu?

– Oni tak określają swoich czarowników – uzdrawiaczy. Chciał ci przez to oddać część. Podziękuj mu.

Sam – również się podniósł i zwróciwszy się do tubylca złożył mu podziękowanie za uhonorowanie córki takim zaszczytnym tytułem.

– Dziękuję panu – powiedziała Nancy, nie bardzo pojmując, czym sobie zasłużyła na okazane względy.

Napady na wsie już się nie powtórzyły i w czasie pobytu Myerów na placówce w Chillan nie znaleziono nigdy śladów pumy z łapą o trzech pazurach.

Wspomnienia o ojcu sprawiły, że oczy Nancy napęliły się łzami. Pierwszy spostrzegł to Travis.

– Hej, mam, kotlet ci nie smakuje?

– Och, nie. Mięso jest bardzo dobre – roześmiała się Nancy sprowadzona pytaniem synka z powrotem do rzeczywistości – Tylko myślałam o czymś smutnym.

– O dziadku Fredzie – wypalił Blake, nie przestając atakować swojego kotleta.

Nancy zawsze zdumiewała się w duchu, jak dzieci potrafią wiele spraw sprowadzić do realnego wymiaru. Ona być może również działała tak samo na swego ojca. Jakże by chciała, żeby jeszcze żył i żeby mogła zrobić dla niego wiele więcej.

Nawet kiedy już osiągnęła dojrzałość, czuła się ojcu bliska; więc z nim nadal pozostawała głęboka. Przez dwadzieścia sześć lat przeżytych do śmierci ojca, Nancy nie udało się spotkać kogoś, kto byłby równie mądry, wrażliwy i miał podobny charakter jak jej ukochany rodzic. Jego odejście spośród żywych pozostawiło bolesną pustkę, na wypełnienie której nie był lekarstwem nawet upływ czasu.

Patrząc na chłopców pochłaniających kotlety, Nancy raz jeszcze wróciła myślą do początków akceptacji swych możliwości postrzegania pozazmysłowego. Pogodziła się wówczas z własną „innością”, wciąż poszukując jednak jakiejś wskazówki, jak najlepiej wykorzystać swe niezwykle zdolności. Wróciła myślą do chwili, gdy drzwi do jej parapsychicznych talentów stanęły otworem w dość dramatycznych okolicznościach. Wszystko rozpoczęło się wiosną 1973 roku za sprawą gry przyniesionej przez przyjaciółkę.

Mimo wielu podróży po świecie, mimo poznania wielu dziwów, Nancy nigdy wcześniej nie zetknęła się z wirującym stolikiem do wywoływania duchów. Z tym niezwykłym sprzętem zapoznała ją kiedyś znajoma, Mary Ann Bogar, przynosząc go przy jakiejś okazji dla wspólnej rozrywki. Ozdobny kształt i tajemnicza, ruchoma wskazówka od początku budziły w Nancy nieodpartą ciekawość. Była zdziwiona czując, że palce przyciągane są przez stolik; przyciągane przez przedmiot, który wydawał się żyć i mieć własną wolę, kiedy wskazówka, litera po literze, pokazywała odpowiedź na zadane pytanie. Z początku Nancy sądziła, że to Mary Ann popycha wskazówkę. W tym przekonaniu trwała do chwili, gdy usłyszała upomnienie przyjaciółki:

– Dotykaj leciutko. Nie pchaj tej wskazówki.

– Myślałam, że to ty ją popychasz.

Spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem.

Stolik dostarczał obu kobietom tyle uciechy, że ta zabawa stała się wkrótce ich codziennym rytuałem. Pewnego dnia Nancy, chcąc dziwny mebel pokazać mężowi, spytała koleżankę, czy może zatrzymać stolik na parę godzin. Tego wieczora, po położeniu dzieciaków do łóżka, wyciągnęła ten niezwykły przedmiot i zaczęła objaśniać jego działanie. Kiedy położyła palce obok dłoni Johna, dokładnie tak samo jak to wcześniej robiła z Mary Ann, stolik ani drgnął. Przyjaciółka, spytana nazajutrz o przyczynę tego niepowodzenia, odparła, że podobno stolik jest wrażliwy tylko na obecność niektórych osób, ale czemu tak się dzieje, nie wiadomo.

Dopiero kilka dni później, gdy Mary Ann z mężem, Billem, przybyli z wizytą, obie panie zademonstrowały możliwości stolika. Padały różne pytania:

– Czy Bill dostanie podwyżkę, czy ma zmienić pracę?

– Czy uda się nam zaadoptować dziecko?

– Chłopca czy dziewczynkę?

– Jakie będzie miało włoski?

Potem stolik nagle zaczął się sam kręcić. Nie czekając na pytania, podał nazwisko zmarłego krewnego, Bogartów utrzymując, że mówi za niego. Niesamowite, choć fascynujące było to, że zdawał się znać cechy pewnych zmarłych znajomych osób; przeraziło to Mary Ann i kobiety zaprzestały wspólnej gry.

Nancy jednak zaczęła powątpiewać czy to tylko zwykła gra. Następnego dnia, po położeniu chłopców do łóżek stwierdziła, że nie potrafi przestać myśleć o grze ze stolikiem, choć nie ma pojęcia, czy można się nim posługiwać bez drugiej osoby. Podeszła do szafki, gdzie go ukrywała przed ciekawskim wzrokiem Blake'a, i wyciągnęła instrukcję. W opisie nie podano, że gra w pojedynkę jest zakazana, napisano jedynie, że stolik może wtedy nie działać.

Ale pod dłonią Nancy stolik się kręcił. Jak szalony. Wskazówka wirowała szybciej i bardziej zdecydowanie aniżeli wówczas, kiedy w grze uczestniczyła również Mary Ann. Praca w pojedynkę usunęła wszelkie wątpliwości Nancy, że ruch wskazówki jest wymuszany przez drugiego gracza. Zabawa ze stolikiem była dla niej ekscytująca, radosna, przerażająca i porywająca.

Na początek Nancy usiłowała wymyślić takie pytania, żeby odpowiedzi nie mogły pochodzić z jej własnej podświadomości. Zamierzała zapytać o coś ze świata polityki. Pomyślała, że jeśli spyta o wynik jakichś lokalnych wyborów, którymi nie była zupełnie zainteresowana, to będzie mogła sprawdzić wiarygodność stolika. Zanim zdążyła zadać to pytanie, stolik sam zaczął do niej „mówić” po swojemu.

Pierwsze przesłanie było podobne w treści do przekazu, jaki Nancy odebrała niegdyś w dzieciństwie i który nigdy więcej się później nie powtórzył. Osoba przedstawiająca się jako Anna Dearworth oznajmiła, że Nancy posiada szczególny dar, że ma ważne zadanie do spełnienia i powinna zacząć działać. Dodała również, że nie wolno już trwonić czasu; ostrzegła i prosiła o zaniechanie zabaw ze stolikiem.

Nancy, choć szczerze kochała synów, nigdy nie była całkowicie szczęśliwa w roli pani domu. To, co usłyszała, schlebilo jej; polechtało jej próżność tak bardzo, iż w końcu uznała, że wiadomość najwidoczniej zrodziła się w podświadomości, wypłynęła z tej części jaźni, która kryje frustrację z obecnego życia. Tego dnia zaprzestała rozmów ze stolikiem.

Ale już nazajutrz, w porze popołudniowej drzemki chłopców, znów skontaktowała się z Anną Dearworth. Tym razem Anna starała się ją przekonać, że jest zmarłą krewną. Powtórzyła, że Nancy ma misję do spełnienia jako osoba wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju, i taką siebie powinna zaakceptować. Nancy w późniejszej rozmowie z matką spytała, czy w rodzinie był ktoś o nazwisku Dearworth, lecz matka nikogo takiego nie знаła.

Sesje z Anną powtarzały się przez trzy dni; na koniec Anna przekazała, że ma trudności z utrzymaniem łączności i, być może, nie będzie mogła przesyłać dalszych wiadomości. Istotnie, na czwarty dzień informacje podawane przez stolik stały się dziwnie dziecinne i nieporadne, formowane słowa bywały zniekształcane, przekazy nierzetelne. Padła na przykład zapowiedź: „przyjedzie do ciebie matka”, co się wcale nie sprawdziło.

Zresztą stolik jakby z upodobaniem podawał wielokrotnie tę właśnie wiadomość i zawsze z tym samym, negatywnym skutkiem.

Jednak Nancy nie zaniechała zabawy w wywoływanie duchów; trwała przy tym, jakby płynny ruch wskazówki i łatwość jej przesuwania miały w sobie hipnotyzującą moc. Ta przesadna skłonność żony do gry ze stolikiem, zaczęła niepokoić Johna do tego stopnia, iż usiłował nakłonić Nancy do zaniechania tych praktyk. Starał się jej udowodnić, że stolik kłamie jak z nut. Wykazanie tego wcale nie było trudnym zadaniem, jednak Nancy, mimo przeświadczenia, że informacje uzyskiwane za pośrednictwem stolika są bzdurne, niepewne i w większości bezużyteczne, nie zdołała wyzwolić się spod tej szczególnej fascynacji, co więcej, pokusa zdawała się nawet silniejsza... ..

Pewnego ranka, gdy stolik po raz kolejny zapowiedział przyjazd z Dover matki Nancy, John. Natychmiast tam zatelefonował. nikt nie podnosił słuchawki. Oboje z Johnem, przekonani, że tym razem zapowiedź się spełni, niecierpliwie wyczekiwali tej chwili. Matka jednak się nie pojawiła. Po kilku godzinach Andersonowie zadzwonili do mej ponownie tym razem zastając ją w domu. Starsza pani wyjaśniła, że była na zakupach, a o wyjeździe nawet nie myślała.

– Widzisz?! – krzyknął John, zwracając się do stolika. – kłamiesz! Sprawdziliśmy twoje informacje. To łgarstwa! Jak możesz to wytłumaczyć?

Było to pierwsze oskarżenie skierowane bezpośrednio do wywołanego ducha.

– O–D–P–I–E–P–R–Z S–I–E – brzmiała odpowiedź.

Przeżrana Nancy oderwała ręce od ruchomej tarczy.

– D – Z – I – W – K – A – przekazał stolik, wirując bez udziału jej dłoni.

Jednak nawet ten incydent nie wystarczył, by przerwać zauroczenie Nancy zabawą w wywoływanie duchów. Rozkładała stolik stale, kiedy tylko znalazła czas. Jakość informacji stolika stawała się coraz gorsza, za to bezpośrednia aktywność parapsychiczna Nancy nabierała doskonałości – odbierane przekazy były coraz czytelniejsze, zawierały więcej szczegółów, a obrazy rysowały się klarowniej. Zawsze starała się wykorzystywać swoje niezwykle zdolności umysłowe do śledzenia poczynań Blake'a, gdy go spuszczała z oka, teraz jednak była tak dobrze dostrojona do fal mózgowych chłopca, że potrafiła wyczuć każdą wymyśloną przez niego psotę.

Kiedyś w trakcie mycia naczyń odebrała nagle wizję Blake'a i córeczki sąsiadki, bawiących się w garażu jakimiś niebezpiecznymi środkami chemicznymi. Świadoma, że na osobistą interwencję zabraknie jej czasu, zadzwoniła do sąsiadki, a kiedy ta pobiegła do garażu, zastała dwójkę wścibskich maluchów dokładnie w takiej sytuacji, jaką opisała Nancy.

Innym razem, kiedy mały Travis chodził koło niej najwyraźniej strapiiony, ale – jak zwykle – nie można było od niego wyciągnąć ani słowa na temat jego dziecięcego zmartwienia, Nancy w niepojęty sposób wiedziała od razu, że Blake połamiał bratu ulubioną zabawkę.

– Blake ci coś zniszczył? – spytała.

Chłopiec wybuchnął płaczem; wykrztusił, że była to ciężarówka z czerwoną przyczepą. Samochodzik – zabawka był mocno i solidnie zbudowany i mały winowajca musiał doprawdy dobrze się przyłożyć, żeby go rozbić na kawałki.

Nancy poszła prosto do miejsca, gdzie Blake schował połamane części zabawki i kazała sprawcy oddać w zamian swój samochód poszkodowanemu bratu. Blake był tak zaskoczony nagłą wszechwiedzą matki, że nawet nie protestował.

Pewnego dnia Nancy tknęło jakieś przeczucie, że zaraz coś okropnego przydarzy się Blake'owi. Wypadła na dwór akurat w momencie, gdy śmieciarz ściągał chłopca za kołnierz z tylnej kłapy śmieciarki. Wystarczyłaby chwila nieuwagi i mały łobuziak mógł ulec zmiżdżeniu. Ocalił go krzyk i szybki refleks kierowcy.

Oprócz niedozwolonych zabaw z samochodem do wywózki śmieci, Blake uwielbiał wymykać się z domu i zakradać potajemnie na podwórko pewnego policjanta, funkcjonariusza policji stanowej, mieszkającego w sąsiedztwie. Zakradał się po to tylko, by zaraz potem zmykać w popłochu przed zębami Cogilla, policyjnego psa sąsiada. Poprzednio przekazy mentalne o tych zuchwałych eskapadach syna Nancy odbierała sporadycznie, zaś teraz, za każdym razem, gdy Blake szykował się do przejścia przez ulicę, by rzucić wyzwanie psu, słyszała głos wewnętrzny: *Blake idzie drażnić Cogilla.*

Rozwinięcie aktywności parapsychicznej nie ograniczało się do odbierania informacji o dzieciach. Przed rozpoczęciem zabaw ze stolikiem pozazmysłowe przekazy brzmiały nierzadko jak cichutki szept, nieklarowne i mętne, ubrane w słabo rozróżnialne słowa. Wiele razy słyszany głos był tak cichy, że z łatwością mógł ugrzęznąć w natłoku innych myśli. Obecnie przychodziły informacje zbyt wyraźne, by ich nie zauważyć.

Nancy już od dawna umiała bezbłędnie wyczuwać ludzkie nastroje: rozpoznać spokój duszy, dręczące kogoś zmartwienie, nie potrafiła jednak czytać w cudzych myślach. Teraz, kiedy chciała znać przyczynę czyjegoś smutku lub złości, musiała tylko postawić sobie pytanie, a głos wewnętrzny podsuwał odpowiedź.

Co gorsza, takie informacje wciskały się w myśli Nancy często całkiem nieproszone. Na przykład, stojąc w kolejce do kasy w supermarkecie „słyszała” strzępy wewnętrznych dialogów, prowadzonych w umysłach rozmaitych ludzi. Wyrażenia, zwroty i uczucia innych na kształt intruzów wnikały w myśli Nancy.

Toczyła także własną wewnętrzną batalię o wybór pomiędzy skłonnością do pozyskiwania informacji za pośrednictwem stolika a możliwością zawierzenia własnym parapsychofizycznym zdolnościom. Głos rozsądku mówiący, że gra ze stolikiem to niebezpieczny proceder, w dodatku nie zapewniający wiarygodnych informacji, brzmiał czysto i wyraźnie, niczym słowa padające w kościele z ambony. Jednak zabawa z duchami dostarczała dreszczyku emocji jak zwiedzanie „pałacu grozy” w lunaparku. Obydwa rodzaje wrażeń były dla Nancy równie atrakcyjne, choć w miarę mijających tygodni stolik stawał się coraz bardziej dokuczliwy.

John kontynuował kampanię na rzecz wyrzucenia stolika, czuł jednak instynktownie, że jeśli sam pozbedzie się tego sprzętu, nie uwolni żony od fatalnego zauroczenia. Decyzja musi wypłynąć od Nancy, która – na razie – nie wydawała się zdolna do jej podjęcia. Sprawy toczyły się więc dotychczasowym trybem aż do chwili, gdy złośliwy duch uaktywnił się w taki sposób, że Nancy postanowiła raz na zawsze usunąć stolik ze swojego życia.

Pewnego letniego wieczoru, po położeniu dzieci do łóżek, zasiedli razem z Johnem przy kuchennym stole. Pudełko ze złożonym wirującym stolikiem leżało opodal, a John po raz kolejny wygłosił swoje argumenty uzasadniające potrzebę pozbycia się absorbującego mebelka. Potem wstał, by nalać sobie i żonie po szklance soku winogronowego. Cała rodzina przepadała za tym sokiem, Nancy zatem kupowała zawsze największy z możliwych pojemników. Po napełnieniu szklanek John postawił wielką butlę na bocznej szafce i nałożył zakrętkę, dokręcając ją tylko częściowo.

Siadając przy stole, powrócił do przerwanej rozmowy o złym wpływie stolika.

– Powinniśmy go porządkować na kawałki i wyrzucić do śmieci – powiedział.

Skoro tylko przebrzmiały te słowa, pojemnik z sokiem uniósł się znad szafki, poszybował w powietrzu i roztrzaskał na podłodze u stóp Johna. Strugi słodkiego płynu wytrysnęły fontanną aż na sufit i rozbryzły się po całej kuchni.

Następnego ranka Nancy wstała bardzo wcześnie. Wmaszerowała do kuchni zdecydowana wynieść stolik na podwórko i tam dokonać dzieła zniszczenia. Zaledwie jednak przekroczyła próg, pudło ze złożonym stolikiem przefrunęło w poprzek pomieszczenia i z dużą siłą walnęło o ścianę. Upadło potem na podłogę i tam legło na boku w pozycji jakby pełnej wyzwania.

Nancy, za bardzo przerażona, by podejść do leżącego stolika, zajęła się wypełnianiem bieżących spraw domowych, starannie ukrywając przed dziećmi swój strach. Od pudełka trzymała się z daleka, ale niemal nie spuszczała z niego wzroku. Parę godzin później ułożyła chłopców w łóżeczkach na popołudniową drzemkę. Pieczołowicie zamknąwszy drzwi od ich sypialni zeszła do kuchni i wlepiła oczy w skrzyneczkę leżącą od rana na podłodze. Mimo lęku korciło ją nieodparcie, żeby rozłożyć stolik i rozpocząć grę.

Wszakże skądś, z głębin świadomości napłynął zakaz: *nie wolno*.

Znała ten głos wewnętrzny. Mogła mu ufać, bo jego podszepty przeprowadziły ją bezpiecznie przez wiele ryzykownych sytuacji życiowych. Rady płynące z tego źródła zawsze bywały zbawienne.

Poczuła przypływ odwagi: ten głos utwierdził ją we wcześniej podjętym postanowieniu. Wiedziała, co chce zrobić aby żyć jak dawniej, wyzwolić się spod wpływu tej „rzeczy” sypiącej kłamstwami i niewybrednymi słowami. Pamięć o tym pobudziła jej gniew. Nancy była w tej chwili zdecydowana mieć się wszelkich środków, byle tylko pozbyć się tego sprzętu. Miała świadomość słuszności i była głęboko przekonana, że potrafi przeprowadzić swój zamiar.

Zdecydowanie ruszyła do sypialni chłopców, obudziła ich i zaprowadziła do sąsiadki. Sama wróciła do kuchni, podniosła z podłogi pudełko ze stolikiem i z szafki na narzędzia wyjęła młotek. Kurczowo ściskając pod pachą stoliczek, wyszła na podwórko za domem i dając upust kipiącej w niej złości, walnęła młotkiem w ozdobną, ornamentowaną powierzchnię opakowania. Kilkoma szybkimi uderzeniami rozbiła sam stoliczek, a połamane kawałki wrzuciła do kubła na śmieci. Potem weszła do domu. Czowała się świetnie – była wolna i bezpieczna, po raz pierwszy od wielu tygodni.

Działalność złośliwego ducha już się nie powtórzyła, za to parapsychofizyczne możliwości Nancy, rozwinięte podczas pracy ze stolikiem – pozostały. Potrafiła już teraz panować nad napływem do swego umysłu informacji, które nareszcie nie musiały być przykrym obciążeniem. Również rozwiązanie niektórych kłopotów stawało się obecnie znacznie prostsze; czasem wystarczyło tylko odpowiednio sformułować w myślach pytanie.

– O czym rozmyślasz, mamusiu?

Raptem Nancy znalazła się z powrotem w restauracji ponderosa.

– No, o czym? – dopytywał się Blake.

– O tym, co mam powiedzieć pułkownikowi Smithowi – odparła.

– W czym problem? – zainteresował się John.

– To jest trudniejsze, niż mi się wydawało. Dziś zawieziono mnie do młodego chłopca, pobitego do nieprzytomności. Leży teraz w stanie śpiączki. Strasznie to przeżyłam. Nawet detektywi, którzy tam ze mną byli, wydawali się poruszeni. I przy tym chyba niewiele im pomogłam; w każdym razie nie w sprawie tego chłopaka. Myślę jednak, że mimo wszystko udało mi się nawiązać z nim kontakt. Naprawdę tak sądzę.

– No to o co chodzi? Czym sobie jeszcze głowę łamiesz? Smith na pewno nie marnowałby czasu swoich ludzi, gdyby nie był przekonany, że choć trochę się przydasz.

Może to nie było zbyt budujące, ale prawdziwe. I przemówiło jej do wyobraźni. Słusznie, pozostawi decyzję Smithowi – niech o wszystkim rozstrzygną wyniki jej pracy. Sprawa została przesądzona.

Rozdział czwarty

Niemy świadek

Podczas wszystkich sześciu, kończących się poronieniami ciąży, treść codziennej egzystencji Nancy stanowiły ustawiczne mdłości, przerywane jedynie atakami gwałtownych torsji i próbami wmuszania w siebie jakiegos jedzenia. Nudności potrafiły zatruć wszystko oprócz wspaniałego uczucia oczekiwania, że u kresu tych katuszy zdarzy się cud posiadania własnego dziecka. Dlatego po każdej nieudanej próbie następowała kolejna.

Pierwsze poronienie przyniosło głęboki zawód. Żal trwał kilka miesięcy, ale wtedy jeszcze nie było podstaw do przypuszczenia, że następna ciąża nie będzie udana. Po każdym kolejnym poronieniu nadzieja nikła coraz bardziej, a przypadłości miały coraz ostrzejszy przebieg. W końcu krwotoki poronne stały się tak silne, że dr Charles Green, ginekolog Nancy, stanowczo odradzał jej ponowne zajście w ciążę. Dopiero wtedy Andersonowie podjęli decyzję o adopcji. Tym postanowieniem Nancy zamknęła jakby drzwi za jednym z największych marzeń swego życia.

Jednak otwarcie psychiki na postrzeganie pozazmysłowe pozwoliło jej na uchYLENIE tych drzwi po raz drugi. W ciągu pierwszych miesięcy formowania aktywności parapsychicznej, miesięcy chaosu, ekscytacji i budzących lęk doświadczeń, Nancy otrzymała proste przesłanie, które przez dłuższy czas nie dawało jej spokoju.

Wśród duchów, które w tym wczesnym okresie skontaktowały się z Nancy za pośrednictwem stolika, byli poeci i uczeni – autentyczność niektórych dawała się potwierdzić. Ale najważniejszą dla Nancy była Anna Dearworth, jedna z pierwszych zgłaszających się osób. Przekazy przychodzące od Anny wprawdzie zjawiały się przypadkowo, ale zawierały najwięcej osobistych treści. To właśnie Anna 8 czerwca 1973 roku oświadczyła: „zostaniesz kiedyś matką, będziesz miała córkę... W ciągu najbliższych trzech lat. Będzie miała śliczne włoski. Nazwij ją Heidi Patrice”.

28 grudnia 1974 roku Nancy zapisała w zeszycie przepowiedni: „w następnym roku będę już miała Heidi”.

Ale rok 1975 nastał i minął, a Nancy w ciążę nie zaszła.

Teraz był już maj 1976 roku. Nancy spoglądała w łazienkowe lustro. Sześć lat minęło od ostatniej ciąży, sześć długich lat, w ciągu których prawie zapomniała, co mogą oznaczać takie mdłości, jakie teraz czuła. Były też inne symptomy, ale je lekceważyła. Na zajęciach baletowych zauważyła, że brzuch zaczyna jej lekko wystawać i przypomniała sobie, jak w ubiegłym tygodniu, kiedy pracowała z Sacco i Williamsem, trochę cisnął ją pasek od spodni. Zmieniła dietę, ale nawet wówczas, gdy mimo rygorów kalorycznych wciąż przybierała na wadze, nie chciała dopuścić do siebie myśli, że jej skrywana nadzieja może się ziścić.

Chyba mam guza, pomyślała, muszę się przebadać.

Nazajutrz znalazła się w gabinecie doktora Greena. Patrzyła z niepokojem, jak lekarz po przeprowadzeniu badania przechodzi w odległy kąt pokoju. Tam ściągnął gumowe rękawiczki i powiedział:

– Mam dla ciebie, Nancy, dwie wiadomości: dobrą i złą.

– A czemu pan się tak oddalił?

– Bo się boję, że gdy usłyszysz to, co mam ci do powiedzenia, mogłabyś mnie kopnąć.

– O czym pan mówi, doktorze? – poczuła ulgę, wnosząc z żartobliwego tonu lekarza, że nie znalazł nic groźnego.

– Jesteś w ciąży.

W sercu Nancy zaczęła kiełkować radość, ale ją szybko stłumiła. Nie ma się co cieszyć, przecież na pewno poroni.

– A druga, dobra wiadomość?

– To jest właśnie ta dobra – odparł doktor.

– Jaka jest, wobec tego, ta zła?

– Jesteś w trzecim miesiącu.

Od razu zrozumiała. Wszystkie poprzednie poronienia następowały pod koniec trzeciego miesiąca. A więc może ją to czekać lada dzień. Ale pewne symptomy zdawały się wskazywać, że tym razem może być inaczej – pewne oznaki, które starała się ignorować, żeby sobie nie robić złudnych nadziei: nudności zaczęły się później i zdarzały się od czasu do czasu, a nie występowały stale jak w poprzednich ciążach.

Później, gdy oswoiła się z myślą o swoim stanie i w pełni uprzytomniła sobie różnice objawów wczesnego okresu ciąży, przypomniała sobie przekaz od Anny. Potem napłynęło wspomnienie rozmowy przeprowadzonej z niezwykłą kobietą o imieniu Olga Warrall w kościele metodystów w Baltimore.

W roku 1973, kiedy Nancy po raz pierwszy otwarła się na postrzeganie pozazmysłowe, Olga była już uzdrowicielką o renomie światowej. Co miesiąc setki ludzi z całego kraju wypełniały świątynię w Baltimore,

czekając cierpliwie, aż Olga lub ktoś z towarzyszących jej uzdrowicieli skieruje na nich strumień swej terapeutycznej mocy. Po tych seansach słyszało się niejedną opowieść o cudownym uzdrowieniu.

Nancy dowiedziała się o istnieniu Olgi z artykułu w jakimś magazynie, ale poznała ją osobiście nieco później. John zasugerował kiedyś, że uzdrowicielka mogłaby pomóc Blake'owi w jego nadpobudliwości i trudności koncentracji.

Wówczas cała rodzina Andersonów wybrała się w podróż – jedną z wielu, jak się potem okazało – czwartkową podróż z Newark do Baltimore, na nabożeństwo z udziałem Olgi Worrall.

Już pierwsza wizyta urzekła Nancy. Parking przed kościołem zatłoczony był samochodami ze wszystkich stanów. Wnętrze świątyni niemal po brzegi wypełniali ludzie. Na przedzie, przy barierce, stała Olga: niska, otyła kobieta odziana w czarną, obszerną szatę. Z daleka przypominała poczciwą babunię, ale kiedy Nancy, odczekawszy na swoją kolej, podprowadziła Blake'a, stwierdziła, że od starszej pani bije majestat i ciepło.

Olga sprawiała wrażenie, jakby mały sześciolatek pochłaniał całą jej uwagę. Nancy, obserwując ją z boku, zastanawiała się cały czas, czy ta właśnie umiejętność nawiązywania kontaktu ze wszystkimi jest częścią mocy uzdrowicielki i częścią jej oddziaływania na ludzi. Olga uśmiechała się do malca, gdy Nancy recytowała wykaz orzeczonych przez lekarzy dolegliwości chłopca: nadpobudliwość, upośledzenie percepcji, trudności w koncentracji.

– Czasami zdarza ci się być niegrzecznym, co? – konspiracyjnym szeptem zwróciła się Olga do Blake'a.

Mały nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Tak, proszę pani. Ale próbuję być dobry, tylko nie jestem chyba dobry w tym próbowaniu.

– No cóż, zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Uklękła i otoczyła Blake'a ramionami schowanymi w szerokich rękawach. Chłopiec utonął w uścisku i wyglądał, jakby go miał połknąć jakiś czarny ptak. Spojrzał bezradnie na matkę, jakby chcąc spytać: „mamo, co ta pani robi?”

Kiedy podniósł głowę, stracił równowagę. Zamachał na oślep rączkami i mocno uczył się Olgi. Po chwili czarne ramiona opadły, a malec zmierzył kobietę wzrokiem.

– Co mi pani zrobiła? – spytał zaczepnie.

– Włożyłam ci do środka coś, co ci pomoże – odrzekła Olga z uśmiechem.

Blake nie przywiązywał wiele uwagi do tego, co sam sobie wkładał do środka przez buzię, ale nie bardzo wiedział, jak się zachować, kiedy „coś” włożyła mu taka dziwna osoba.

Travis, obserwując poczynania Olgi, mocno pobladł. Nancy już się zaczęła obawiać, że jeśli teraz uzdrowicielka obejmie z kolei młodszego chłopca, malec może zacząć płakać. Jednak ona, jakby wyczuwając nieśmiałość Travisa, cichym głosem zadała mu pytanie o nazwisko i wiek. Kiedy chłopczyk wyraźnie się uspokoił, wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła szczupłego ramionka. To było wszystko.

Wrócili na swoje miejsca. Po chwili chłopcy wyszli z ojcem przed kościół, żeby się pobawić, a Nancy została, czekając cierpliwie na Olgę. John, który lubił ujmować problemy w formie wykazów, sporządził pokaznej długości listę wszystkich dolegliwości żony. Spis ten obejmował alergię, astmę, zapalenie okrężnicy i bóle pleców. Te ostatnie pochodziły od urazu grzbietu, doznanego przez Nancy jeszcze w szkole średniej. Lekarze wyrażali wówczas opinie, że obrażenie to może prowadzić nawet do kalectwa. Ostre i nieustanne bóle radzili uśmierzać mocnymi środkami przeciwbólowymi albo operacyjnym wycięciem nerwów. Nancy nie skorzystała z tych sugestii, nauczyła się natomiast opanowywać cierpienie drogą treningów umysłowych. Ten uraz pleców mógł spowodować także i inne niepożądane skutki – zdaniem niektórych specjalistów, u których później leczyła się Nancy, za trudności w donoszeniu ciąży odpowiedzialne były zbyt częste prześwietlenia uszkodzonego kręgosłupa.

Nancy z zadowoleniem przyjęła nieobecność Johna w chwili, gdy nadeszła jej kolej; nie miała bowiem zamiaru prezentować Oldze listy swoich chorób. Chciała natomiast z uzdrowicielką, w której wyczuwała pokrewną duszę, podzielić się rozterkami co do roli, jaką jej przyszło odgrywać. Nadal powątpiewała, czy zadanie, do wykonania którego ją nakłaniano, nie jest dla niej ponad siły. Wciąż miała w pamięci przeżycie związane z rozpracowaniem przypadku z New Jersey: uprowadzenia, zgwałcenia i zamordowania małej dziewczynki. Zwłoki dziecka zostały utopione przy bocznym i mało uczęszczanym szlaku kolejowym i choć Nancy prawidłowo określiła okoliczności, miejsce zbrodni, a nawet przewidziała, że ciało dziecka znajdzie jakiś kolejarz, to jednak odtwarzanie w myślach przebiegu przestępstwa ogromnie dużo ją kosztowało.

Ale sam rodzaj pracy nie był jedynym utrapieniem Nancy. Martwiło ją, że zmienia się jej sposób widzenia świata, a wraz z tym wiele wewnętrznych przekonań i wartości. Jako osoba o tradycyjnych poglądach nie potrafiła przyjmować obojętnie nieprzychylniej opinii społecznej o ludziach swojego pokroju – obdarzonych zdolnościami parapsychicznymi.

Zbliżając się do uzdrowicielki, tym razem Nancy poczuła, ku swemu zdumieniu, strumień tak czystej i silnej miłości, aż oczy wezbrały jej łzami.

– Czemu płaczesz? – spytała Olga.

Nancy opowiedziała jej o zamordowanym dziecku i męce towarzyszącej odtwarzaniu zbrodni. Mówiła o trudnym początku i rozterkach. Tłumaczyła, że nie wie już, w co wierzyć, że czuje się jak dziwoląg, jest osamotniona, a przecież chciałaby tylko żyć normalnie.

– Jeśli ty jesteś dziwolągiem, to i ja także, moja miła – stwierdziła Olga, wyciągając rękę gestem powstrzymującym ekipę filmową. – A więc, witaj w klubie. Jeśli cię pan Bóg taką stworzył, widać to twoje przeznaczenie. Musisz się z tym pogodzić i przystosować.

Podróże do Baltimore stały się dla Andersonów comiesięcznym rytuałem, ale dopiero podczas trzeciej wizyty Olga spytała o przyczynę adopcji chłopców. Nancy opowiedziała o serii poronień. Wtedy uzdrowicielka podeszła bliżej i dotknęła jej brzucha.

– Spróbujemy coś na to poradzić.

– Chwileczkę – zareagowała nerwowo Nancy. – Są przecież chłopcy. Może to dla nich nie będzie korzystne, jeśli...

– Coś ty, mamusiu – oburzył się Blake. – Miej dzidziusia. Fajnie byłoby z takim maluchem.

– To będzie dziewczynka. Twoja malutka siostrzyczka – zwróciła się Olga do chłopca.

Blake nie posiadał się z radości.

Podczas następnej wizyty, mniej więcej na rok przedtem, zanim Nancy zaszła w ciążę, Olga podała dalsze szczegóły określające przyszłe dziecko. Powiedziała, że dziewczynka będzie miała jasne włoski i niebieskie oczy.

– Coś z tymi oczami będzie nie w porządku – dodała – ale da się to skorygować.

Idąc za radą dra Greena, Nancy przestała pracować, rzuciła lekcje baletu i została w domu, usiłując radzić sobie z atakami mdłości, które nie pozwalały jej zapomnieć o dawniejszych rozczarowaniach. Niestety, tym koniecznym środkiem ostrożności, mającym na celu utrzymanie ciąży, towarzyszyło uczucie osamotnienia i nudy. Kiedy więc zadzwonił telefon i Nancy usłyszała głos pułkownika Smitha, przyjęła to jako szczęśliwe zrządzenie losu, mimo iż doktor zalecał chwilowe zaniechanie pracy z policją.

Minęły już dwa tygodnie od chwili, gdy wraz z Williamsem i Sacco odwiedziła w szpitalu Jacka White'a. Przekonywała siebie, że milczenie pułkownika oznacza, iż pozyskane z jej wizji informacje okazały się nieprawdziwe. Tymczasem policjant kipiał entuzjazmem.

– Świetnie nam wystawiłaś tego strażnika! – zawołał. – Naprawdę ma czerwony nos i niebieski kombinezon.

– Strażnika?

– Na tym pogorzeliśku. Opisałaś starszawego faceta w niebieskim kombinezonie. Mówiłaś, że może być dla nas pomocny. Na razie nie garnie się do współpracy, ale chłopcy sobie z nim poradzą. Dobra robota, Nancy!

– Dziękuję panu. Nie wiedziałam, że to strażnik.

– On tam mieszkał. Mamy powody przypuszczać, że widział, co się zdarzyło w noc pożaru. Słowo daję, chciałbym tam być w chwili, gdy Williams zapuka, a drzwi otworzy facet, którego mu opisałaś.

– Sierżant Williams chyba nie jest zbyt przekonany do mojej pomocy.

– Cierpliwości, Nancy. Jeszcze kilka takich numerów, i nie będę mógł Williamsa odkleić od twoich pleców.

– A co z tym chłopcem ze szpitala? Ta sprawa też ruszyła z miejsca?

– Właśnie z tego powodu dzwonię. Podobno podałaś dość szczegółowy opis napastników. Chciałbym ci podesłać policyjnego rysownika, żeby sporządził szkice pamięciowe. Da się zrobić?

– Wie pan... – Nancy przeciągała słowa – w zasadzie miałam się przez pewien czas nie angażować, bo właśnie okazało się, że jestem w ciąży i...

– W ciąży? – przerwał jej Smith. – To dla ciebie na pewno wspaniała wiadomość.

– Dawniej miałam kłopoty z utrzymaniem ciąży. Duże kłopoty.

– No cóż, twoje zdrowie jest ważniejsze od wszystkich innych problemów. Może z tym rysownikiem to niezbyt dobry pomysł.

– Ależ skąd! Niech pan go przyśle. Nie widzę powodu, żeby rozmowa z policyjnym artystą miała mi w czymś zaszkodzić.

Rolf Wysock był niezwykle wysokim i potężnym mężczyzną, tak wielkim, że mundury musiał szyć sobie na specjalne zamówienie. Do Nancy prowadził go Sacco, znosząc cierpliwie biadolenie kolejnego sceptyka. Rolf, choć nie tak zirytowany całą sprawą jak poprzednio Carl, nie ukrywał, co myśli o jakichś parapsychicznych banialukach.

Po serdecznym przywitaniu obu gości Nancy zwróciła się do tego wyższego:

– Pan w to wszystko nie wierzy, prawda?

– Zgadza się. Nie wierzę – potwierdził Wysock. Mówił z lekkim akcentem niemieckim.

Był uprzejmym i wrażliwym człowiekiem, nie lubił ranić cudzych uczuć, ale wyznawał zasadę, że prawdę trzeba mówić prosto z mostu. Wychowywany był w Niemczech przez dziadków, lecz kiedy miał trzynaście lat i umarła mu babcia, wyjechał do ojca, do Kanady. Dwa lata później jego ojciec utonął, a piętnastoletni Rolf wrócił do Niemiec i zamieszkał z matką. Nigdy jednak nie wywiązała się między nimi bliższa zażyłość, natomiast

zawsze zastanawiał go fakt, że jedna z jego ciotek okazuje mu dużo więcej zainteresowania i uczucia niż jego własna matka. Ale dopiero kiedy się, ożenił i założył własną rodzinę, zaczęło go nurtować podejrzenie, że kobieta, którą uważał za matkę, może wcale nią nie jest. Chcąc rozwiązać tę zagadkę, wybrał się z żoną do Kanady, odwiedził ciotkę Liesellotte i zapytał ją wprost:

– Ciociu Lillo, czy to jesteś moją matką?

Kiedy padło to pytanie, starsza pani zbladła jak chusta, zaczęła się całą trząść i płakać.

Po dłuższej chwili doszła nieco do siebie i spojrzawszy na dorodnego mężczyznę, którego pomagała wychować, wykrztusiła:

– Nigdy mnie o to nie pytaj. Nie mogę odpowiedzieć.

Żaden z tych faktów nie był Nancy znany, kiedy rzuciwszy okiem na swego gościa, oświadczyła:

– Wyjeżdżał pan ostatnio na poszukiwanie matki.

Oszołomiony Wysock zaniemówił na moment. Po chwili jednak się pozbierał, przywołując na pomoc swój sceptycyzm.

– Ależ skąd, znam przecież matkę.

– Tylko tę, która utrzymuje, że nią jest.

– Słucham?

– Matka pana ma imię zbliżone do „Elizabeth”.

– Ona nazywa się Gertruda – zaproponował Rolf.

– Nie. Twierdzę, że to jakieś oryginalne imię przypominające w brzmieniu „Elizabeth”.

Liesellotte pochodzi z tej samej rodziny imion co Elizabeth,

Wysock, zbity z tropu, nie wdawał się już w dalszą dyskusję lecz zabrał się do pracy. Wyciągnął album ze zdjęciami. Miał w nim ponad dwieście fotografii, spośród których świadkowie mogli wybierać oczy, nosy, brwi, fryzury, łączone potem przez rysownika w jedną szkicowaną twarz. Nancy przerzucała karty albumu, opędzając się od Blake’a, który przed chwilą wpadł do pokoju, doszedłszy widać do wniosku, że kogoś takiego wielkiego jak Rolf należy obejrzeć z bliska. Kiedy przestał zawracać głowę rysownikowi, zaczął naprzykrzać się Sacco prosząc, żeby policjant dał mu obejrzeć swój rewolwer.

W trakcie szkicowania Rolf spytał Nancy, czy jest jeszcze coś, co mogłaby o nim powiedzieć.

– Wysoce pan zajdzie – odpowiedziała. – Widzę pana nazwisko na kartach encyklopedii. Widnieje w niej także pański syn.

Ukończone szkice Rolf wręczył Nancy do sprawdzenia. Przymknęła oczy, porównując rysunki z własną wizją; w końcu uznała, że podobieństwo zostało uchwycone.

Policjanci mogli się już pożegnać. Wysock odwrócił się jeszcze od progu.

– Jaką najwyższą rangę osiągnę w policji stanowej?

– Widzę gwiazdę na pańskim ramieniu.

– Proszę, proszę. A jednak się pani myli – roześmiał się – w policji stanowej nie ma generała.

– Widzę pana z mundurze i z gwiazdką na ramieniu – obstawała przy swoim Nancy.

Obecnie, po siedemnastu latach, Rolf przyznał, że był już wtedy członkiem straży narodowej, czego, oczywiście, Nancy wówczas nie wiedziała. Dziś Rolf Wysock jest majorem i choć insygnium tej rangi to nie gwiazdka generalska, jednak bardzo ją przypomina.

Po wizycie Wysocka ruszyła lawina telefonów. Policjanci dzwonili codziennie – czasem dwa, nawet trzy razy. W większości przypadków dzwonił Sacco, ale bywały również telefony i od innych współpracowników Williama, których Nancy jeszcze nie poznała. Oficerowie dochodzeniowi najczęściej oczekiwali odpowiedzi na konkretne pytania, dotyczące fragmentów sprawy przekazanych im przez Grega lub Carla. Greg, oprócz informacji pozyskiwanych drogą wizji, chciał znać również prywatne opinie Nancy w danej kwestii. Wszyscy funkcjonariusze – z wyjątkiem Sacco – rozpoczynali rozmowę oficjalną formułką: „dzwonię z polecenia Carla Williama”, ale sam Carl nie zatelefonował nigdy.

– Nancy, jesteś pewna, że to byli biali? – spytał Greg któregoś popołudnia, parę dni po swojej wizycie z rysownikiem. Mówili już sobie wówczas z Nancy po imieniu.

Domyśliła się od razu, że chodzi mu o tych, którzy zmasakrowali Jacka White’a.

– Nie, niczego nie jestem pewna. To moja pierwsza taka sprawa. Brak mi doświadczenia.

– Pytam, bo mamy podejrzanego. A w zasadzie dwóch. Mieszkają w tej części miasta, którą opisałaś. Obaj mają porywcze usposobienia; jeden bardziej. Pasują do opisu, przynajmniej w pewnym sensie. Widzisz, niby wszystko gra, ale to czarni.

– Pamiętasz tę robotę przy szkicach pamięciowych? Kiedy dobierałam elementy twarzy według mojej wizji, szukaliśmy nosa; jedyny, jaki pasował, to był nos murzyński.

– Więc mogli to być czarni faceci?

– Chyba tak.

Zanim jednak zapadła decyzja o ujęciu podejrzanych, Sacco dokonał szokującego odkrycia. Dwa dni później zadzwonił do Nancy.

– Wiesz na co wpadłem? Te szkice, które zrobił Wysock, zabrałem do średniej szkoły. To był strzał w dziesiątkę. Tam te twarze zostały z miejsca rozpoznane. Ci dwaj ze szkiców to dobrzy kumple Jacka i byli u niego na stacji w dzień napadu, ale wcześniej. Skąd wiedziałaś?

Gdy chodziło o jej parapsychiczne uzdolnienia, Nancy nauczyła się tylko sposobu pozyskiwania konkretnych informacji. Zadawała pytanie, a wizje napływały same. Czemu jednak tak dokładnie opisała dwóch najlepszych przyjaciół Jacka zamiast jego napastników, było doprawdy zagadką. Greg w dodatku twierdził, że podobieństwo było tak dobrze uchwycone, iż pierwsza zagadnięta osoba podała od razu oba nazwiska.

– A może to oni? Jak możecie wykluczyć, że go nie napadli? – podsunęła Nancy.

– Mają żelazne alibi.

Nancy lubiła współpracować z Gregiem, lecz denerwował ją fakt, że Williams nigdy sam się do niej nie zwraca. Nawet gdy miał jakieś swoje pytania, stawiał je zawsze za pośrednictwem Sacco.

– Czemu jej sam nie spytasz? – usłyszała kiedyś cierpką uwagę rzuconą do Carla, kiedy Greg dzwonił do niej z komisariatu. – a może ty, Nancy, wiesz, co jest grane?

– Jasne. On jest po prostu zbyt strachliwy, żeby mi zadawać pytania.

Sacco parsknął śmiechem i ponownie zwrócił się do kolegi.

– Szkoda, że nie słyszałaś, co powiedziała o tobie.

– Co takiego? – zareagował Carl tak szybko i głośno, że usłyszała go, jakby mówił wprost do słuchawki.

– Powiada, że trzęsiesz przed nią portkami ze strachu, bo się boisz zadać jej nawet parę pytań.

Zapadło dłuższe milczenie, przerwane w końcu burkliwym: „halo”.

Uciecha Nancy z wywabienia największego ze sceptyków z nory miała, niestety, krótki żywot. Jeśli przesłuchanie świadków prowadzone przez ludzi Williama nazwać *odpytywaniem*, to ta sama procedura w wydaniu ich szefa przypominała wymuszanie zeznań. Miał zwyczaj zadać pytanie, a potem pytać dodatkowo o każde niemal słowo otrzymanej odpowiedzi. Styl jego pracy nie był obliczony na zdenerwowanie i zirytowanie indagowanej osoby, ale przeważnie taki właśnie odnosił skutek.

– Ta woń na pogorzeliisku... Mówiła pani, że to nafta, ale również i benzyna. Więc co?

– Obydwie.

– Jak to? Przecież nafta nie pachnie jak benzyna i odwrotnie. Jedna woń, dwa zapachy? Co w końcu pani czuła?

– Dwa zapachy.

– Chce pani powiedzieć, że ten facet nie mógł się zdecydować co lepsze, lał więc w ogień i naftę i benzynę?

– Chcę tylko powiedzieć, że czułam dwa zapachy.

– Występowały równocześnie?

– Nie wiem. W wizjach czas nie jest istotnym czynnikiem. Obrazy się nakładają.

– Zapachy?

– Co zapachy?

– Nie nakładają się?

– Nie, zapachy się nie przenikają. Odczuwam je jakby równolegle.

– Czy mam rozumieć, że elementy wydarzeń mogą się w pani wizjach mieszać, a elementy zapachowe nie?

– Elementy się nie mieszają, tylko kolejność wydarzeń.

I tak dalej, i tak dalej, bez końca. Jego głodu szczegółów niemal nie dało się nasycić. Chciał znać numery rejestracyjne, numery wozu. Nie wiedziała. Kiedy szczegółowo opisała wygląd podpalaczy, spytał o ich nazwiska; również i tej informacji nie potrafiła udzielić. No to zażądał adresów.

– Nie potrafię panu podać adresów – tłumaczyła się.

– Nie...? – rzucił takim tonem, jakby mówił: „no to właściwie po co ja się bawię w te klocki?”

Nancy po skończonej rozmowie odłożyła słuchawkę z poczuciem własnej nieprzydatności. Była także zirytowana, choć, na dobrą sprawę, nie miała podstaw, by wytknąć Carlowi choćby jeden jedyny przejaw nieuprzejmości.

Tymczasem Williams, jakby wbrew sobie, zaczął odczuwać do Nancy sympatię; może za sposób, w jaki z zapalem wykorzystywała te swoje nietypowe umiejętności, a może za jej szczerość. Zazwyczaj wystrzegał się ludzi zgłaszających do policji swoją pomoc. Wiedział z doświadczenia, że ludzie pewnej kategorii, z jakichś niezgłębionych powodów, wręcz lubują się w sekundowaniu policjantom. Ale powoli nabierał przekonania, że Nancy nie jest tego rodzaju osobą.

Ona nie chciała się tylko „załapać”, jak to określał. Jej pragnienie przyjscia z pomocą wydawało się autentyczne. Prawdę mówiąc, trochę się nad nią w duchu litował.. *Jak ona może wierzyć w takie bzdury? Wygląda całkiem normalnie... Jak więc może wierzyć w coś takiego?!*

Jednak mimo iż rozpoznanie sprawców napadu na Jacka White'a nie bardzo jej wyszło, podane przez nią opisy dotyczyły konkretnych, istniejących osób, znanych Jackowi, i w dodatku takich, które owej nocy były na tamtej stacji benzynowej. Jak to wytłumaczyć?!

Większość ludzi nie miała pojęcia, że za racjonalnym zachowaniem Carla Williama kryje się umysł otwarty na każdą możliwość. Myślenie bez żadnych uprzedzeń, obciążeń i ograniczeń – tak to nazywał. Ta

cecha pozwalała mu stawać przy tablicy przed swoją ekipę i analizować wszystkie – nawet i te absurdalne z rozsądnego punktu widzenia – możliwości morderstwa w taki sposób, jakby każdy omawiany wariant był tym, który się rzeczywiście wydarzył.

Williams przekonał się, że tylko ten rodzaj otwartości umysłowej daje pewne gwarancje sukcesu w jego pracy. Nauczył się także, że najważniejsze jest trzymać rękę na pulsie i nie dawać za wygraną – wcześniej czy później wypłynie coś, co będzie miało związek z daną sprawą. I należy pracować, pracować, pracować z taką intensywnością, jakby się chciało wycisnąć ołów z rozrzedzonego powietrza.

A w sprawie Jacka White'a rzadkie powietrze było wszystkim, czym dysponowali – powietrze plus półtorastronicowy raport policyjny. Wobec braku jakiegokolwiek śladu, informacje Nancy lśniły szczerym złotem. Gdy się jednak okazało, że ten trop wiedzie w ślepią uliczkę, Williams powrócił do metody wyciskania ołowiu z powietrza w sesjach „burzy mózgów”. Czasem zwoływał na te sesje współpracowników do swojego domu, innym razem były to nie kończące się rozmowy telefoniczne, przeważnie z Gregiem. Żona Carla, Kitty, śmiała się wówczas mówiąc, że lada chwila słuchawka przyrośnie mężowi do ucha. Zaś Marsha, żona Grega Sacco, narzekała, że on po dziesięć-, dwunastogodzinnym dniu pracy wraca do domu tylko po to, żeby kolejne dwie godziny wisieć na telefonie, obgadując z Carlem wciąż te same sprawy służbowe.

Najczęściej jednak zbiorowe burze mózgów odbywały się u Carla, w jego mieszkaniu, w pokoju, który nazywał swoją kryjówką.

Zaproszenie na jedną z takich sesji otrzymała Nancy w kilka tygodni po pierwszym wspólnym spotkaniu.

Dotychczas w sprawach Carla telefonował do Nancy zawsze Greg, jeśli obaj wspólnie pracowali. Kiedy Williams wpadał na jakiś pomysł w domu, prosił żonę, żeby dzwoniła. To wprawiało Kitty w zdumienie, bo nigdy dotąd jej mąż nie okazywał takiej nieśmiałości w posługiwaniu się telefonem. Wręcz odwrotnie – nieraz trzeba go było niemal siłą odrywać od aparatu.

Nancy jednak ogromnie polubiła rozmowy z Kitty. Od samego początku świetnie się ze sobą zgadzały. Odkryły też wzajemne podobieństwa: obie były wspaniałymi matkami, przepadały za pogawędkami o książkach, dzieciach i przestępcach. Kiedy Kitty dowiedziała się, że Nancy jest w ciąży, nie czekała na prośby męża, tylko sama często dzwoniła, by się dowiedzieć o samopoczucie przyjaciółki. To właśnie ona zaaranżowała pierwszy przyjazd Nancy na burzę mózgów do domu Williamsów. Kitty zaczynała mieć dość pośrednictwa; jedną rozmowę dziennie jeszcze zносиła, ale kiedy musiała biegać do telefonu tam i z powrotem, straciła cierpliwość.

– Przyjedź do nas, niech oni wszyscy sami zadają ci te swoje pytania – zaproponowała.

Pomysł znalezienia się twarzą w twarz z całą ekipą Carla zmroził Nancy.

– Och, to byłoby wygodniej, ale moi chłopcy ...

– Przywieź ich, Connie się nimi zajmie – odparła Kitty, mówiąc o córce.

– Nie wiem, czy do was trafię – Nancy próbowała się jeszcze bronić.

– Powiedz jej, że przyjedziemy po nią – oznajmił Carl, gdy tylko żona przekazała mu wymówkę Nancy.

Po przybyciu przed dom Williamsów mały Blake wysiadł z auta z miną wyrażającą zdziwienie, jak to się stało, że dał się namówić do przyjazdu. Ubrany był w kąpielówki i klapki; buty ścisnął pod pachą, a maskę do pływania nasunął na czoło. W jednej ręce niósł zrolowane dzinsy, w drugiej rękawiczki.

– Gdzie basen? – spytał już od progu.

Wszyscy obecni roześmiali się głośno. Jedyne Travis zachował poważną minę.

– Blake! To niegrzecznie – upomniał starszego brata.

– Co jest niegrze...?

– Chodźmy tędy – przerwała mu Kitty, prowadząc pochód gości przez kuchnię, potem w dół po dwóch schodkach. Weszli do wyłożonego dywanem pokoju, o pokrytych boazerią wszystkich ścianach, oprócz jednej, zasłoniętej w całości regałem z wiśniowego drewna, zastawionym książkami. To przyjemne pomieszczenie było ową „kryjówką” Carla.

Na kanapce i paru fotelach siedziało sześciu detektywów. Sześć pistoletów w kaburach, po jednym obok każdego mężczyzny, przykuło spojrzenie Nancy. Zerknęła na Blake'a, ale chłopiec, któremu na moment błysnęły oczy na widok takiej ilości broni, zaraz rozejrzał się dokoła.

– Tu nie ma basenu – zaprotestował.

– Chodź, Blake. – Kitty ogarnęła go ramieniem i poprowadziła z powrotem do kuchni i na podwórkę. Nancy, która miała zostać w pokoju, przeprosiła jednakże zebranych i ruszyła w ślad za dziećmi, obawiając się spuścić z oczu starszego synka, zanim sama nie zbada gruntu. A poza tym chciała jeszcze odwlec chwilę pozostania w niepokojącym ją towarzystwie tych wszystkich uzbrojonych mężczyzn. Widok basenu: sześć na dwadzieścia metrów, nie podzielał wcale uspokajająco. Dręczyła ją myśl: *Blake coś zmaluje. Zmaluje coś na pewno.* Kiedy Carl zapoznał chłopców ze Smokeyem, uspokoiła się nieco.

Smokey był to pies rasy syberyjskiej, długowłosa, średniej wielkości, z charakterystyczną krezą sierści okalającą jego poczciwy pysk. Uwielbiał lizać dzieci. Liźnięcie psiego jęzora było dostatecznym pretekstem dla Blake'a, by udawać, że wpadł do wody. No, teraz będzie trochę spokoju, pomyślała Nancy z ulgą, ogarniając wzrokiem syna radośnie taplającego się w basenie.

Z Kitty i Carlem wróciła do środka. W ślad za dorosłymi przydreptał do pokoju Travis, który już się zdążył znudzić zabawą z psem. Nancy z Travisem usadowiono na sofie. Williams, najwyraźniej w roli zwierznika, zasiadł naprzeciwko w bujanym fotelu, mając po obu stronach swoich ludzi. Policjanci zdawali się z niecierpliwością wyczekać końca pustej pogawędki, by powrócić do pracy. Carl, porzuciwszy skórę uprzejmego gospodarza, stał się sobą, pytając Nancy, jak to się stało, że tak spartoliła kwestię identyfikacji w sprawie Jacka White'a.

Nancy stężała wewnątrz, ale z łatwością potrafiła ukryć swe uczucia – jedna z korzyści uprawiania od lat sztuki medytacji. Oczekwała, aż jej minie pierwsza fala gniewu, i spytała:

– Doprawdy? A Greg mi mówił, że opisałam istniejących ludzi. Poza tym był przecież jeszcze trzeci napastnik. Może z nim nam się uda?

– Świadek kogoś, kto mylnie opisał dwóch z trzech przestępców, nie jest wiarygodne. .

– Niezupełnie się pomyliła – wtrącił Greg. – Podała dokładne portrety dwóch przyjaciół Jacka.

– Dostała prawidłową odpowiedź na źle postawione pytanie – zauważył George Patterson.

Nancy rozmawiała wprawdzie z Pattersonem przez telefon, ale nie miała dotąd okazji poznać go osobiście. Oceniała go jako bodajże najbliższego z grupy Carla, w sensie czystego intelektu, a nie praktyki, której nie miał tyle, co inni członkowie ekipy, znający życie ulicy jak własną kieszeń. Pattersona, podobnie jak Grega fascynowały paranormalne zdolności Nancy; pragnął znaleźć sposób na ich wykorzystanie.

– To właśnie chcę powiedzieć – mówiła dalej Nancy. – Wy traktujecie mnie jak zwykłego świadka, bo do takich jesteście przyzwyczajeni. Może w tym tkwi błąd. Zadajecie pytanie, ja odbieram przekaz lub wizję. A jeśli ta wizja nie zawsze da się interpretować dosłownie? Być może moje przekazy dają odpowiedzi także na nie zadane pytania.

– Albo może dają również odpowiedzi bzdurne – dorzucił Jack Mayer.

Był to potężny facet szcycący się tym, że jest zrzęda i malkontentem. Ten twardy, sceptyczny gliniarz miał świetne rozeznanie w światku przestępczym, a jednocześnie z zapamiętaniem i poświęceniem, dorównującym zapałowi Carla, oddawał się rozwiązywaniu skomplikowanych spraw. W trakcie dokonywanej przez Carla prezentacji Nancy próbowała zjednać sobie ponurego mężczyznę wskazaniem podobieństwa jego nazwiska z jej nazwiskiem panińskim: Mayer – Myer. Ale Jack zmierzył ją tylko spojrzeniem mówiącym: „no i co z tego?”

– Nie zachowujmy się jak dzikusy – nieoczekiwanie odezwał się Carl. – Nawet jeśli to była pomyłka, nie szkodzi. Zmusiła nas do działania, a to już coś, i może do czegoś doprowadzić.

Nancy ogarnęło zdumienie. Z tej strony nie spodziewała się poparcia.

– Wszystko, co wiąże się ze sprawą Jacka White'a, będzie mile widziane – dodał Greg Sacco.

Williams od samego początku wyrażał pogląd, że jeżeli przestępstwo popełnił przejezdny, to jedyny sposób, żeby go dostać, polega na czekaniu, aż wpadnie przy kolejnym podejściu. Jeśli jednak sprawca lub sprawcy są miejscowi, to zostaną ujęci – Williams co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Fakt, że Nancy ujrzała wizję trzech napastników, skłaniał do przypuszczenia, że to miejscowi, bo obcy zwykle nie działali w grupach. Inną okolicznością świadczącą – jego zdaniem – o tym, że przestępcy pochodzili z miejscowego światka przestępczego, było to, iż mniej więcej w tym samym czasie zdarzyło się szereg włamań do supermarketów. Ponieważ jednak identyfikacja nie dała spodziewanego rezultatu, Carl na razie nie miał innego źródła informacji.

– Musicie pamiętać, panowie, że to dla mnie wciąż dziewiczy ląd – tłumaczyła Nancy.

– W tym problem – przytaknął Patterson. – A w jaki sposób „to” działa u pani?

– Nie wiem, czy zawsze dzieje się tak samo. Niekiedy mam wrażenie, że odbieram przekaz dosłowny, innym razem wydaje mi się, że to obrazy symboliczne. I często nie mogę się w tym rozeznaczyć.

– Tam, na stacji benzynowej, sprawiałaś wrażenie, jakbyś była w kłopotach prawdziwych, a nie symbolicznych – zauważył Greg.

– Doświadczyłam wówczas czegoś dla mnie nowego. Widocznie takie pełne przemocy sceny mogą mieć na mnie faktycznie przynębiający, a nawet paraliżujący wpływ.

– Paraliżujący wpływ? – zdziwił się Patterson.

Nancy nie była pewna, czy sama to dobrze rozumie, ale myślała dużo na ten temat, więc zdecydowała się na próbę odpowiedzi.

– Wydarzenia, przynajmniej te o dużym ładunku emocji, do jakich należało pobicie Jacka White'a, muszą pozostawiać pewne ślady, które ja odbieram. Sądzę, że ten odbiór odbywa się w sferze emocjonalnej, bo zawsze coś odczuwam. Często miewam wizje, ale nie zawsze. Niekiedy czuję zapachy, innym razem słyszę dźwięki. Czasami nie jest to przekaz sensoryczny; odbieram wówczas jakieś przeświadczenie lub informację.

– Czy musisz być zawsze na miejscu związanym z daną sprawą? – zainteresował się Greg.

– Nie – odpowiedziała po chwili, przebiegając myślą swoje doświadczenia. – Nie byłam przecież w miejscu katastrofy łodzi ani tam, gdzie utonął młody Cilimburg, a kiedy stałam na brzegu i skupiałam myśli, widziałam obrazy i owego tragicznego wieczoru i czułam się tak, jakbym tam była. Doświadczyłam podobnie realnego odczucia jak na stacji benzynowej.

– Skupia pani myśli? W jaki sposób?

– Muszę się skupić, albo dostroić do kogoś lub czegoś. Może to być osoba lub scena przestępstwa. Koncentruję się i jakby otwieram na odbiór, a informacje same napływają.

– I co jeszcze? – naciskał Carl.

– Potrafię chyba wyzwać ten proces przez udanie się na miejsce wydarzenia. – przerwała na moment. – Choć wydaje mi się, że z pewnej odległości umiem lepiej nad tym panować. Mam większą możliwość kontroli, jakkolwiek wtedy występują różnice w ostrości odbioru.

– Proszę, proszę. Jeśli pani to wszystko potrafi, to czemu nie mogła mi pani podać znaków rejestracyjnych, numerów wozu ani nazwisk przestępców? – spytał zaczepnie Williams.

– Bo wtedy zostałabyś bez pracy – wtrąciła Kitty.

– Spokojna głowa. Wziąłbym ją ze sobą na wyścigi, zgarnąłbym parę wygranych i żyłbym sobie jak lord – odciął się.

– Hola, hola. Nie ma tak dobrze. Nancy zgodziła się tam wybrać, ale tylko ze mną.

W trakcie jednej z telefonicznych pogawędek Nancy opowiedziała przyjaciółce o tym, jak pewnego razu pojechała z dziadkiem na tor wyścigowy. Była wówczas dzieckiem, miała najwyżej dziewięć lat. Wystarczyło jej jednak przejść się z dziadkiem wzdłuż padoku, a potrafiła bezbłędnie wytypować zwycięskie konie. Ale zdarzyło się to tylko dwukrotnie. Emma Myer, babcia, najważniejsza osoba w rodzinie, dowiedziawszy się, gdzie jej mąż zaciągnął wnuczkę, omal nie dostała wylewu z irytacji.

– Ależ, Em, mała kocha zwierzęta – bronił się wtedy dziadek po wysłuchaniu reprimendy.

– No to ją weź do zoo! – odpaliła babcia, wypychając Nancy z pokoju.

Myerowie zawsze posiadali wyjątkowy dar kontaktu ze zwierzętami. Ojciec Nancy potrafił radzić sobie z czworonogami, a niektórzy spośród stryjecznych dziadków i pradiadków Nancy byli treserami dzikich zwierząt i woźnicami w wyścigach zaprzęgów. Nancy nie miała pojęcia, czy posiada obecnie umiejętności typowania koni, ale przypuszczała, że po dwudziestu latach zastraszający efekt babcinego zakazu stracił już swoją moc.

– No, to Kitty zbiera zakłady – oznajmił Carl.

– O, nie. Żadnych zakładów – zaprotestowała Nancy. – W zasadzie nie mam nic przeciwko typowaniu koni, ale już sama myśl, że ktoś mógłby rzeczywiście postawić na nie pieniądze, przyprawia mnie o nerwowe dreszcze.

– Naprawdę chciałabyś to robić tylko tak sobie, wyłącznie dla frajdy?

W głosie Mayera brzmiało niedowierzanie tak bezgraniczne, że Nancy musiała się roześmiać widząc, jak jej postawa zbulwersowała otaczających ją mężczyzn.

– Co wobec tego zgodzisz się zrobić, żeby zademonstrować sposób swojej pracy? – spytał Patterson.

– Podaj kogoś, a ja go scharakteryżuję. Oczywiście, wymień osobę, której nie znam.

– Hawk – podsunął Carl, mając na myśli jedyne go członka swojej ekipy, którego nie było teraz wśród nich.

– Hawk? To nazwisko? – spytała Nancy.

– Hawkinson. Ted Hawkinson – pospieszyła z wyjaśnieniem Kitty.

Skoro tylko te słowa padły z ust przyjaciółki, Nancy ujrzała wizję trefnisia dworskiego. Uśmiechnęła się.

– On was rozśmiesza. Uwielbia figle i kawały. Umie rozładować ciężką atmosferę.

Mówiąc to, patrzyła na Jacka Mayera. Gruchnął śmiech. Hawkinson był właśnie taki, jak go Nancy opisała. Gruby, dobroduszny gliniarz, który z równym zapałem wyrzucał pijaczków z barów, co prowadził dochodzenie w sprawie o morderstwo. A przy tym uwielbiał psikusy i wszelkie żarty.

Zadzzwonił kiedyś do pewnego początkującego policjanta z prośbą, by ten zamówił w barze „pod piwem i bębniem” pięć wielkich pizz dla całej grupy dochodzeniowej, której członkowie mieli na miejsce dotrzeć później. Nowicjusz, zadowolony, że może wcześniej zejść ze służby, natychmiast usłuchał. Potem fama głosiła, że do późnej nocy naiwny żółtodziób sprzedawał przecenione kawałki pizzy, a ekipa starych wyjadaczy ucztowała gdzie indziej.

– Renfro – rzucił Mayer kolejne nazwisko.

– Przeszedł niedawno jakąś operację, która nie była konieczna. Skutki tego zabiegu okazały się niezbyt fortunate. To znaczy operacja się udała, ale z jakiegoś powodu wy dokuczacie mu bez przerwy – brzmiał komentarz Nancy.

– Okay, okay. Który z was, chłopaki, powiedział jej, że on miał transplantację włosów? – skrzywił się Carl.

Przez pokój przetoczyła się kolejna fala śmiechu.

W tym nastroju upływał wieczór. Kitty od czasu do czasu wyskakiwała na podwórko sprawdzić, co robią dzieci lub uzupełniała ubytki precelków i chipsów. Znużony Travis co jakiś czas ciągnął matkę za połę bluzki szepcząc, że Blake, na pewno rozrabia na dworze. Carl często przerywał dyskusję odbierając telefon, ustawiony dla wygody tuż obok fotela. Kiedy podnosił słuchawkę, służbowe rozmowy ustawały, przechodząc w lekką pogawędkę i przekomarzenie się z Nancy, żeby ją namówić do pójścia na wyścigi.

Jedną z takich przerw Mayer wykorzystał do poruszenia kwestii związanych ze sprawą podpalenia. Informatorzy uliczni potwierdzili wiadomości pozyskane z wizji Nancy, przynosząc pogłoski, że podejrzany przechowuje kilka maszyn rolniczych w swoim magazynie w Rehoboth. Jednakże nie były to dostateczne świadectwa dla uzyskania nakazu rewizji. Wszyscy z ekipy dochodzeniowej zachodzili w głowę, jakby tu

dobrac się facetowi do skóry i dostać do tego magazynu. Nikt przecież nie słyszał o wydaniu nakazu rewizji na podstawie informacji uzyskanych metodami parapsychicznymi. Wsuwano szereg sugestii, ale żadna nie dała się praktycznie wykorzystać. Kiedy Carl włączył się do rozmowy, wzruszył ramionami, ale jednocześnie zrobił taką minę, jakby wpadł na jakiś pomysł.

– Może coś da się zrobić – powiedział jedynie.

Nancy pierwsza zaczęła się żegnać – Travis zasnął na kanapie, a Blake’owi znudziła się zabawa z Connie. Dobrze się czuła po tej wizycie. Z początku była przerażona, ale gdzieś pomiędzy wyścigami konnymi a transplantacją włosów bariery skrępowania opadły. Odniosła wrażenie, że została zaakceptowana. Być może kiedyś ci policjanci zaczną ją nawet uważać za kogoś w rodzaju dobrego „kompana”. Kto wie?

Kilka dni później, kiedy Nancy odebrała telefon, usłyszała w nim tylko salwy śmiechu. Już miała odłożyć słuchawkę, gdy poznała głos Grega. Sacco najwyraźniej starał się stłumić własną wesołość i uspokoić rechoczących radosne kolegów.

– Halo? – odezwała się Nancy.

– Nancy, przepraszam, ale nie mogę przestać się śmiać – wykrztusił. – Wróciliśmy właśnie z rewizji i myślę, że Carl się nawrócił.

– Nawrócił?

– Tamten gość jest właścicielem firmy sprzedającej samochody w Rehoboth i zgadnij, co znaleźliśmy w jego magazynie?

– Te trzy maszyny rolnicze, które rzekomo miały już być kupą złomu.

– Ale to jeszcze nie wszystko. Nakryliśmy tam facetów, których opisałaś jako podpalaczy. Oni pracują u tego gościa.

Nancy ucieszyła się, lecz także zdziwiła.

– A jak wam się udało zdobyć nakaz rewizji?

– To jest najlepsze ze wszystkiego – ciągnął Greg. – To był pomysł Carla. Powiedział sędziemu, że ma świadka.

– Tamtego wieczoru nikt nic nie wspominał o świadku. Szczęśliwie trafiliście na kogoś?

– W pewnym sensie.

– To ktoś, kogo wam podsunęłam?

Greg znów nie mógł opanować chichotu.

– Jakbyś zgadła. Ten świadek to ty. Jesteś niemym świadkiem, bo twoje wizje nie mogą mieć znaczenia dla sądu, jednak istniejesz.

Rozdział piąty

Wynoście się z mego domu

Mary Amelia Allen zajmowała sama schludny, starannie utrzymany domek, z nieskazitelnym podwórkiem okolonym różnymi rabatami, stanowiącymi przedmiot zawiści całego sąsiedztwa. Ten niewielki budynek położony był przy Governor Printz Boulevard w Claymont, na północ od Wilmington, w spokojnej okolicy, gdzie brutalne przestępstwa zdarzały się niezwykle rzadko. W ciągu dwu lat minionych od śmierci męża życie siedemdziesięcioletniej pani Allen biegło w ustalonym porządku. Co ranka autobusem o 09:30 udawała się do Wilmington, wysiadała na przystanku przy market street i szła do Le Roya, magazynu mody damskiej, gdzie była jedną z najlepszych ekspedientek. Dokładnie o 17.40 wracała codziennie do domu.

Mary była drobną osobką, obdarzoną miłym głosem, lubianą przez współpracowników i klientki. Ale poza pracą pędziła cichy i samotny żywot. Nikogo nie zapraszała, nie przyjmowała żadnych wizyt, jeśli nie liczyć odwiedzin dorosłych już dzieci. W sąsiedzkie pogawędki wdawała się niechętnie, a i wówczas poruszała tylko blahe tematy, rzadko kiedy wykraczające poza kilka uwag o pogodzie.

W czwartek, 24 lipca 1975 roku, Mary nie stawiała się na czas do pracy. Gdy godziny mijały, a sytuacja się nie wyjaśniała, jedna z zaniepokojonych pracownic magazynu mody zadzwoniła do pani Allen do domu. Nikt nie podnosił słuchawki. Z rosnącymi obawami zaczęto wydzwaniać do wszystkich Allenów figurujących w książce telefonicznej, w nadziei odszukania kogoś z rodziny Mary. Dopiero późnym popołudniem zdołano dodzwonić się do Ralpha, jednego z jej synów. Jego żona, Margaret, natychmiast ruszyła do Claymont.

W sypialni pedantycznie wysprzątanego domku, który dla Margaret był zawsze wzorem ładu i porządku, na łóżku skąpanym we krwi, znalazła martwą teściową, podziurawioną betalsko przeszło siedemdziesięcioma ranami zadanymi jakimś ostrym narzędziem. Widok ten wstrząsnął ją do głębi. A wiadomość o tym fakcie poruszyła wkrótce całą społeczność Claymont.

W czerwcu i lipcu 1976 roku Nancy nie zawsze czuła się na siłach, by pracować codziennie. Kitty i poszczególni członkowie brygady Carla informowali go wprawdzie o samopoczuciu i ewentualnej gotowości Nancy do pracy, ale nigdy nie było wiadomo, czego oczekiwać. Carl dzwoniąc do Nancy, żeby ją prosić o pomoc w przydzielonej mu właśnie przez pułkownika Smitha sprawie morderstwa, nie wiedział, czy będzie mógł liczyć na jej współpracę. Z ogromną zatem ulgą przyjął ożywiony głos Nancy odpowiadającej na jego telefon. Okoliczności mu sprzyjały: Nancy czuła się świetnie, a znudzona długim siedzeniem w domu tryskała chęcią działania; na dodatek dopisywała piękna pogoda.

Sprawa zabójstwa Mary Allen – podobnie jak większość przydzielanych Williamsowi do rozstrzygnięcia przypadków – była zadawniona. Ciągnęła się od roku i dość dawno utknęła w martwym punkcie. Carl nie podał Nancy żadnych szczegółów, nie wymienił nazwiska ofiary, powiedział jedynie, że trzeba rozwiązać zagadkę morderstwa. Taki przyjęli system działania. Gdy Nancy pracowała w oparciu wyłącznie o zdjęcia, żądała nazwisk, natomiast kiedy udawała się na teren popełnienia przestępstwa, nie otrzymywała żadnych danych. Przyjmując tę zasadę, Carl chciał wykluczyć możliwość podejrzenia, że odbierane przez Nancy przekazy i wizje zawierają informacje, o których wcześniej czytała lub słyszała. Próbowal ją też nakłonić, by swoją koncentrację przeprowadziła dokładnie w miejscu dokonania występkę, ale ona, mając w pamięci doświadczenia stacji benzynowej, odmówiła. Potrzebny jej był pewien dystans, by wydarzenia przekazywane w wizjach móc traktować jako widz, a nie uczestnik czy ofiara.

Carl wolał pracę w terenie niż sesje ze zdjęciami. Dla niego znajdowanie się blisko przestępstwa czyniło występki w pewien sposób bardziej uchwytym i namacalnym. Tu mógł także od razu pewne fragmenty wizji skonfrontować z rzeczywistością. Wprawdzie nie poznał jeszcze Nancy na tyle dobrze, by zakładać, że wszystkie jej informacje są dokładne tylko dlatego, iż jeden podany przez nią fakt zgadza się z tym, do czego sam doszedł inną drogą, ale każda taka zgodność podnosiła go na duchu.

Dziś Nancy nieco się zdziwiła na widok dwóch samochodów hamujących przed jej domem już w niespełna godzinę po rozmowie telefonicznej z Carlem. Domyśliła się z tego, że sprawa, o której mówił, musi być dosyć ważna i zapewne pułkownik nalega na jej zakończenie. Szosą numer 95 udali się na północ, ale za Wilmington, po zjechaniu z drogi szybkiego ruchu, Nancy straciła orientację, kiedy auta kluczyły po wąskich uliczkach okolicznych osiedli mieszkaniowych. Carl poruszył temat sprawy podpalenia, informując Nancy, że wszystko najwyraźniej zmierza do końca i niebawem ma odbyć się proces. W sprawie pobicia Jacka White'a nadal nie wypłynęło nic nowego.

- Oprócz tej piosenki – dodał, przypominając sobie, czego dowiedział się od Grega. – Tej o ptaszku.
- „Leć, ptaszku, leć” – odpowiedziała Nancy.

– Greg rozmawiał z matką Jacka; istotnie, okazało się, że ona przepada za tym przebojem, kupiła sobie nawet płytę, czego dotąd nie robiła.

Nancy, wsłuchując się w brzmienie głosu Carla, próbowała wyłapać ewentualny cień uznania, ale on po chwili milczenia rzucił obojętnie:

– Sądzę, że dużo ludzi lubi tę piosenkę.

Zahamowali ostro przed małym, miłym domkiem z czerwonej cegły, z małym ganeczkiem i kratą napęczą z jednej strony.

Nancy przeszło przez myśl, że to miejsce zbrodni, ale Carl, wysiadając, powiedział, że ma tu tylko krótką sprawę do załatwienia i za chwilę wraca. Takie zbaczanie z trasy nie było niczym niezwykłym. Detektywi często prowadzili kilka dochodzeń, a Carl rzadko tłumaczył się ze swego działania. Nancy nie pytała nigdy – wyczuwała, że byłoby to przekroczeniem swoistej etykiety policyjnej.

Carl i detektywi z drugiego samochodu weszli do domku swobodnie, tak jakby nikt w nim nie mieszkał.

Po jakichś dziesięciu minutach Nancy zaczęła się niecierpliwić. W samochodzie było gorąco. Kiedy cierpliwość zaczęła opuszczać ją na dobre, wrócił jeden z detektywów.

– Straszny upał. Wejdz lepiej do domu. Jeszcze tylko coś sprawdzimy i odjeżdżamy.

Propozycję przyjęła z wdzięcznością. Szła za nim przez podwórko, ganek, do małego korytarza. Plecy policjanta i ten korytarzyk – tylko tyle pamiętała z wnętrza domu Mary Allen.

Gdy weszła do środka, oblało ją białe, oślepiające światło i ogłuszyły gniewne okrzyki. Aż się zatoczyła od nagłości i siły tych wrażeń. Mdłości podeszły jej do gardła, jakiś ciężar przytłoczył piersi.

WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE, ODEJDŹCIE... !

Był to kobiecy krzyk, wydawany chrapliwym, pełnym wściekłości głosem. Nancy próbowała zlokalizować źródło dźwięku, ale stojąc w kuli jaskrawie bolesnej jasności, straciła poczucie kierunku. Oślepiąca i oszołomiona, zderzyła się z czymś miękkim. Człowiek?

Dochodzący z oddali, ledwo słyszalny głos zapytał: „nic ci się nie stało?”

WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE, ODEJDŹCIE ... !

– To z przegrzania... Chyba zwymiotuję – usłyszała samą siebie.

WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE, ODEJDŹCIE ... !

– Wyjdz na dwór i odetchnij świeżym powietrzem.

WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE, WYNOŚCIE ... !

Nie mogła znaleźć drzwi. Nie potrafiła ich znaleźć nawet wtedy, kiedy właśnie przez nie przechodziła.

WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE ... !

Mężczyźni coś do niej mówili, ale byli tak daleko, że nic nie rozumiała. Sama nie mogła wykrztusić ani słowa, jakby jej nagle mowę odjęło. Odejść stąd! Odejść! Choćby kawałek dalej! Coś strasznego się stanie, jeśli ona stąd nie odejdzie.

WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE SIĘ, WYNOŚCIE... !

Zrobiło jej się słabo. Zakręciło w głowie.

WYNOŚCIE SIĘ, ODEJDŹCIE ... !

Potem poczuła lekki chwyt czyjejś ręki na łokciu. Gdzieś ją prowadzono, ktoś objął ją za ramiona i wiódł na zewnątrz. Potykając się zesła ze schodków ganku i nie wiedząc jak, znalazła się w samochodzie. Ścisnąwszy głowę dłońmi próbowała usunąć ślady męki tej kobiety ze swej duszy i ciała; krzyki jednak nie milkły.

Do auta wolnym krokiem zbliżył się Carl i rzucił od niechcenia:

– O co chodzi?

Wprawdzie sam zwabił ją podstępem do wnętrza tego domu, ale przecież nie powinna reagować tak histerycznie. Wciąż nie był gotów uznać jej zasłabnięcia za coś innego niż udawanie. No, ostatecznie mógłby przyznać, że to gra hormonów, rzekomo typowa dla ciąży, ewentualnie wpływ upału czy zaduchu w zamkniętym, nie przewietrzonym pomieszczeniu i nawet oczekiwał wyjaśnień mniej więcej w podobnym stylu. Na tę jednak odpowiedź, którą usłyszał, nie był przygotowany.

– Opuśćcie dom. Mary mówi, że macie się z niego wynieść – odezwała się Nancy. – A ty mnie stąd zabierz.

– Kto mówił? – zimny dreszcz przebiegł Carlowi po grzbiecie.

– Mary. Ona ma na imię Mary.

To zaczęło robić na nim wrażenie. Co prawda nie bardzo wierzył w ślady emocjonalne pozostawiane na miejscu zbrodni, a już na pewno nie wierzył w duchy, jednak cokolwiek lub ktokolwiek podał Nancy to imię, mógłby przekazać i inne informacje. A Carl tak rozpaczliwie potrzebował dalszych szczegółów.

– Idziemy do środka – nakazał. – powiedz Mary, że ja chcę wiedzieć, kto ją zabił. Chcę wiedzieć, co mówili przestępcy, co robili. Jeśli ona będzie z tobą rozmawiać, wyciągnij od niej jakąś pożyteczną wiadomość.

– Mary chce, żebyście opuścili jej dom. Powtarzała przecież uparcie, żeby wszyscy odeszli. Ja tam nie wrócę.

Krzyki tej kobiety wciąż brzmiały jej w uszach.

– Nancy, jesteśmy policjantami, my nie uciekamy, musimy być na miejscu zbrodni, to nasza praca.

– Ale nie tutaj.

– Słuchaj, Nancy. Nie wiem, czy to, co mówisz, jest możliwe, ale jeśli tak się dzieje, to świetnie. Któż wobec tego może być lepszym świadkiem niż sama ofiara?

Nancy pozostała nieugięta. Nadal głęboko w duszy czuła przerażenie tamtej i była przekonana, że nawet tutaj, już poza tym okropnym wnętrzem, czai się jakieś niebezpieczeństwo. Krzyk Mary krył w sobie panikę i wściekłość, kipiał furją i nienawiścią.

– Zabierz mnie stąd – żądała Nancy od Carla.

Wzniósł oczy do nieba.

– A może popracujemy gdzie indziej?

– Po prostu zabierz mnie stąd. I to już!

Dał sygnał do odjazdu. Wszyscy zapakowali się do aut i jechali przed siebie tak długo, aż umilkły krzyki w głowie Nancy. Wtedy zatrzymali się w najbliższej zatoczce parkingowej przy drodze, a jadący w drugim wozie policjanci wysiedli i otoczyli samochód Carla, by posłuchać wrażeń Nancy.

– No więc, czego się dowiedziałas?

– Żeby nigdy nie ufać gliniarzom – prychnęła, wywołując wesołość mężczyzn.

Następnie z drobiazgową dokładnością opisała zabójcę. Carl zorientował się od razu, czyją charakterystykę Nancy podaje. Rozwiązywaniem zagadki tego przestępstwa zajmował się od niedawna, ale już na początku pracy nad tą sprawą nabrał pewnych podejrzeń względem osobnika, którego opis usłyszał przed chwilą z ust Nancy. Chciał poznać więcej szczegółów. Określiła więc związek między zabójcą a ofiarą i podała motyw.

– Ona go знаła. Posprzeczała się, a potem kłócili gwałtownie. W istocie, całe to morderstwo nacechowane było nadmierną gwałtownością i brutalnością. Zabójca zadawał cios za ciosem, uderzał i uderzał bez końca, jakby chciał tym ponizzyć ofiarę.

Carl kiwnął głową. Nancy o tym nie mogła wiedzieć, ale na ciele zabitej ofiary naliczono siedemdziesiąt trzy rany.

– To inteligentny, gniewny i bardzo niespokojny facet – dodała Nancy. – Och... – zamrugła, kręcąc głową, jakby się próbowała dostroić do odbioru jakichś fal radiowych. – On... On jest złodziejaszkiem ze sklepów samoobsługowych.

Nie miała pojęcia, dlaczego to ma być takie ważne. W kontekście bestialskiego morderstwa taka skłonność do drobnych kradzieży wydawała się błahostką, ale ten przekaz był wyraźny, a Nancy wiedziała z doświadczenia, że nie należy cenzurować odbieranych informacji.

– Zostawił ci wskazówkę. To jego wyzwanie – ciągnęła.

– O czym ty mówisz? Jaką wskazówkę?

– Zostawił coś na środku podłogi. Dosłownie pod nogami, ale nikt się nie zorientował. A był to bardzo ważny ślad.

Carl wyciągnął zdjęcia miejsca zbrodni i podał je Nancy.

– Tutaj, w kuchni – oświadczyła po ich przejrzeniu.

Williams wziął od niej wskazaną fotografię i wlepił oczy w zupełnie pustą kuchenną podłogę.

Nancy, która wciąż przerzucała stosik zdjęć przedstawiających wnętrze domku Mary Allen, zatrzymała wzrok na podobiznie filiżanki stojącej na stoliku. Przesunęła lekko palcami po lśniącej powierzchni zdjęcia i oświadczyła pewnym głosem:

– To też jest wskazówka.

Jeszcze dwa razy przeglądała wszystkie fotografie, ale za każdym razem wracała do zdjęcia kuchni.

– Coś tu zostało usunięte, czego nie należało ruszać powiedziała. – I ten środek podłogi; to ważne.

Carl na powrót rzucił okiem na zdjęcie trzymane w ręku.

– Nancy, tu nic nie ma. Czy to jest ta wskazówka: pustka?

Wzruszyła ramionami. Tego nie wiedziała.

Jednak niewiele wody zdążyło upłynąć, a Carl rozwiązał zagadkę. Informację uzyskaną od Nancy zdecydował się przedstawić pani Margaret Allen. Miał nadzieję, że ona, jako pierwsza osoba obecna na miejscu zbrodni, zdołała spoznać coś, co mogłoby wyjaśnić sprawę filiżanki i tej ewentualnej wskazówki, która zniknęła z kuchennej podłogi.

Opowiadanie ludziom o zdolnościach Nancy nie było dla Williamsa łatwym zadaniem. Nie potrafił znaleźć należytego terminu. A określenia „osoba paranormalna” wahał się użyć, gdyż jego zdaniem, zwrot ten budził – hm – pewne skojarzenia. Pokazawszy więc pani Allen fotografię filiżanki i kuchni powiedział tylko, że policja ma powody przypuszczać, iż te zdjęcia są bardzo ważne.

– Pani pierwsza tam się znalazła po zbrodni. Pamięta pani czy było coś na podłodze?

Margaret chwilę milczała, jakby się nad czymś zastanawiając.

– Kiedy tamtego dnia weszłam do kuchni, na środku stała torba na zakupy z różnymi artykułami spożywczymi. To mi się od razu rzuciło w oczy, bo taka niedbałość była całkiem do Mary niepodobna. Ona nigdy nie pozostawiała rzeczy nie na swoim miejscu. Taka już była. Potem, kiedy bliżej obejrzałam te zakupy i ujrzałam cukierki ślazowe, od razu wiedziałam, że to nie jej torba.

– Skąd pani wiedziała?

– Mary była diabetyczką. Odkąd chorowała na cukrzycę, nigdy w jej domu nie było nic, co miało związek z cukrem.

– A więc wzięła pani torbę i oddała policjantowi?

– Ależ skąd! Niczego tam nie tknęłam. Ten oficer to zrobił. Już wtedy pomyślałam, że to nie jest najlepszy pomysł. Ale on złapał torbę za uchwyty i postawił na szafce.

Carl pokręcił głową. Nawet ta zwykła kobieta, nie chcąc niczego ruszać na miejscu przestępstwa, postąpiła wówczas rozsądniej od policjanta.

– A co pani może powiedzieć o tym zdjęciu? – pokazał jej fotografię z filiżanką.

– Hm. Mary nigdy nie zostawiłaby brudnej filiżanki na stoliku. Ona by ją natychmiast umyła i odłożyła na suszarkę.

Carl ponownie rzucił okiem na zdjęcie.

– Czy teściowa była praworęczna?

Margaret kiwnęła potakująco głową i raz jeszcze przyjrzała się fotografii.

– Och, rzeczywiście! Uszko i łyżeczka są po lewej stronie. Z tej filiżanki pił ktoś inny.

Wściekły na niedbałość w prowadzeniu śledztwa, Carl udał się do ludzi z ekipy dochodzeniowej nr 2, zaangażowanych w tę sprawę od początku. Na jego humor i opinię o ich pracy wcale nie wpłynęło łagodząco oświadczenie jednego z tamtejszych oficerów, że na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnego istotnego śladu. Między brygadą Williamsa powołaną do zadań specjalnych a zwykłymi ekipami dochodzeniowymi były zawsze animozje, lecz tę niechęć szczególnie manifestowali członkowie zespołu nr 2. Chyba właśnie ten fakt oddziaływał na Carla w taki sposób, że czuł się zwolniony z przestrzegania na ogół zachowywania taktu.

– A to co jest, do jasnej cholery? – rzucił podniesionym głosem, wskazując fotografię torebki cukierków ślazowych.

– Cukierki – odparł jeden ze śledczych.

– Skoro ofiara była diabetyczką i nie jadła cukierków, to skąd się one tam wzięły?!

– Nie wiemy – odparł policjant, raptownie spięty.

– Gdzie narzędzie zbrodni?

– Nie znaleźliśmy żadnego – odparł zapytany po chwili milczenia.

Williams wyciągnął zdjęcie noża znalezionego mniej więcej w tydzień po morderstwie na rabatce za garażem.

– A to co?

– To nóż, który znaleźliśmy koło domu, ale nie możemy twierdzić, że jest on narzędziem zbrodni.

– Zdjęto odciski palców?

Oficer dochodzeniowy wymownie wzruszył ramionami.

– A opinia lekarska? Lekarz sądowy potrafi przecież porównać rany z wielkością ostrza. Może oszacować dokładnie co do centymetra.

Śledczy milczał.

Wciąż kipiąc z wściekłości, Carl udał się do pomieszczenia, gdzie przechowywano dowody rzeczowe. Tam wręczono mu wielkie pudło zawierające przedmioty, które miał na zdjęciach: poplamioną krwią kapę na łóżko, brązową torbę pełną produktów żywnościowych, filiżankę, nóż i inne drobiazgi.

Z brązowej torby wyciągnął opakowanie twardych jak skała cukierków ślazowych i dokładnie je obejrzał. Dumął przez chwilę wpatrzony w wysuszone grudki, a potem we wnętrzu torby raz jeszcze zanurzył rękę. Kiedy ją stamtąd wyciągnął, w koniuszkach palców trzymał kwit kasowy. Rozpoznał nazwę sklepu – był nim magazyn spożywczy w Concord Mall, znajdujący się dość daleko od trasy autobusu, którym Mary Allen jeździła zwykle do pracy. Zakładając, że Mary chorowała na cukrzycę, trudno przypuścić, żeby wysiadła z autobusu i nadłożyła drogi, chcąc kupić niepotrzebne jej przecież cukierki. Należało się więc domyślać, że torbę z zakupami przyniósł ktoś inny. Uwzględniając sugestie Nancy, że ta torba jest ważną poszlaką, Carl przyjął, iż torbę przyniósł morderca.

Zabrał nóż i kwit kasowy, poświadczył odbiór i wyszedł. Numer seryjny noża został wysłany do producenta, a samym nożem zajął się lekarz sądowy, identyfikując go bez trudu jako narzędzie zbrodni. Do Concord Mall Carl udał się osobiście. Zabrał ze sobą kwit i fotografie kilku mężczyzn, wśród których znalazła się podobizna podejrzanego. Zgodnie z oczekiwaniem kierownik sklepu był w stanie dociec, która ekspedientka rok temu zarejestrowała w kasie podany na kwicie zakup. W dodatku okazało się, że sprzedawczyni tej dopisuje

świetna pamięć. Przypomniała sobie, że klient rozpoznany przez nią na zdjęciu był jakiś dziwny i irytował ją swoim zachowaniem.

– Jak to dziwny? – zainteresował się Carl.

– Wydawał mi się cudaczny. Narzekał, że towary na półkach nie są ładnie ułożone. Mówił, że on mógłby się tym zająć i robił przy tym minę, jakby powiedział właśnie jakiś dobry dowcip. To naprawdę dziwnie wyglądało.

– Coś jeszcze?

– Cóż... – zawahała się, wodząc wzrokiem od Carla do kierownika i z powrotem. – Nie jestem pewna, ale myślę, że on kradł.

– Kradł?

– No wie pan, podbierał towary z półek. Ale nigdy go nie złapałam na gorącym uczynku. I, prawdę mówiąc, nie chciałabym, żeby doszło do konfrontacji.

– Dlaczego? – zdziwił się Carl.

– Przerazał mnie.

– Nadal przychodzi?

– Nie. Nie widziałam go od dłuższego czasu. Chyba od roku. I cieszę się z tego.

Williams w dalszym ciągu gromadził dowody przeciwko swemu podejrzanemu, ale wciąż były to tylko poszlaki. Narzędzie zbrodni okazało się artykułem rozprowadzonym promocyjnie przez acme markets, jednym z dziesięciu tysięcy rozdanych noży. Wprawdzie matka podejrzanego zaopatrywała się w sklepach sieci acme, ale fakt ten stanowił również tylko poszlakę, a nie dowód przekonywający. Dochodzenie ujawniło i inne sprawy podejrzanego; były to jednak drobiazgi w rodzaju aktów zemsty przez przebijanie opon w samochodzie. Wyszło też na jaw, że chłopak ma manię czystości, co by mogło tłumaczyć, dlaczego miejsce zbrodni zostało sprzątnięte.

Jednak bez zeznania, na podstawie którego dałoby się powiązać podejrzanego ze zbrodnią, i bez dowodu fizycznego, Carl nawet nie mógł myśleć o zamknięciu sprawy.

– Dlaczego nie zapytasz Mary, kto to, do diabła, uczynił? – nie przestawał nagabywać Nancy.

– Carl, ona mi nie powie.

– Dlaczego nie? Przecież ja jestem po jej stronie.

– Ale ona chce, żebyś się trzymał z dala od jej domu.

Carl zwinął dłoń w trąbkę, przytknął do ust i krzyknął w kierunku sufitu.

– Hej, Mary! Powiedz mi tylko nazwisko tego faceta, a dam ci spokój.

Ale Mary nie zdradziła nazwiska swego zabójcy ani też nie zareagowała inaczej. No powiedzmy, wtedy nie zareagowała, bowiem prawie od dnia pierwszej wizyty Nancy w tamtym domu zaczęły się zdarzać incydenty, które trudno było ignorować. Nawet Carl był świadkiem kilku takich przypadków.

Jedna z metod dochodzeniowych Carla wymagała, żeby usiąść w miejscu zbrodni i puścić wodze myślom. On zwykł to robić o najdziwniejszych porach dnia i nocy, sam lub z kimś ze swojej ekipy, kto mu się w danej chwili nawinął pod rękę. Obecnie doszedł do wniosku, że dom pani Allen to idealne miejsce na takie medytacje. Nancy nie zgadzała się brać w nich udziału i raz jeszcze ostrzegła Carla, żeby się trzymał od tego miejsca z daleka. Niektórzy policjanci z grupy Carla wzięli sobie do serca to ostrzeżenie; ale on sam nie przejął się ani trochę. Teraz, w zapadającym zmierzchu, siedział rozluźniony i spokojny w swoim samochodzie, na podjeździe domku Mary. Jego partner był bardziej spięty.

– To wprost niemożliwe, żeby Mary nie pragnęła doprowadzenia do końca sprawy swojego morderstwa. – dowodził Carl.

– Przecież słyszałeś, co mówi Nancy. Mary się stale opiera – brzmiała odpowiedź.

– Ależ słuchaj. Gdyby to mnie ktoś zabił, nie starałbym się chyba przegnać tego, kto chciałby wykryć mojego zabójcę.

Parkowali kilkanaście metrów od kuchennego okna. Nagle drugi detektyw przerwał wywody Carla okrzykiem:

– To ona! To ona!

– Chryste panie! – obruszył się na te krzyki Carl.

– Tam w oknie! Widziałem ją – gorączkował się detektyw.

– Kogo? – spytał Williams.

– Mary! – zawołał jego partner.

– Oszczędź mi tych dyrdymałów! Nie jesteśmy tu po to, żebyś się niezdrowo podniecał, ale żeby zdobyć coś na tego sukinsyna, który ją zabił. Dalej, do dzieła! Realizujemy nasz program.

– Ona tam była. Widziałem ją w oknie – detektyw nic sobie nie robił z wściekłości Carla. – I wiesz co, ona wyglądała, jakby miała pietra.

– Okay, jeśli widziałeś kogoś w domu, mam klucz. Chodźmy sprawdzić. Tam nie powinno być nikogo, a jeśli ktos jest, to na pewno nie Mary.

– Zwariowałeś, Williams. Chcesz, to idź sam. Ja się stąd nie ruszę.

– Okay. No to rozejrzyjmy się wokół domu.

Obaj przeszli na tyły domu, gdzie Carl spostrzegł skórzaną torbę, na poły zagrzebaną w ziemi. Ogarnęło ich zdumienie, że wcześniej jej nie widzieli, bo po stanie skóry widać było wyraźnie, że torba leży tu już dłuższy czas.

Carl, bardziej doświadczony i ostrożniejszy, poczekał, aż młodszy kolega schyli się po torbę. Wystarczyło tylko poruszyć budzący ciekawość obu mężczyzn przedmiot, gdy gniewny rój pszczoł ruszył do ataku. Policjanci musieli ratować się ucieczką.

Kiedy dopadli auta i szczelnie pozamykali okna, słychać było jedynie odgłosy uderzeń dłońmi o ciała i okrzyki: „to sprawka Mary! Ona to zrobiła!” Carl zajęty oganianiem się od llośliwych owadów, nawet nie zaprzeczał. Kiedy ostatni skrzydlaty napastnik legł na podłodze auta, ludzie przystąpili do oceny obrażeń. Williamsowi udało się wyjść z opresji z kilkoma tylko uządleniami, jego partner ucierpiał dużo bardziej i zaczął mocno puchnąć. Carl zapakował go do samochodu i zawiózł do szpitala.

Po powrocie do domu zastał swoją żonę i Nancy pogrążone w przyjacielskiej rozmowie.

– Co ci się stało? – przestraszyła się Kitty.

– To sprawka Mary.

– Co? – zdziwiła się Nancy.

– Tak myślą niektórzy ludzie, bo pewna znana mi osoba o paranormalnych zdolnościach wbiła im to do głowy. A według mnie to efekt ataku jakichś cholernych, wściekłych pszczoł.

– Mogę temu zaradzić – zaoferowała się Nancy.

Wyciągnęła rękę i zamknawszy oczy przesuwiała dłonią ponad śladami ukłuć. Ku zdumieniu Carla ból ustąpił.

Williams i jego partner nie byli jedynymi, którzy ucierpieli w związku ze śledztwem w domu Mary Allen. Pewnego razu Wysocki, policyjny rysownik, zrobiwszy zaledwie parę kroków w głąb korytarza, rozdarł mundur na gwoździu wystającym z listwy boazerii i głęboko skaleczył się w ramię. Inny policjant pośliznął się na schodach i skręcił nogę w kostce. Nancy nadal ostrzegała, że z życzeniami Mary należy się liczyć i zostawić w spokoju ten stary dom, który w okolicy zaczynał już zyskiwać opinię „nawiedzonego”. Carl, oczywiście, nie wierzył, że Mary błąka się po korytarzach w charakterze widma, rozważał jednak, czy nie wykorzystać krążących pogłosek do nastraszenia podejrzanego. Może pod wpływem emocji przyznałby się wówczas do winy. Zważywszy, że domniemany sprawca mieszkał w pobliskiej okolicy i dokładnie znał zwyczaje Mary, Carl planował podłączyć oświetlenie domku do programatora, który by gasił i zapalał światła w takich porach, jak to czyniła starsza pani, a policjantka ubrana w jej suknie chodziłaby po domu nocą. Ta inscenizacja miała trwać tak długo, aż przejeżdżający morderca zobaczyłby „ducha”.

Kiedy Williams wyjawiał swój plan Nancy, aż się zachnęła.

– Carl, nie wolno ci tego robić! Ty się naprawdę prosisz o kłopoty.

Do tego samego wniosku, choć z zupełnie innych powodów, doszedł prokurator generalny i Carl zdecydował, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie formalne przesłuchanie. Podczas odpytywania podejrzanego będzie mógł wykorzystać część zebranych poszlak i miał nadzieję, że przesłuchiwany się sygnie.

Carl był mistrzem w prowadzeniu przesłuchań. Zawsze wiedział, co chce osiągnąć, cierpliwie drażył temat, prowadząc bląhą rozmowę, do której, niby od niechcenia wtrącał zasadnicze pytania, mające pchnąć sprawę naprzód. Do jasno wytkniętego celu dążył wykorzystując oczy, gesty, ton głosu. Unikał bezpośredniego zastraszania, stale zmieniał pytania, żeby przesłuchiwany odpowiadał swobodnie. Była to żmudna praca. Mijały nieraz długie godziny tej nunej procedury, zanim podejrzany wyjawiał coś przydatnego dla śledztwa. Ale końcowy efekt niemal zawsze wart był wysiłku. Carl nie znosił, gdy dochodziło do skazania przestępcy, który się nie przyznawał do winy – w sprawach, które prowadził, takie sytuacje należały do rzadkości.

Ale podejrzany o zabójstwo Mary Allen nie był przypadkiem typowym. Carl przesłuchiwał go już wielokrotnie, obrabiając z precyzją jak najcenniejszy diament, lecz kiedy niczym szlifierz brylantów wznosił ostrze do decydującego cięcia, pytany spoglądał na niego szczerym, zranionym spojrzeniem mówiąc: „dlaczego pan sądzi, że ja to zrobiłem? Jak mam pana przekonać, że nie jestem winny?” I wszystko wracało do punktu wyjścia.

W końcu zdesperowany Williams zdecydował się na niekonwencjonalny krok. Nikt wprawdzie nie znał zakresu możliwości Nancy, ani nie wiedział, w jaki sposób ona pracuje, wydawało się jednak, że mogłaby podłączyć się do umysłu przesłuchiwanego chłopca. Carl postanowił zapewnić jej łączność radiową, tak aby spróbowała czytać w myślach podejrzanego. Nancy ogromnie spodobał się ten pomysł; wydawał się idealny do wykorzystania jej uzdolnień.

Otóż właśnie dlatego pewnego upalnego sierpniowego popołudnia ekipa Carla przybyła do komisariatu nr 6, by w kasetonach stropowych przeciągnąć kable i druty. Wykonanie robót nadzorował Carl, a Greg, mający wykształcenie techniczne, służył fachową poradą.

Dla Nancy, Pattersona, mayera, Hawkinsona i Sacco przeznaczono niedużą salkę, usytuowaną w bezpiecznej odległości od pokoju badań. Tutaj mogli śledzić na monitorach tok przesłuchania i swobodnie czynić uwagi na temat odpowiedzi podejrzanego. Spostrzeżone nieścisłości lub sprzeczności z opartymi na faktach dowodami mogli przekazać Carlowi za pośrednictwem wspólnego mikrofonu. Carl miał za uchem zamocowany odbiornik. Do zadań Nancy należało sygnalizowanie, kiedy przesłuchiwany kłamie. Kłamstwa sprawiają, że aura ludzka, czyli obwódka energetyczna otaczająca ciało fizyczne, przechodzi stopniowo w kolor szary. Inne rodzaje stanów emocjonalnych również powodują zmiany w aurze, zatem Nancy miała nadzieję, że będzie mogła podpowiedzieć Carlowi, kiedy badanego przydusić pytaniami.

Policjanci troszczyli się głównie o to, żeby przestępca nie zobaczył Nancy. Obawiali się, że mógłby potem szukać na niej zemsty.

Kiedy Nancy przybyła, był jeszcze jasny dzień, zaparkowała swego Forda i weszła do budynku. Wnętrze wydawało się jej naładowane elektrycznością, czuła w powietrzu ładunki emocjonalnego napięcia i stwierdziła, że pobudza to jej własny niepokój. Dyżurny policjant spytał o nazwisko choć widać było, że ją od razu rozpoznał; potem gdzieś zadzwonił. Po krótkiej chwili zza masywnych stalowych drzwi wyłonił się Sacco.

– Pospieszmy się – rzucił. – Nasz chłoptaş poszedł właśnie do toalety, a nie chcemy, żebyś na niego wpadła.

Budynek komisariatu był niski, nowoczesnej konstrukcji, a tę jego część, do której Greg prowadził Nancy, przedzielał długi korytarz. Każdy, kto z sali przesłuchań udawał się do toalety, musiał tędy przechodzić. Nancy przypominała sobie wizję mordercy i skuliła się w duchu ze strachu na myśl, że ten zbrodniarz znajduje się w tak bliskiej odległości.

Odetchnęła z ulgą – starając się nie pokazać tego po sobie – kiedy Greg złapał za klamkę jednych z kilku identycznych drzwi rozmieszczonych po obu stronach korytarza. Patterson, Hawkinson i mayer siedzący już w środku powitali Nancy uśmiechem i lekkim skinieniem głowy, ale prawie natychmiast przenieśli wzrok na ekran czarno-białego monitora. Stał on pośrodku długiego stołu usytuowanego pod jedną ze ścian pokoju. Z otworu po zdjętym kasetonie z sufitu biegła wiązka kabli do zestawu elektronicznej aparatury zgrupowanej na stole. Tuż obok siedział Patterson ze słuchawkami na uszach, a dwaj inni zajmowali miejsca przy biurkach. Już w korytarzu dawało się wyczuć pewne napięcie. Za to w tym pokoju sięgało ono zenitu..wszyscy obecni wiedzieli, że od wyniku tego przesłuchania zależy los sprawy. Jeśli się chłopak załamie i przyzna, będzie go można postawić przed sądem; jeśli nie – odejdzie wolno.

Sacco posadził Nancy na jednym z foteli stojących przy stole, sam zajął drugi. Nałożył słuchawki i rozparł się wygodnie opodal wzmacniacza, którego wskazówka wychyliła się na prawo, kiedy powiadamiał Williamsa o przybyciu Nancy. Widoczny na monitorze Carl przywitał ją przelotnym gestem, przebierając palcami dłom, jakby miał nacisnąć kilka przycisków.

– Daj jej mikrofon, Greg. Sprawdź, czy dobrze ją słyszą.

Sacco nacisnął przycisk i skinął głową do Nancy.

– Cześć, Carl – pozdrowiła go, moszcząc się w fotelu i próbując zmieścić pod stołem swój wystający brzuch.

– Teraz jest dobrze. Uważaj, żebyś miała, włączony przycisk i nie traciła kontaktu ze mną. Chcę wiedzieć, co facet myśli.

– A na razie, jak ci leci?

– Poznajemy się z nim wzajemnie. Od nowa.

Nagłym ruchem obrócił głowę ku drzwiom. Wobec podejrzanego udawał odprężonego i przyjmował władczą postawę.

Żołądek Nancy ścisnął się w twardą kulę na wspomnienie bestialskiej wściekłości, którą wyczuwała u mordercy podczas wizji odbieranej w domu pani Allen. Zbrodniarz jawił jej się jako budzący grozę osobnik, którego niemal mechaniczne ruchy, jakimi wielokrotnie wbijał nóż w ciało starej kobiety. Były napędzane bezrozumną furią. Wydał jej się potworem. A teraz będzie oddalony od niej zaledwie kilka metrów.

Siedziała spięta w oczekiwaniu na kogoś strasznego, a tymczasem facet, który minąwszy Carla usiadł za stołem przesłuchań, był tak szokująco zwyczajny, że przez moment zastanawiała się, czy nie zaszło jakieś nieporozumienie.

Postawa podejrzanego nie miała w sobie nic z pewnością siebie, zachowywał się tak, jakby przepraszał, że żyje.

– Zabrakło ręczników papierowych – oznajmił zyczliwym tonem.

– To mój pomysł – powiedział Patterson. – Pomyślałem, że go to może zirytować.

– Mówi takim głosem, jakby się cieszył, że ma okazję przekazać pożyteczną informację. Jakby był szczęśliwy, że może się na coś przydać.

– Nie – wtrąciła Nancy. – Rzeczywiście jest zirytowany. Tym układnym tonem chce się zamaskować. Ale czuję w nim złość.

Jednak już w chwili mówienia ogarnęły ją wątpliwości. Sprzeczność tego, co czuła, z tym, co widziała na monitorze zbijała ją z tropu. Myśli ludzkich zazwyczaj nie daje się maskować; o wiele łatwiej skrywać fizyczne

przejawy uczuć. Jednakże w tym przypadku to uczucia wprowadzały w błąd. Ciałem chłopca obecnego tutaj zdawał się rządzić zupełnie inny duch niż wówczas na miejscu zbrodni.

Nancy ponownie skupiła się na obrazie widocznym na monitorze: Carl spoglądał na chłopca.

– No to co z tego? – spytał.

Aura podejrzanego zaczęła pulsować czerwonymi błyskami, lecz o odcieniu jedynie takim jak u przeciętnego człowieka rozdrażnionego przykrą uwagą.

– Myślałem tylko, że chcielibyście o tym wiedzieć. To wszystko. – chłopiec wydawał się zdziwiony reakcją Carla.

– Dzięki – rzucił Williams nieco zawiedziony spokojem podejrzanego. Zmienił front i rozpoczął nową serię pytań mających na celu przeniknięcie myśli przesłuchiwanego. – Na czym stanęliśmy?

Chłopak wzruszył ramionami.

Carl doskonale pamiętał, na czym przesłuchanie zostało przerwane. Nancy była przeświadczona, że okrutne okaleczenie ofiary miało swe źródło w nienawiści do kobiet, wywodzącej się z niezdrowego stosunku do własnej matki. Podejrzany nie potrafił uzewnętrznić tego normalnie, więc, gdy jakaś kobieta go rozgniewała, wyzwała mimowolnie wulkan wściekłości.

– Mówiliśmy o twojej matce – przypomniał mu Carl. – Pytałem, czy kochasz matkę.

– Ona jest ekstra – odparł chłopak nieco za szybko.

Nancy odebrała sygnał gniewu.

– Jest zły – rzucił do mikrofonu. Greg spojrzął na nią ze zdziwieniem. Nie dopatrywał się w odpowiedzi chłopaka ani cienia złości.

– Ale czy ją kochasz? – powtórzył Carl.

– Moja matka wszystko by dla mnie zrobiła.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Wie pan, przecież to moja matka.

Na usta pytanego wypłynął przyjazny uśmiech, jakby przyjacielskie zachowanie mogło uspokoić coraz bardziej zdenerwowanego policjanta.

– Jest bardzo zły – powiedziała Nancy. Przez chwilę czuła się tak jak podczas dziecięcej gry: zimno, ciepło, ciepłej, gorąco, gorąco...

– Ale czemu nie chcesz powiedzieć, czy ją kochasz? – naciskał Carl.

W aurze podejrzanego błyski jaskrawego koloru pulsowały teraz w szybkim tańcu, natomiast na zewnątrz pozostał tak samo opanowany.

– To go denerwuje, staje się naprawdę wściekły – rzekła Nancy do mikrofonu.

– Słuchaj, czy ty aby nie mylisz go z Carlem? – powątpiewał Hawkinson. – W tamtym pokoju tylko Carl wygląda mi na wściekłego.

Nancy jeszcze nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Oglądany na ekranie monitora chłopak sprawiał wrażenie, że szczerze się stara odpowiedzieć na, jego zdaniem, bezsensowne pytania facetowi, który uważa go za nikczemnika. Jego postawa wzbudzała sympatię, a niechęć kierowała się do dręczącego go policjanta. Takim jawił się jego obraz fizyczny. A obraz psychiczny był całkiem odmienny – rażąco różny. Nancy nigdy nie знаła kogoś, czyje zachowanie było tak oderwane od życia wewnętrznego, a to z kolei było tak szczególnie ekranowane. Nie sądziła, że to możliwe. Dopiero kiedy Carl drażył temat matki chłopca, w młodym człowieku wzięły górę uczucia, które doszły do głosu w domku Mary Allen. Kipiał z wściekłości. Nancy zaczęła się raptem obawiać o bezpieczeństwo Williamsa.

– Czemu nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie – nie ustawał Carl. – Wszyscy potrafimy powiedzieć coś miłego o naszych matkach, ale przecież nie o to cię pytałem. Chciałem tylko wiedzieć, czy kochasz matkę, a nadal nie otrzymałem odpowiedzi.

– Posłuchaj, Carl. Nie podoba mi się sposób, w jaki prowadzisz przesłuchanie. Odpowiadam na twoje pytania przykro mi, że to nie są odpowiedzi, które chciałbyś usłyszeć, ale to już twój kłopot.

Detektywi zgromadzeni w pokoju wymienili zdumione spojrzenia. W jednej chwili nieśmiały, szczerzy chłopiec zniknął, a Carl rozmawiał teraz z dojrzałym i pewnym siebie młodym człowiekiem.

– Chyba się w czymś połapał – powiedziała Nancy. Zmartwiła się, że podejrzany może im się wymknąć. Był tego bliski.

– Wycofaj się z tego pytania, Carl – poradziła, ale jego instynkt już kazał mu to zrobić. Przerwał i namyślał się krótko przed następnym ruchem.

– Okay – rzekł, siadając po drugiej stronie stołu. – Porozmawiajmy o czymś innym. Czym się zajmujesz w czasie wolnym od pracy?

Ten temat chwycił. Przez następne piętnaście minut Carl wysłuchiwał, jak podejrzany rozwodził się o swoich zwyczajach, ulubionych zajęciach, opisywał hobby. Kiedy wspomniął o zakupach, Williams spytał o sklepy w Concord Mall.

– Kupuję tam stale – padła odpowiedź.

– Dlaczego? – zainteresował się policjant.

– Lubię tam robić zakupy. Zwłaszcza w... – przerwał. Gdy za chwilę wymienił nazwę sklepu, w którym zostały kupione owe cukierki ślazowe, przez usta przewinął mu się cień uśmiechu. Ten przelotny grymas trwał zaledwie ułamek sekundy, ale spostrzegli go wszyscy policjanci patrzący na ekran monitora, a Nancy potwierdziła, że chłopak na mgnienie oka porzucił nudnie spokojną postawę i przeżył moment głębokiej satysfakcji.

Carl także zauważył uśmiech przesłuchiwanego. Zdecydował więc natrzeć ostrzej i zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Chyba wiesz, że znaleźliśmy narzędzie zbrodni? – spytał.

– Nie. Nie wiem.

– To nóż. Wpadł nam w ręce parę dni po morderstwie, ale dostaliśmy właśnie potwierdzenie od lekarza sądowego, że to nim popełniono zbrodnię.

– O, to powinno wam pomóc.

– Był kupiony w acme... Szeroki, do krojenia kotletów.

– Ach, w takim razie wiem dokładnie, o jaki nóż chodzi. Moja matka robi tam zakupy i...

W pokoju detektywów zapadła martwa cisza. Obecni zamarli, wstrzymując nawet oddech, by nic nie uronić z tego, co miało nastąpić. Carl również stężał, ale wiedział, że musi na zewnątrz okazać obojętność, nawet nonaszalncję: podrapał się więc w kark i patrzył z niedbałym, choć grzecznym zainteresowaniem na swój, nagle gadatliwy, obiekt przesłuchania.

Nancy wiedziała, że ta paplanina nie jest przejawem dekoncentracji podejrzanego, było wręcz odwrotnie – doskonale się kontrolował. Jego pewność siebie, zadowolenie i lekko kpiący nastrój wyczuwała teraz równie wyraźnie i silnie jak niepohamowaną wściekłość poprzednio na miejscu zbrodni. Zdając sobie jednak sprawę, że umysł Carla pracuje w tej chwili na najwyższych obrotach, nie chciała mu przeszkadzać swoimi informacjami.

– ... Czy to nie oni rozdawali za darmo te noże? Nasz dostaliśmy chyba właśnie w taki sposób.

– Rzeczywiście?

– Tak mi się zdaje. Wiem, że podobną drogą trafiły do nas jakieś talerze i parę jeszcze innych rzeczy. Mój tata upominał mamę, żeby z tym nie zaczynała. Niewiele pieniędzy człowiek zaoszczędzi, mawiał, a zawsze wyłącza z kilkoma niepotrzebnymi gratami.

– No i są to zazwyczaj pospolite przedmioty – ciągnął podejrzanym. – Głównie z tego powodu tata krytykował mamę, kiedy coś takiego przynosiła do domu. Ojciec nie cierpi trywialnych rzeczy. Używanie ich porównuje do picia herbaty ze słoika po dżemie.

Uśmiechnął się. Tym razem uśmiech był całkiem czytelny. Ulotny i krótki, zamaskowany częściowo szczerą naiwnością, ale wyraźny.

– Ten skurwiel kpi sobie z nas! – wybuchnął mayer.

Pozostali spojrzeli na niego. Wypowiedział myśl, która przyszła do głowy im wszystkim.

– Rzuć okiem na to – rzekł Carl, podnosząc fotografię filiżanki. – Dostrzegasz coś niezwykłego w tej podobiznie?

Rzucił zdjęcie na środek stołu, a podejrzanym podniósł je lewą ręką i oglądał posłusznie.

– To jest kuchnia Mary – odezwał się po chwili.

Carl kiwnął głową. Chłopak ponownie spuścił wzrok na fotografię.

– Coś tu się nie zgadza. Mary by nie zostawiła tak filiżanki. Umyłaby ją i odłożyła na miejsce. Chyba nigdy nie widziałem u niej czegoś, co nie zostało od razu sprzątnięte.

– Czy Mary była praworęczna?

Podejrzanym zastanawiał się przez moment.

– Właściwie nie wiem.

W porządku – skwitował Carl i pozwolił sobie na chwilę optymizmu. Ale w głowie Nancy rozdzwoniły się dzwonki ostrzegawcze, sygnalizujące nawrót narastającej złości u chłopaka. Jednak w chwilę później, gdy policjant powiedział, że położenie uszka sugeruje używanie filiżanki na osobę leworęczną, na usta podejrzanego powrócił uśmiešek.

– Taak... – zawołał odkrywczym tonem, w stylu zafascynowanego uczniaka. – Rzeczywiście. Teraz się kapnąłem. Ale nie daje mi pan chyba nic do zrozumienia? Przecież to, że jestem mańkutem, nie oznacza wcale, że ją zabiłem!

Przesłuchanie ciągnęło się potem jeszcze parę godzin, ale na dobrą sprawę mogło zakończyć się już wówczas. Nie posunęło się bowiem do przodu ani na cal. Carl nigdy się jeszcze z czymś takim nie spotkał. Zmieniał pytania, stosował różne podejścia, mozolnie i ostrożnie kluczył szlakiem wiodącym ku kwestiom, które miały naruszyć pewność siebie i zachwiać równowagą przeciwnika, lecz zawsze w chwili, gdy wyłom w forticy zdawał się zbliżać nieuchronnie, w niewytłumaczalny sposób atak tracił swoją skuteczność, a Carl rozmawiał jakby z zupełnie inną osobą.

W przerwach Carl przychodził do swoich współpracowników i pytał o radę. Przy jednej z takich okazji Nancy wyjśniła, że w podejrzanym dostrzega funkcjonujące równocześnie cztery różne osobowości: szczerego,

chętnego do współpracy chłopaka, pewnego siebie młodego mężczyzny, niedojrzałego młodziana, dziecka prawie, prawdziwie poruszonego tym, że Carl go posądza o tak podły czyn, wreszcie osobnika, którego napad szala Nancy odebrała w wizji na miejscu morderstwa.

– Problem polega na tym, że kiedy drążysz jedną osobowość, by trafić na jej słaby punkt, to zanim do tego dojdzie, facet wciela się w kogoś innego, kto od nowa odpiera twoje ataki – tłumaczyła Nancy. – Muszę ci też oznajmić, choć czynię to z prawdziwym żalem, że tą najlepiej opancerzoną, najskuteczniej potrafiącą się pilnować, jest w tym facecie osobowość mordercy. Jeśli do niej uda ci się dobrać, podejrzany może stracić dotychczasową zimną krew.

Obserwacje Nancy nie przyczyniły się wiele do podniesienia Carla na duchu.

W trakcie przedłużającego się przesłuchania Nancy starała się odczytywać z aury podejrzanego, kiedy Carl zbliża się do szczeliny w osłonie którejś z jego osobowości. Od czasu do czasu sprytnymi pytaniami Williamsowi udawało się naruszyć opanowanie przesłuchiwanego, ale wówczas na pierwszy plan wysuwała się osobowość pewnego siebie, dojrzałego młodzieńca, który niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że ma już dość takiego maltretowania i jeszcze trochę, a wychodzi.

Ostatecznie Carl sam zakończył odpytywanie.

Nancy czekała, aż detektywi upewnią się, że podejrzany opuścił komisariat i odjechał. Gdy Carl odprowadzał go do samochodu, chłopak gawędził swobodnie, a gdy wsiadł, opuścił szybę. Wtedy Carl nachylił się nad otwartym oknem i spróbował po raz ostatni.

– Pamiętaj – rzucił. – Policja stanowa ma dobrą pamięć. Zawsze tu będziemy. Nie zapominaj również, że w tym stanie prawo o przedawnieniu nie dotyczy morderstw.

Podejrzany wykrzywił usta w uśmiechu, ale milczał.

Była druga trzydzieści. Detektywi wrócili do pokoju wyraźnie rozczarowani. Zrobili wszystko, co w ich mocy, jednak stanowiło to dla nich niewielką pociechę. Carl przyszedł ostatni. Ogarnął wzrokiem twarze swych przemęczonych, sfrustrowanych współpracowników i pokręcił głową.

– Doskonale bawił się naszym kosztem, sukinsyn.

Do dnia dzisiejszego sprawa morderstwa Mary Allen pozostaje otwarta. Nikogo za tę zbrodnię nie postawiono przed sądem.

Rozdział szósty

Oczekiwanie

Jeszcze przed nadejściem jesieni roku 1976 Nancy przekonała się, że rozczarowania i frustracje nie towarzyszą jedynie jej stanowi oczekiwania na dziecko, są również częścią pracy policyjnej. W sprawie napadu na Jacka White'a nie wyszły na jaw żadne nowe dowody, nie zanosilo się także na to, żeby dochodzenie w sprawie o zabójstwo Mary Allen mogło być wkrótce zamknięte.

Jednak ciąża utrzymywała się. Konsekwentne, aczkolwiek delikatne aluzje matki, jak również niektóre, czynione w stosownych chwilach sugestie pochodzące od dra Greena, zaczęły nadkruszać mur ochronny, jaki Nancy wzniosła przeciwko swoim nadziejom.

W sierpniu, kiedy w piątym miesiącu ciąży Nancy przybyła na badania kontrolne, dr Green usadowiwszy ją wygodnie, spojrzął na nią w swój najbardziej ojcowski sposób i spytał, czy przygotowała już pokój dla mającego przyjść na świat dziecka.

– Nie – odparła.

– A ubranka niemowlęce kupiłaś?

Spuściła oczy i milczała.

Lekarz uśmiechnął się.

– Wiem doskonale, o czym myślisz, ale sądzę, że już najwyższy czas, abyś się wzięła za przygotowania do przyjęcia dziecka. Ciąża przebiega prawidłowo.

Nancy podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Wiem, że nie czujesz się dobrze – ciągnął lekarz. – Ale to twoje objawy, natomiast dziecko rozwija się dobrze. Chcę, żebyś była gotowa, kiedy nadejdzie właściwa pora. Kup dziecku ubranka.

– Nie.

Doktor siedział chwilę bez słowa, czekając cierpliwie, aby Nancy mogła przemyśleć, co powiedział. Chciał nadać swym argumentom taką postać, żeby do niej trafiły.

– Nancy, rozumiem, że się boisz, ale dziecko i tak się urodzi. Nie chcesz chyba, żeby zostało gołe.

Uśmiechnęła się wreszcie. Po powrocie do domu zadzwoniła do matki powtarzając jej, co powiedział lekarz. Harriet Myer z radością przyjęła dobre wieści. Przed końcem rozmowy obie panie ustaliły datę wspólnego wyjazdu do pewnego sklepiku w okolicy, gdzie można było kupić wyprawkę niemowlęcą po korzystnych cenach. Od tego też dnia możliwość przyjścia na świat dziecka stawała się dla Nancy bardziej rzeczywista. Uświadomiła sobie, że musi zacząć przygotowywać chłopców – zwłaszcza Trávisa – na przyjęcie siostrzyczki. Własne wątpliwości poszły w odstawkę, gdy wzięła się za zadanie oswojenia synków z myślą o powiększeniu rodziny.

Inne przygotowania dotyczyły bardziej konkretnej dziedziny. Andersonowie już dawno pozbyli się wszystkich przedmiotów używanych w okresie niemowlęctwa obu chłopców. Miało to być lekarstwem pomocnym w uzbrojeniu się Nancy przeciwko nadziei posiadania własnego dziecka. Teraz zatem musiała się zabrać do gromadzenia tych sprzętów od nowa, zważając przy tym stale na niezbyt Bogaty budżet domowy. Harriet przypomniała jej kiedyś, że ma u siebie na strychu wysłużone łóżeczko, w którym chłopcy sypiali podczas wizyt w Dover. Ten solidny drewniany mebelek wymagał jedynie odmalowania. Pomysł odnowienia przedmiotu budzącego miłe wspomnienia niezwykle ożywił Nancy; postanowiła odnowić łóżeczko sama.

Kiedy pewnego ciepłego wrześnieowego dnia Travis wrócił ze szkoły, zastał matkę stojącą na podłodze pośrodku łóżeczka i otoczoną jego bokami złożonymi z ram i prętów. Wyglądała jak w więzieniu. Ten widok przestraszył chłopca, malec od razu zaczął się niepokoić, jak matka stamtąd wyjdzie.

W naturze Trávisa leżało zamartwianie się o wszystko, a ciąża Nancy dawała mu do dostatecznie wiele powodów. Doskonale pamiętał, że harriet wyrażała głośne obawy o niezdrową błądź córki i jej brak wigoru, a John niemal całkowicie przejął na siebie opiekę nad chłopcami. Blake'owi układ taki bardzo odpowiadał, Travis jednak niezbyt dobrze znosił brak stałego kontaktu z matką.

Gdy tylko miał okazję, siadał przy niej i głaszcząc jej dłoń, mawiał:

– Wszystko będzie dobrze, mamusiu. Urodzi się dziecko, to poczujesz się lepiej.

Wymawiał słowa pocieszenia, ale wzrokiem sam prosił o potwierdzenie.

– Jestem pewna, że wówczas poczyję się dużo lepiej. Będę jednak potrzebowała twojej pomocy przy zajmowaniu się dzieckiem – zwykła była odpowiadać. – Niemowlęta wymagają wielu zabiegów. To ciężka praca. Pomożesz mi przy siostrzyczce?

– Mamo, przecież nie wiesz, czy to będzie dziewczynka czy chłopczyk – protestował malec.

– Owszem, wiem. Ale ty wiesz także, że mamusia potrafi przewidzieć różne rzeczy. Ja już widziałam jej oczka. Takie śliczne, błękitne.

Travis zacisnął usta ruchem wyrażającym niedowierzenie, ale z oczu patrzących na matkę wycierała ciekawość i zdumienie. Był urodzonym pragmatykiem, ale w duchu uważał matkę za czarodziejkę.

Czarodziejkę, ale czasami ogromnie niepraktyczną.

Fakt, że matka malując pręty stoi zamknięta w środku łóżeczka bardzo chłopca niepokoił.

– Jak ty tam weszłaś, mammo?

Nancy, w istocie, podeszła do problemu metodycznie; zmierzyła prześwit pomiędzy podłogą a dolną ramą boków, potem swoją wysokość od pleców do czubka brzucha. Obie wielkości były prawie równe, ale niewielki luz – około 2 centymetrów – pozwolił Nancy przedostać się pod spodem w otwór po wyjętej podstawie z materacem. Wymalowała spód i wstała.

Travis słuchał jej wyjaśnień z miną wyrażającą powątpiewanie. Ogarnął wzrokiem matkę, niskie łóżeczko i pokręcił głową.

– Mammo, a jak nie będziesz mogła wyjść, to co zrobimy?

– Nie martw się, skarbie. Wszystko wymierzylam. Byłam przewidująca. Zresztą, skoro weszłam, to i wyjdę, no nie?

– Chyba nie dasz rady – stwierdził poważnie malec, badając oczyma brzuch matki i niezbyt duży prześwit.

– No cóż, nawet jeśli się tutaj zaklinuję, wy chłopcy podniesiecie łóżko do góry i będę wolna.

– Nie, mamusiu, zaprotestował chłopiec zdenerwowany coraz bardziej. – Nie możemy tego zrobić, bo gdybyśmy łóżeczko upuścili, dziecku mogłaby się stać jakaś krzywda.

Nancy próbowała się go choć na chwilę pozbyć, prosząc o szklanekę wody.

Odmówił.

– Nie możesz pić wody, mammo, bo zaraz ci się zachce siusiu i co zrobisz?

Pokiwała głową i zdecydowała się szybko skończyć malowanie, żeby rozwiać obawy synka. W trakcie pracy starała się rozerwać Trávisa opowieściami o tym, co on wyczyniał w tym właśnie łóżeczku. Po skończonej robocie odłożyła pędzel na wierzch puszki z farbą i z pewnością siebie odwróciła się do chłopca.

– No, już po wszystkim – oświadczyła lekkim tonem. – Weszłam tu wślizgując się pod spodem i zamierzam wyjść w ten sam sposób.

Kucnęła, a następnie usiadła na podłodze. Godzinę temu rzeczywiście wsunęła się dołem, ale obecnie zmieniły się dwa warunki: dziecko się przesunęło i czubek brzucha podniósł się o dobre dwa centymetry, a rama została świeżo pomalowana – teraz Nancy nie mogła się o nią otrzeć, jak to uczyniła wchodząc.

Ponad wystającym brzuchem rzuciła okiem na synka. Travis był bliski łez.

– Wszystko w porządku, skarbie. Zaraz wyjdę – rzekła uspokajająco, wierząc się i skręcając raz w jedną, raz w drugą stronę w nadziei uwolnienia.

– Wcale nie wyjdiesz – zawołał jękliwie chłopiec. – Mówiłem ci. Utknęłaś i będziesz musiała tam zostać.

Blake po szkole miał iść prosto do kolegi, a John wracał dopiero za kilka godzin. Malec był całkiem bezradny. Rozpłakał się na dobre.

– To nic strasznego, Travis. Dobrze mi tutaj, a ty dotrzymasz mi towarzystwa.

Chłopczyk spojrzał na matkę takim wzrokiem, jakby jakiś pomysł nagle wpadł mu do głowy. Pobiegł do kuchni i wrócił z talerzem pełnym ciasteczek. Z namaszczeniem wręczył je matce. Nie tylko mógł się o nią troszczyć, ale miał ją całą dla siebie. Teraz już się uśmiechał.

– Może mi puścisz jakąś muzyczkę? – poprosiła Nancy, żując drugie ciasteczko.

– Jasne, mamusiu – przytaknął malec i wybiegł. Gdy wrócił, taszczył ze sobą przenośny adapter i kilka książeczek.

– Poczytasz mi? – spytał.

Nancy odetchnęła w duchu. Nadal tkwiła bezradnie w łóżeczku, ale prawdziwy kryzys został zażegnany.

Nie była to ostatnia interwencja, jaką musiała podjąć, by zapobiec związanym z jej ciężą stresom swych adoptowanych synów.

Pewnego jesienno popołudnia Blake wpadł do domu jak bomba i zniknął w swoim pokoju, trzaskając za sobą drzwiami. Zaraz po nim zjawił się Travis, pomaszerował do sypialni rodziców i rzuciwszy się na łóżko wtulił twarz w poduszkę.

Kiedy Nancy weszła do pokoju, chłopiec tonął we łzach, powtarzając z tłumionym przez poduszkę szlochem: „nienawidzę jej, nienawidzę jej!”

– Travis, skarbie, co się stało? – spytała Nancy, siadając na brzegu łóżka i gładząc wstrząsane łkaniem ramionka synka.

– Nienawidzę jej, mammo, nienawidzę jej – powtarzał malec.

– Kogo?

– Julii. Nienawidzę jej. Ona jest podła.

– Co ci znów powiedziała? – Nancy westchnęła ciężko.

Travis ścisnął kurczowo poduszkę i nadal ukrywając w niej twarz, przeturlał się na plecy.

– Że mnie i Blake’a wyrzucisz teraz na śmieci – wyjąkał chłopiec.

– Niby dlatego, że mam mieć małe dziecko?

Travis głębiej się wcisnął w poduszkę i kiwnął głową.

– Jak ci się zdaje, dlaczego Julia tak mówi?

– Bo nas nie cierpi – dobiegła zduszona odpowiedź.

Nancy spodziewała się kłopotów ze strony Julii; dziewczynka, niewiele starsza od Blake’a, była jedynaczką i należało oczekiwać, że kiedy dowie się o dziecku, będzie zazdrosna.

– Słuchaj skarbie – zaczęła Nancy – wiesz, jaka jest duża różnica pomiędzy dziećmi, które ot, tak się po prostu komuś urodziły, a tymi specjalnie wybranymi?

Usłyszała za plecami ciche kroki i domyśliła się wejścia Blake’a. Przerwała i poczekała na niego. Gdy się wdrapał na łóżko, spostrzegła, że oczy chłopca są suche, ale trochę zaczerwienione. Ssał kciuk i przyciskał do piersi swoją przytulankę. Dla większości ludzi była to zwykła poduszka w kształcie misia pandy, ale dla Blake’a palec w buzi i ta przytulanka stanowiły lekarstwo na wszystkie zmartwienia. Dziś jednak ucho pandy nosiło ślady łez.

– Nienawidzę jej, mam – rzucił z rosnącą wściekłością.

– Ja też – zawtórował bratu Travis, odsłaniając twarz.

– Słuchajcie, chłopcy – Nancy podjęła przerwany wywód. – Ja wybrałam was. Ciebie i Blake’a. Z własnej woli. Nikt mi niczego nie nakazywał. Kiedy ktoś chce zaadoptować dziecko, urzędnicy zadają mu setki pytań, każą przychodzić mnóstwo razy, pokazują zdjęcia, opowiadają o wielu dzieciach i trzeba się na któreś zdecydować. A nawet kiedy już decyzja zapadnie, oni dają przyszłym rodzicom jeszcze jeden dzień do namysłu. Trzeba rzeczywiście bardzo pragnąć określonego dziecka, żeby je adoptować. Więc jak myślicie? Czy wyrzucilibyśmy kogoś, kogo tak bardzo, bardzo chcieliśmy mieć? To niemowlę, które się ma urodzić, było dla nas wielką niespodzianką. Na pewno dobrze się nam wszystkim da we znaki, zanim się w końcu stanie takim miłym członkiem naszej rodziny jak wy.

Ta argumentacja odniosła pewien skutek, ale nie do końca przekonała Blake’a. Nancy obawiała się, że w chłopcu narasta niechęć do nie narodzonej siostrzyczki. Blake był impulsywny i porywczy; zupełnie inny niż Travis. Kiedy Travis krzyczał, że nienawidzi Julii, Nancy bała się o niego, gdy zaś Blake mówił to samo, należało się niepokoić o Julię.

– Blake, pamiętasz, co powiedziałeś Oldze, kiedy ona chciała mi pomóc, żebyśmy mogła mieć dziecko? – chłopiec udając, że zapomniał, pokręcił przecząco głową. – A ja mogę ci powtórzyć każde twoje słowo: miej dzidziusia, mówiłeś, fajnie byłoby z takim maluchem. Nie chcesz chyba zmieniać teraz zdania tylko dlatego, że Julia plecie jakieś głupstwa. To nie byłoby w porządku wobec twojej nowej siostrzyczki.

Blake spoglądał na matkę, jakby chciał zapytać, jak to się dzieje, że ona to wszystko pamięta. Ale tak było i musiał się z tym pogodzić. Bez względu na konsekwencje postanowił uznać przyszłą siostrę.

– Mama ma rację, Trav – odezwał się z przemądrzałą miną i klepnął młodszego brata po ramieniu. – Co tam taka Julia może wiedzieć? Ona się tylko przydarzyła swoim rodzicom, nawet jej nie wybrali.

Minęło lato, nastała jesień, a przez ten okres zażyłość Nancy z rodziną Williamsów stale rosła. Niemal codziennie obie panie uciwały sobie pogawędkę przez telefon, głównie o dzieciach. W trakcie jednej z takich rozmów wrócił do domu Carl i Kitty przerwała tłumacząc się, że musi przygotować mężowi lunch. Wtedy Nancy uświadomiła sobie nagle, że Carl zawsze wszystkie posiłki jada w domu. Nie mogła sobie przypomnieć, czy słyszała od Kitty o choćby jednym jego wypadzie do restauracji.

Zapytana o to Kitty, zaprzeczyła.

– Nigdy tego nie robi. Stołuje się wyłącznie w domu.

Nancy przemknęło przez myśl, że to zwyczaj dość uciążliwy w pracy detektywa i jednocześnie poczuła pewność, że Carl wnet stanie przed dylematem w związku z tym swoim przyzwyczajeniem.

– Wiesz co – rzekła do przyjaciółki – niech on lepiej już się zacznie nastawiać na zmianę tego nawyku. Wkrótce wyjedzie w podróż służbową.

– To niemożliwe – odparła Kitty poważnie. – On nigdy nie wyjeżdża. Takie ma zasady i trzyma się ich. Zwierzchnicy o tym wiedzą i niesłuchanie rzadko proponują mu jakiś wyjazd. A zresztą on im wtedy i tak odmawia.

– Tym razem nie uda mu się wywinąć – stwierdziła Nancy.

– Carl, wyjeżdżasz służbowo. Nancy tak powiedziała – usłyszała, jak Kitty informuje męża.

– Nigdzie nie jadę – odparł bez cienia zainteresowania.

– Ona mówi, że tym razem będzie inaczej.

– Czyżby? A można wiedzieć, kto mnie do tego zmusi?

– Smitty – odpowiedziała Nancy.

– Smitty – powtórzyła jak echo Kitty.

Zapadło dłuższe milczenie, w którym Carl przeżuwał niecodzienną zapowiedź.

– Mowy nie ma. Nigdzie się stąd nie ruszę – oświadczył na koniec.

Dwa dni później Nancy zastukała do frontowych drzwi domu Williamsów, a witającą ją przyjaciółkę obdarzyła porozumiewawczym mrugnięciem.

– Gdzie Carl? – spytała.

– U siebie. – Kitty ruchem ręki wskazała „kryjówkę” męża.

Nancy ruszyła po schodkach w dół.

– Daj mapę! – zażądała.

– Mapę? Jaką mapę? – zdziwił się Carl.

– Wschodniego wybrzeża.

Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami. Kitty przyniosła mapę i rozłożyła ją na kolanach siedzącego w swym ulubionym fotelu bujanym męża.

– Tutaj i tutaj! – zawołała Nancy wskazującym palcem dwa punkty na mapie. Jednym był Boston, drugim – Quantico w Virginii.

– o co chodzi?

– tam właśnie pojedziesz.

– przykro mi, to nie ja. Ja nie znoszę podróży. Podkreślam: nie znoszę.

Istotnie, zawsze do tej pory udawało mu się wymigiwać od wszelkich wyjazdów. Zastępował się obciążeniem pracą, a że przeważnie faktycznie tkwił po uszy w jakimś kolejnym dochodzeniu, był z reguły zbyt zajęty, żeby wyjeżdżać na szkolenie czy konferencję.

Nancy uśmiechnęła się tylko wymownie.

Nie minęły nawet dwa tygodnie, gdy major Ray Deputy, komendant operacyjny policji stanowej Delaware, zadzwonił do komisariatu nr 6 z nowiną:

– Zgadnij, co mam dla ciebie? – spytał Carla tonem kogoś, kto wyświadcza drugiemu wielką przysługę.

– co?

– Jedziesz do akademii FBI.

– Do żadnej akademii niejadę – zaproponował z miejsca Carl. – Nigdzie nie mam zamiaru wyjeżdżać.

– Spodoba ci się – zachęcał Deputy.

– A co to ma być?

– Szkolenie. Tematyka dotyczy zabójstw. Tylko dwa tygodnie.

– Ray, nie mam czasu. Mam teraz parę spraw na tapecie.

– Dobrze ci zrobi taki wyjazd. Podniesiesz kwalifikacje zawodowe.

Carl nie zgodził się na udział w tym szkoleniu, ale mając na uwadze ostrzeżenie Nancy – doszedł do wniosku, że chyba nie zdoła się wykręcić od wyjazdu, posługując się argumentem nawału pracy.

Po dwóch dniach Deputy znowu zadzwonił; tym razem był jeszcze bardziej wylewny.

– Ty to masz szczęście, chłopie – zagaił. – Udało mi się umieścić cię na kursie w najbardziej renomowanej szkole i...

– Chwileczkę, daj mi ochłonąć – wpadł mu w słowo Carl. – A teraz gdzie? Zaraz, zaraz. Nic nie mów. Mogę sam zgadnąć? – po drugiej stronie linii zapadła pełna zdumienia cisza. – w Bostonie – rzucił Carl.

– Skąd wiesz? Masz chyba swoich szpiegów u mnie w biurze.

– Nie – westchnął Carl. – Niezupełnie – poprawił się.

W rzeczywistości przecież wykorzystał zjawisko, na określenie którego nie znajdował słów. Nie rozumiał dokładnie, jak Nancy robi to wszystko, ale też nie mógł już jej nie wierzyć. Tą przepowiedzianą podróżą przekonała go do swoich możliwości ostatecznie.

Nie wszystkie jej zapowiedzi bądź relacje z widzianych obrazów sprawdzały się co do joty, ale trafnych wizji czasami zadziwiająco szczegółowych – miała na tyle dużo, że niekiedy włos się jeżył z wrażenia. Gdy rozniosła się fama o celnej prognozie dotyczącej wyjazdu Carla, on sam znalazł się w nieoczekiwanej dla siebie roli – chodzącej reklamy usług Nancy.

Pułkownik Smith był tak zadowolony z rezultatów zwerbowania Nancy do współpracy, że zaplanował wydanie na jej cześć specjalnego lunchu połączonego z ceremonią wręczenia nagrody. Miał tylko jeden kłopot: jak utrzymać przed nią w tajemnicy sprawę nagrody i dyplomu. O lunchu musiała się dowiedzieć – sam zresztą osobiście ustalił z nią termin na czwartego października – kiedy jednak decyzja zapadła, unikał bezpośredniego kontaktu. Zapytania związane ze współpracą przy różnych dochodzeniach pułkownik kierował do niej przez sekretarza, a detektywów umawiał za pośrednictwem Williamsa.

Ale wszystkie jego wysiłki, mające na celu zachowanie sekretu, uwieńczone zostały jedynie częściowym powodzeniem. Kiedy zadzwonił z zaproszeniem na lunch mówiąc, że chciałby ją poznać z pewną grupą swoich ludzi, Nancy od razu wiedziała o wyróżnieniu. Już w trakcie rozmowy wizja dyplomu sformowała się w jej myślach; widziała go wyraźnie, ale dodatkowo dostrzegła coś, co było dla niej niezbyt zrozumiałe. Na obraz dyplomu nakładał się wizerunek pułkownika Smitha, jakim mógł być za swych młodych lat, odzianego w mundur, w wysokich butach i typowym kapeluszu z szerokim rondem.

W wyznaczonym dniu do biura pułkownika przywieziono Nancy z eskortą. Smitty rozmawiał przez telefon, a w pokoju znajdowali się oprócz niego jeszcze dwaj oficerowie. Jednym z nich był major Ray Deputy, którego Nancy już kiedyś poznała.

Stanowisko służbowe majora Deputy'ego należało do najbardziej stresujących. Piastował urząd szefa operacyjnego policji stanowej i odpowiadał za codzienne rozdysponowanie z górą czterystu ludzi. Napięcie związane z tym zajęciem dało już o sobie znać: nabawił się choroby ciśnieniowej. Od Williamsa dowiedział się, że Nancy nauczyła kiedyś medytacji, na jego więc prośbę Carl pewnego wieczora zawiózł ją do niego do domu. Próbowała mu pomóc i zapoznała go z metodą głębokiego regularnego oddychania. Swym niskim i cichym głosem wprowadziła go w stan tak pełnego relaksu, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczył.

– Wyobraź sobie, że całe ciało otula ci zielony, mięciutki mech i odpręż się – mówiła.

Przez całe swoje życie zawodowe stosował potem do przezwycięzania stresu techniki relaksowe, których się wówczas od niej nauczył.

Ale w dniu dzisiejszym z kolei Nancy była zestresowana. Cięża ją krępowała; zasoby garderoby ciążowej miała bardzo skromne. Wybrała bluzkę w szkocką kratę z białym kołnierzem, mając nadzieję, że taki strój będzie odpowiedni na proszony obiad z kadrą kierowniczą policji stanowej stanu Delaware. Ale niezależnie od tego, co miała na sobie. Czuliła się wielka, gruba i niezadarna.

Smitty wiszący przy telefonie kiwnął jej ręką na powitanie i wstał, a major Deputy podszedł, witając się z Nancy serdecznie. Pułkownik pośpiesznie zakończył rozmowę i przyłączył się do nich akurat na czas, by zdążyć dokonać prezentacji drugiego oficera. Okazał się nim Ben Ewing, podpułkownik, pełniący funkcję zastępcy komendanta.

Ewing był mężczyzną wysokim i chudym; posturą przypominał Nancy ojca. Miał blond włosy z lekką przyprószoną siwizną i szare oczy. Smith nazywał go „łagodnym Benem”, ze względu na jego wyrozumiałość. Jedyną sprawą, której Ewing nie traktował wyrozumiale, była jego wiara. Będąc gorliwym katolikiem, z trudem akceptował w pracy policyjnej osobę, której talentu przewidywania przyszłości nie potrafił wytłumaczyć na gruncie swego światopoglądu.

Nancy słyszała już wcześniej o tym swoim potencjalnym antagoniście, a bezpośrednio z nim spotkanie wcale nie wpłynęło uspokajająco na jej i tak już kurczący się nerwowo żołądek.

Smitty właściwie zamierzał doprowadzić do spotkania tych dwojga w przekonaniu, że kiedy Ben pozna Nancy, jego rezerwa wobec niej zniknie. Dziś jednak zaprosił tutaj Nancy, żeby jej podziękować za dobrowolny wkład pracy, więc ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było, aby w rozmowie z Ewingiem poczuła się jak świadek na przesłuchaniu. Jednakże, kiedy przedstawił jej bena, ten wziął sprawy w swoje ręce.

Nancy wyczuła, że Ewing niechętnie podaje jej dłoń na powitanie, najwyraźniej w obawie, iż może dotknąć, wcielonego w nią ewentualnie, samego szatana.

– Jestem Ben Ewing – powiedział, a Nancy wydawało się, jakby pytał jednocześnie: *czy wierzysz w Boga?* Spodziewała się, że zaraz usłyszy to samo zdanie wypowiedziane na głos, ale on tylko się uśmiechnął, wybałał jakąś grzecznościową formułkę i mruknął pytająco, czy nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby jej zadał parę pytań.

Wyraziła zgodę i razem odeszli na bok, gdzie mogli pomówić bez przeszkód.

Potem Smitty opowiadał, że rozmawiali bez świadków około dziesięć minut, po czym wrócili już jako najlepsi przyjaciele. Oczekiwał wprawdzie, że Ben pozbędzie się uprzedzeń, ale w zdumienie wprawiła go szybkość, z jaką nastąpiła ta transformacja.

Nancy nie wiedziała naprzód, co może wyniknąć ze spotkania z Ewingiem, ale gdy ono nastąpiło, poczuła zadziwiający spokój. Oceniała motywy bena i stwierdziła, że to szczerzy i łagodny człowiek, który po prostu chce wiedzieć, z czym ma do czynienia.

Czy wierzysz w Boga? – spytał.

– Głęboko wierzę – odparła.

– Do jakiego kościoła należysz?

– Jestem metodystką.

To go wyraźnie zadowoliło. Wydawał się wahać przed zadaniem kolejnego pytania, ale w końcu spytał:

– Jak myślisz, czy twoje informacje pochodzą od Boga?

Była to kwestia trudna i brzemienna w skutki, ale Nancy odpowiedziała tym samym rozumowaniem, jakie stosowała na własny użytek.

– Naprawdę nie wiem. Sądzę jednak, że pochodzą z tego samego miejsca, skąd wywodzi się wszelka twórczość. Z pewnością nasze ludzkie uzdolnienia mają swoje źródło w Bogu, ale czy to on przemawia wprost do mnie, nie wiem.

Przeniosła wzrok na pułkownika, który próbował prowadzić obojętną rozmowę z Deputyem; obaj mieli zaferowane miny – gotowi byli przyjść Nancy z pomocą, gdyby wynikła potrzeba.

Ewing wytoczył ostatnie działo:

– A nie wydaje ci się, że informacje te mogą mieć źródło w diabelskiej mocy?

– Nie – zaprzeczyła kategorycznie Nancy.

– Czemu tak myślisz?

Tę kwestię również rozważała w okresie budowania swych parapsychofizycznych możliwości. Uzyskana odpowiedź płynęła z głębokich, duchowych rozważań.

– Dlatego – zaczęła, – że sądzę, iż gdyby to była sprawka diabła, informacje nie byłyby takie dokładne. Wprowadzałyby nas w błąd, tracilibyśmy czas. Nic dobrego by z nich nie wynikało. Wiem z doświadczenia, że gdy się ma do czynienia ze złem, nie można osiągnąć nic pozytywnego. Zło wyprowadza ludzi na manowce. A moje zdolności postrzegania pozazmysłowego nie działają w ten sposób.

Ewing przetrwał chwilę ten krótki wywód i na koniec szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz. Wyciągnął rękę i klepiąc Nancy po ramieniu, powiódł ją z powrotem do czekających kolegów.

Smitty w widoczny sposób się odprężył, a Deputy, jakby tylko na to czekał, wyszedł z pokoju i wrócił za moment z dużą, brązową kopertą. Po jej otwarciu Nancy ujrzała dyplom, dokładnie taki; jak oglądany w wizji.

– Wiedziałas, co dostaniesz? – zaciekawiał się Smitty.

Skuliła się wewnętrznie, ale musiała przyznać, że istotnie zobaczyła obraz tego dyplomu podczas rozmowy, kiedy pułkownik zapraszał ją na lunch.

Zdziwił ją fakt, że Smitty nie wydawał się wcale rozczarowany.

– Przyniesie tę drugą paczuszkę ~ polecił koledze.

Deputy ponownie opuścił pokój, ale tym razem wrócił, trzymając w ręku małe pudełko. Teraz Nancy była szczerze zaciekawiona, a gdy dotknęła paczuski, wizerunek pułkownika w mundurze zamajaczył jej w mózgu.

– Co to jest?

– Dzieło naszych rąk. Zrobiliśmy to sami. – był wyraźnie rozradowany, a pozostali dwaj uśmiechali się od ucha do ucha.

– Otwórz – rzucił Smitty.

Zdjęła pokrywkę. Wewnątrz leżała metalowa statuetka policjanta, upozowana tak samo jak na widzianym przez Nancy oczyma duszy wizerunku pułkownika. Kiedy im to powiedziała, Smitty i Deputy spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

– Pułkownik pozował do tej rzeźby – wyjaśnił Ray.

Ten uroczysty obiad był dla Nancy ostatnim oficjalnym kontaktem z policją, po którym współpraca urwała się na ponad miesiąc. Wprawdzie i wcześniej pułkownik niby zdawał sobie sprawę, że Nancy jest w ósmym miesiącu, ale dopiero osobiste z nią spotkanie uświadomiło mu w całej pełni jej stan. Tylko to zdołało zdusić jego zapędy do angażowania jej do pracy w tym ostatnim okresie ciąży. Jednakże 9 listopada zdarzył się wyjątek. Z komendatury nadeszło pytanie, czy Nancy mogłaby pomóc w rozwiązaniu przypadku zaginięcia trzynastoletniego chłopca nazwiskiem Zandy Bisson, cierpiącego na autyzm, który prawie przed tygodniem zniknął ze szpitala dla dzieci opóźnionych w rozwoju, w pobliżu Stokely.

– Przed tygodniem?! – wrzasnął Carl do słuchawki, kiedy odbierał telefon w tej sprawie. – Wy się, chłopcy, sami kwalifikujecie chyba do tego szpitala!

Po drugiej stronie linii panowało milczenie.

– Czego od niej chcecie?

– Żeby znalazła dzieciaka.

– Zapytam ją – obiecał Carl, a potem, myśląc o czwórce własnych dzieci, dodał: – zresztą nie będę musiał. I tak wiem, co odpowie. Macie mi tylko dostarczyć coś, co należało do tego chłopaka: wypchaną zabawkę lub coś w tym stylu. I zdjęcie. Podstawcie też helikopter na parking przed kościołem Matki Boskiej Łaskawej, to jest mniej więcej trzy przecznice od domu Nancy. Przyjadę tam z nią i będziecie ją mogli zabrać na tę waszą podniebną przejażdżkę.

Potem zadzwonił do Nancy. Ona z radością zgłosiła chęć pomocy, lecz przypomniała Carlowi, że Heidi może zacząć się rodzić w każdej chwili.

– Być może wycieczka helikopterem jest tym, na co czeka twoja malutka córeczka – zasugerował.

– Ja się niczego nie obawiam, ale pilot chyba powinien wiedzieć.

Kiedy Carl przyjechał po Nancy, okazało się, że istotnie plany zostały zmienione. Wraz z nim przybył młody policjant w czarnym mundurze pilota i wojskowych butach. W ręce niósł dużą kopertę, a pod pachą ścisnął pluszowego misia. Za pas zatknął walkie-talkie.

– Przepraszam, Nancy – odezwał się Carl – ale oni nie chcą pomóc urodzić się twojemu maluszkowi. Mówią, że nie mogą wziąć na pokład damy w tak zaawansowanej ciąży. Będziemy temu oto pilotowi dawać wskazówki, gdzie jest zaginiony chłopak, a on z kolei będzie kierował ruchami kolegi w maszynie w powietrzu.

Pilot towarzyszący Carlowi miał zakłopotaną minę, kiedy cała trójka udawała się wprost do kuchni. Tam przy kuchennym stole wręczył Nancy misia i kopertę, z której ona wyciągnęła mapę, odbitkę fotografii i jakiś sweter. W chwili gdy ujrzała ten szczegół chłopięcej garderoby, zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu; taki sam ciemnozielony pulower, wycięty w szpic pod szyją, miał również Blake.

– Powiedzieli mi, że to część ulubionego ubioru – oznajmił Carl, kiedy zauważył, jak Nancy z napięciem wpatruje się w sweter.

Przeniosła wzrok na fotografię chłopca, ale kiedy spojrziała w oczy dziecka, nie odczytała z nich nic, uczuła jedynie pustkę.

Rzuciła okiem na Carla i pokręciła głową.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdził detektyw. – Chłopak zniknął w środę, a oni dopiero teraz pomyśleli, żeby się zwrócić o pomoc do ciebie.

– Trudno, spróbuję czegoś innego.

Zamknęła oczy i przycisnęła do siebie misia. Odebrała przekaz uczucia – uczucia dziecka do tej zabawki; strumień miłości jasnej, czystej i tak intensywnej, że łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu. I jakby powstający tych uczuć obraz zaczął formować się przed jej oczyma.

Scena, którą ujrzała, tchnęła spokojem. Jakiś strumyk w lesie. Ziemia pokryta grubym kożuchem liści złotych i czerwonorudych. Jeden listek sfrunął cicho do wody i płynął z prądem, mijając wysokie pnie drzew rosnących po obu stronach strumienia. Nancy pozwoliła, aby liść uniósł ją z sobą i niósł tak długo, aż na brzegu błysnęło wśród liści coś niebieskiego. Wizja znieruchomiła. Nancy skupiła się na obcym w tym środowisku kolorze. Tuż przy ziemi leżała czapka, a pod nią, szczelnie przykryta liśćmi, kryła się twarz Zandy'ego Bissona.

Jednak w tym obrazie było coś dziwnego. Tam, gdzie powinien być kopczyk liści okrywający ciało chłopca, było niemal zupełnie płasko; to miejsce niczym nie wyróżniało się od otoczenia. Zaraz jednak Nancy ujrzała inny obraz: zwłoki zagłębione w miękkim gruncie, z głową przechyloną w bok spoczywającą na wyciągniętym ramieniu.

– Nic dziwnego, że policja go nie znalazła – przerwała milczenie. – Trudno chłopca zauważyć. Zapadł się w błoto aż do ramion, a resztę pokryły liście. Widoczny jest tylko kawałek jego czapki. Szukający byli blisko tego miejsca, ale to naprawdę łatwo przeoczyć.

– Trzeba nam trochę informacji o tamtym terenie, szczegółów orientacyjnych – rzekł Carl. – Rozejrzyj się dokoła i powiedz, co widzisz.

Nancy wróciła myślą do sceny w lesie i spostrzegła po lewej stronie chłopca drzewo zgięte aż do ziemi. Niezbyt pomocna informacja. Uniosła się duchem ponad drzewami i rozglądała po okolicy.

– On tkwi w ziemi niezbyt daleko skraju lasu, opodal strumienia. W odległości około jednej mili na północny zachód stoi jakiś duży ceglany budynek. Gdyby od tego budynku nakreślić linię przebiegającą przez las i otwarte pole z jakimś stawem pośrodku, do dwu baraczków wyglądających na opuszczone kurniki, to ciało chłopca znajduje się dokładnie na tej prostej – w pobliżu przecięcia linii z rzeczką.

Pożyczyła od Carla długopis i na brązowej kopercie narysowała mapkę tego, co oglądała oczyma duszy.

– Czy kiedykolwiek była pani w Stokely? – zaciekał się pilot.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Patrolowałem z powietrza tamtejszą okolicę przez dwa tygodnie i oświadczam panu, sierżancie Williams, że to, co pani opisała, rzeczywiście tak wygląda. Wiem dokładnie, gdzie jest to miejsce; wiadomo mi również, że porucznik Sylwester z jednym ze swych ludzi przeszukiwał ten teren zaraz pierwszego dnia. Nie znaleźli niczego.

– Bardzo trudno go dostrzec – powiedziała Nancy.

– Czy on jeszcze żyje – spytał oficer, pakując do torby sweterek i misia.

– Nie. Było za zimno. Zmarł z wyczerpania.

Funkcjonariusz Paris Mitchell nie był człowiekiem łatwo uzewnętrzniającym swoje uczucia, jego żona jednak widziała, że zniknięcie Zandy'ego Bissona gryzło go, odbierając mu sen. Rzucił się na łóżku i przewracał zwykle aż do brzasku, potem schodził na dół wypić kawę i błąkał się po domu do chwili wyruszenia z ekipą na poszukiwania. Miał trójkę własnych dzieci i przynajmniej częściowo potrafił sobie wyobrazić, jak sam by się czuł, gdyby któreś z nich zabłądziło w lasach. Noce były już bardzo chłodne; temperatura regularnie spadała do około zera. Paris miał pełną świadomość, że każda mijająca godzina zmniejsza szanse dzieciaka na przeżycie.

Już pierwszego dnia po zniknięciu chłopca Mitchell został przydzielony do poszukiwań, jako że wychował się niedaleko Stokely i dobrze znał okolicę. Dodatkowy powód zwerbowania stanowił fakt, że jego matka całe życie była zatrudniona w tym szpitalu dziecięcym i Paris, odwiedzający ją często w pracy, potrafił obchodzić się z dziećmi specjalnej troski. Od samego początku był przekonany, że chłopca zwabiła rzeczka płynąca za budynkiem szpitalnym. Wszystkie dzieci ciągnęło do wody, ale w szpitalu mu powiedziano, że Zandy zdradzał ku temu szczególną skłonność. W pewnym miejscu strumień, choć niespecjalnie szeroki, miał dość znaczną głębokość; tam właśnie Paris znalazł kiedyś dwójkę innych dzieci, gdy tak jak teraz Zandy, wybrały się na wędrowkę po okolicy. Obaj z porucznikiem Sylwestrem bardzo starannie przeczesał to miejsce zaraz pierwszego dnia, ale nie znaleźli żadnych śladów.

Poszukiwania trwały kilka dni, a po ich oficjalnym odwołaniu Mitchell wziął sobie tydzień urlopu i przy pomocy ochotników oraz przy wsparciu policji stanowej, nie ustawał w wysiłkach, by odnaleźć chłopca.

Obrana przez niego strategia polegała na tym, że codziennie zaczynał o ósmej rano, zamierzając przeszukać odcinek od szpitala do millsboro oddalony o około pięć mil. Trasa poszukiwań wiodła mniej więcej wzdłuż

strumienia – zgodnie z przeświadczeniem Parisa, że Zandy musiał tędy przechodzić – i dalej przez otwarte pole ku gęstwinie leśnej. Podążając dość daleko z biegiem strugi, dochodziło się do miejsca, gdzie wpadała ona do stawu Millsboro, opodal którego, na skraju lasu, znajdowała się jakaś farma z dwoma kurnikami. Paris codziennie oznaczał skrupulatnie miejsce, gdzie skończył szukanie i nazajutrz tam je podejmował.

9 listopada dołączyła do niego żona i dwaj inni ochotnicy. Po godzinie poszukiwań Paris przeszedł na drugi brzeg rzeczki i zaczął się cofać. Ta trasa zawiodła go z powrotem w las, w pobliże miejsca, które przeczesywał pierwszego dnia, kiedy sądził, że Zandy tam właśnie się udał. Przeszedł zaledwie sto metrów, gdy jego wzrok przyciągnęła mała błękitna szmatka wycierająca spod żółtych i czerwonych liści. Serce zaczęło mu bić jak szalone.

– Zandy? – zawołał, przyspieszając automatycznie kroku. – Zandy?

Kiedy pędził przez las i coraz bardziej się zbliżał, niebieska plama nabierała kształtu czapeczki narciarskiej, a przez warstwę liści zaczął majaczyć kształt głowy.

– Zandy? – szepnął dotarłszy do miejsca, gdzie leżał chłopiec. Potem głos odmówił mu posłuszeństwa. Martwe ciało Zandy’ego zanurzone było aż po pachy w błocie; prawe ramię miał wyciągnięte, jakby szukał oparcia na twardym gruncie; głowę skłonił na to ramię, jakby spał.

Parisa Mitchella ogarnął smutek, chciał oszczędzić żonie tego przykrego widoku. Odwrócił się i krzyknął na nią, żeby nie podchodziła.

– Wracaj do szpitala i zadzwoń po policję. Powiedz im, że znaleźliśmy Zandy’ego.

Carl wysadził pilota przy helikopterze i jechał z powrotem w kierunku komisariatu, kiedy przyszło mu do głowy, by posłuchać przekazu radiowego pomiędzy młodym, entuzjastycznie nastawionym obecnie do Nancy człowiekiem, a jego kolegą krążącym w powietrzu nad Stokely. Ostatnio jedną z drobnych przyjemności Carla stanowiło przypatrywanie się z boku, jak inni policjanci przechodzą to samo przeobrażenie, jakiego on doświadczył wcześniej za przyczyną Nancy.

Załączył krótkofalówkę akurat w chwili przekazywania raportu z wizji Nancy. Ku swemu zdumieniu zamiast standardowego: „przyjąłem”, „gotów”, „odbiór”, usłyszał wygłoszoną raczej podnieconym głosem pilota relację, że nie tylko już znaleziono ciało chłopca, ale opis miejsca, który właśnie przekazał, był tak dokładny, że szukającym włos się zjeżył z wrażenia.

Carl od razu zatelefonował do Nancy.

– Znaleźli go – oznajmił. – A swoimi rewelacjami śmiertelnie przeraziłaś całe mnóstwo ludzi.

Rozdział siódmy

Pani córka jest naprawdę niezwykła

Ta wizja była nadzwyczaj wyraźna i niepokojąca.

Światła. Pulsujące pasma wylawiające z mroku tancerzy. Pomiędzy błyskami – ciemność. Przerazająca sceneria, nierealna, jak w koszmarze. Nancy nie mogła się w tym połapać, bo wszystko wydawało jej się jakieś znajome, jakby to już kiedyś przeżyła. Jednak pewności nie miała.

Jeden z oficerów siedzących w saloniku Nancy w jej domku w Scottfield nigdy dotychczas z nią nie pracował. Był to niejaki Everett Chapman, detektyw z dziesięcioletnią praktyką w Penny Hill, na północ od Wilmington. Po zniknięciu Susan Spahn jemu przypadło śledztwo w tej sprawie. Susan, dwudziestojednoletnia studentka West Chester College, widziana była po raz ostatni pewnego sobotniego wieczora na początku listopada na popularnej dyskotecie. Inaczej niż w większości zadań zleczanych dopiero po z górami roku grupie specjalnej Williamsa, dochodzenie związane z przypadkiem Susan trwało zaledwie parę tygodni, a już Smith zwrócił się do Nancy o pomoc.

Chapman nie wydawał się przekonany do pracy z osobą o dziwnych umiejętnościach, zwłaszcza jeśli wygląda ona jak po dziesięciu miesiącach ciąży, ale posłusznie przyniósł potrzebne zdjęcia, mapę i – stosownie do życzeń Nancy – ostatnią próbkę odręcznego pisma ofiary. Po wzięciu do ręki fotografii Nancy od razu zwróciła uwagę na urodę Susie: długie jasne włosy okalały owalną twarz o delikatnych, niemal kruchych rysach. Nancy wpatrywała się w te podobizny przez chwilę, próbując skupić myśli na rzeczywistym wizerunku dziewczyny, żeby znaleźć punkt wyjścia dla wizji. Nie odebrała jednak żadnego przekazu. Starła się ze wszystkich sił, ale zabrakło jakiegś zewnętrznej emocji, która by mogła zburzyć barierę smutku. Albo Susan Spahn była zablokowana ze skutecznością, która mogła sugerować kompletną amnezję lub, co bardziej prawdopodobne, dziewczyna nie żyła.

Nancy odłożyła zdjęcia i skierowała uwagę na mapę z zaznaczonym położeniem dyskoteki. Prawie od razu w jej umyśle jęły się tłoczyć obrazy. Dźwięki wstrząsnęły jej ciałem. Światła oblewały sylwetki młodych ludzi widmowymi barwami. Wszystko pulsowało wymuszonym rytmem muzyki disco.

Jedną z postaci była Susie.

Uwaga Nancy przeniosła się raptem na partnera dziewczyny.

– To biały facet, wysoki, metr osiemdziesiąt. Ma gęste, ciemne i falujące włosy. Kiedyś nosił wąsy, ale teraz przypuszczalnie zmienił wygląd, żeby nie ściągać podejrzeń.

Gdy podawała dalsze szczegóły wyglądu tego człowieka, oficerowie wymienili spojrzenia. Opis Nancy pasował do osobnika, z którym, zgodnie z zeznaniami świadków, Susie opuściła dyskotekę.

– Ona jest szczęśliwa – powiedziała Nancy, lecz kiedy wymówiła te słowa, napłynęła nowa wizja, jakby chciała posłużyć do skorygowania poprzedniej wypowiedzi.

Nancy znalazła się na jakimś parkingu, gdzie widziany poprzednio mężczyzna, stojąc przed Susie, głośno na nią krzyczał i gniewnymi gestami wskazywał samochód. Susie odpowiadała mu równie popędliwie, zdając się nie zważać na jego przewagę fizyczną i rosnącą wściekłość.

Nancy wytężyła słuch, aby rozróżnić słowa, ale dźwięk był zbyt zniekształcony i sytuacja przypominała przysłuchiwanie się konwersacji prowadzonej pod wodą. Próbowwała zlokalizować jakieś charakterystyczne punkty w otoczeniu parkingu, ale gdy zaczęła się rozglądać, obraz jął nikać i blednąć. Szybko więc skupiła z powrotem uwagę na dwojgu młodych i starała się utrzymać obraz możliwie najdłużej. Wiedziała, że ta wizja będzie bezużyteczna dla policjantów, jeżeli zabraknie w niej punktów rozpoznawczych. Kiedy o tym myślała, w tle obrazu pojawiła się sylwetka małej restauracji – baru szybkiej obsługi. Susie przerwała kłótnię i ruszyła w kierunku lokalu, ale facet złapał ją za rękę i szarpnął. Kłótnia rozgorzała od nowa.

Nancy dała się wciągnąć w coraz bardziej rozpaczliwe położenie dziewczyny i w pewnej chwili uświadomiła sobie, że dla Susie ta sytuacja nie wydaje się nowa, jest znajoma i jakby przeżyta.

– Ona to wyśniła! – zawołała Nancy do detektywów.

Susie miała prorocze sny! Realistyczne, szczegółowe, a mimo to nie wierzyła, zlekceważyła swój dar, więc nie mógł ocalić jej życia.

Nancy spojrzała na siedzących opodal detektywów. Chapman miał zdziwioną minę, ale Carl i Greg po prostu czekali na dalsze informacje.

– Susie wyśniła własną śmierć – oznajmiła Nancy, a na widok wątpliwości wypisanych na twarzy Chapmana dodała: – Mówiła o tym przyjaciółce, z którą dzieliła pokój.

Chapman nie wyglądał wprawdzie na bardziej przekonanego, ale pod surowym wzrokiem Carla wyciągnął długopis i zapisał uwagę Nancy. Rozmawiał już z Diane Hummel, przyjaciółką Susie, ale nic nie wspominała o snach. Będzie musiał raz jeszcze z nią pogadać.

– Jej sny były dosłowne i bardzo wyraźne – dodała Nancy. – I wystraszyły ją na tyle, że opowiedziała o nich przyjaciółce. Powtarzały się kilka razy.

W istocie było to najczystszej wody prorocze ostrzeżenie, z jakim się Nancy zetknęła, ale uświadomiła sobie jednocześnie, że w policyjnym dochodzeniu miało ono ograniczone zastosowanie. Ponownie spojrzała na fotografię Susan i wizja powróciła.

Dziewczyna wchodząca do samochodu swojego partnera sprawiała wrażenie zagniewanej. Facet wyjechał z parkingu, skręcił w prawo, ruszył drogą, potem znów w prawo. Ten manewr wyprowadził go na podrzędną, dwupasmową szosę, boczną od drogi szybkiego ruchu, na której się przedtem znajdował. Pewien czas podążał tą trasą. By po dłuższej chwili skręcić w krótką, polną drogę w jakiejś wyludnionej okolicy, idealnej na schadzki dla zakochanych. Tutaj zatrzymał samochód.

Zapalił papierosa i poczęstował dziewczynę. Odmówiła. Teraz rozmawiają.

– O czym? – chciał wiedzieć Greg.

– Nie mogę zrozumieć wszystkiego dokładnie, ale sens jest mniej więcej taki: *ona mówi, że uważa się za lepszą od niego, o on chce jej udowodnić, iż jest odwrotnie. On teraz krzyczy, że coś jej zrobi... Że najpierw się z nią zabawi, potem zgarnie jej pieniądze i kosztowności, a wtedy okaże się, kto jest górą...*

– A ona co na to? – spytał Greg.

To wszystko jest takie dziwne. Ta cała klótnia. Ich zachowanie. Dziewczyna jest przestraszona. Ale opiera mu się. Ma jakiś jeden pierścionek, który chce zachować za wszelką cenę. Mówi mu właśnie, że go nie odda, bo to jakaś pamiątka. Dodaje coś jeszcze w tym samym stylu. Facet zaperza się. Krzyczy, że dostanie ten pierścionek, choćby jej miał przy tym obciąć palec.

Nancy podniosła wzrok znad zdjęć, żeby przerwać wizję. Ta pogroźka przejęła ją lękiem. Detektywi patrzyli na nią bez słowa. Spuściła oczy i wznowiła relacjonowanie widzianych w myślach obrazów.

Teraz ją napastuje fizycznie, a ona też reaguje gwałtownie.

– Co jej zrobił? – wtrącił pytanie Carl.

Złapał ją brutalnie za pierś. Ona krzyczy i sięga po klamkę. Facet wścieka się. Chwyta ją za rękę, mocno pociąga do tyłu i...

Nancy znów przerwała, by uciec na chwilę od widoku narastającej przemocy.

Uderza ją raz, drugi, kolejny... Jakby nie mógł przestać. Pod wpływem ciosów jej głowa obija się o boczną ścianę auta. O, święty boże!

– Co się stało? – zaniepokoił się Sacco.

Zrozumiała. Przypomniała sobie tę scenę widzianą w snach. Jest śmiertelnie przerażona, czuje zagrożenie.

Nancy umilkła.

– Mów dalej. Co widzisz? – przynaglił ją Carl.

Wzięła głęboki oddech, uspokoiła się i podjęła relację.

Jest w rozpacz, walczy desperacko wiedząc, że idzie o życie i w końcu udaje jej się wydostać z samochodu. On przetoczył się przez fotel pasażera, wypadł za nią i przewrócił ją na ziemię. Leżą teraz oboje tuż obok auta. Ona wyrzywa się rozpaczliwie, walcząc o życie, ale bezskutecznie. On jest dużo większy, leży na niej, przyduśzając swoim ciężarem. Zdolała uwolnić jedną rękę i paznokciami przeorała mu szyję i twarz, lecz to rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Uderza ją teraz pięścią raz za razem. Boże, teraz w jego ręku pojawił się pistolet!

– Skąd go wziął? – dopytywał się Carl.

Nie wiem. Trzyma go w garści, a że się nigdzie nie ruszał, widać miał go przy sobie. Z całej siły zdzielił nim dziewczynę w twarz. Znowu. I jeszcze raz. Ona już nie walczy; leży bezwładnie. On teraz ma w dłoni kawałek jakiegoś drutu.

– Jakiego drutu?

Nie wiem. To jakiś cienki, srebrzysty drut. On owija go jej wokół szyi i dusi.

– Była bezsilna, a on ją wtedy udusił? – tym razem pytanie padło ze strony Grega.

On... Nancy szukała właściwych słów. Władala nim złość. Wściekłość go oślepiła.

– A co się teraz dzieje?

Kiedy jest już po wszystkim, ma taką minę, jakby się dziwił, że Susie nie żyje. Wściekłość wyparowała z niego całkowicie. Oklapł. Boi się. Próbuje wymyślić, jak postąpić. Wkłada ciało do samochodu i...

– Do bagażnika?

Nie. Na przedni fotel. W pozycji siedzącej. Tyłem wyjeżdża z piaszczystej drogi i rusza w tym samym kierunku co przedtem, zanim skręcił. Na następnym skrzyżowaniu kieruje się na prawo; to okolica, w której nie ma żadnego ruchu. Wyciąga ciało z auta, zanoszi do lasu i porzuca. Wraca do pojazdu i odjeżdża z piskiem opon.

– Jak głęboko zaszedł w las?

Trudno mi ocenić. Może ze sto metrów. Ciało leży obok dużych głazów oznaczonych jakimiś inicjałami. To trochę dziwne w środku lasu, ale i sam las jest jakiś nietypowy, jakby nie całkiem dziki... Może rezerwat? To nie ma sensu, ale widzę jakiś wymuskany trawnik dochodzący do skraju lasu. Odbieram też luźne słowo: Brandywine.

Oderwała wzrok od podobizny Susie i spojrzała na milczących detektywów. Chapman wyraźnie nie wiedział, co o tym sądzić. Nie miał powodu, aby wierzyć, że to, co właśnie usłyszał, jest czymś więcej niż wytworem bujnej wyobraźni sprytniej gospodyni domowej. Z drugiej strony, wiele szczegółów podała prawidłowo, ale może przeczytała o nich w gazecie?

Carl i Greg wiedzieli swoje, ale chwilowo milczeli, oddając pierwszeństwo w zadawaniu pytań koledze prowadzącemu sprawę. Chapman się nie odzywał, więc Carl, który był przekonany, że przy współpracy z Nancy niemożliwe staje się możliwym, śmiało postawił dalsze żądania.

– Okay – powiedział – no to już dużo wiemy. Teraz nas oświeć, jak to wszystko powiązać z mordercą. Czym go przywoździć?

W umyśle Nancy ukształtował się odrzaz, którego nie potrafiła sensownie zidentyfikować, opisała go więc tylko własnymi słowami.

Razem z ciałem zostana znalezione jakieś dwa przedmioty, które będą dowodami wiążącymi tego faceta z morderstwem. Są wielkości pudełka odzapalek, białe lub kremowe, o nieregularnym kształcie i pomarszczonej powierzchni, jakby pokrytej małutkimi pęcherzykami. Chyba z plastyku. Łatwo je pominąć, jeśli się nie wie, czego szukać. Jeżeli je przeoczycie, nie dostaniecie mordercy, bo to one stanowią niezbitą dowód przeciwko niemu.

– Jest jeszcze coś? – spytał Greg.

– Drut. Ma na sobie jakieś zgrubienia i numerki.

– Co za drut? – naciskał Carl.

– To ten, którym ją dusił.

– Nawet jeśli został na miejscu morderstwa i tak na nic nam się nie przyda. Drut jak drut – zauważył Chapman.

– To nie jest taki zwykły drut – powiedziała Nancy. – Jest jakiś śmieszny: te gulki i te numerki.

– Mówisz o przewodzie elektrycznym?

– Nie mam pojęcia, jak wygląda przewód elektryczny.

Gdy zbierali się do odjazdu, Nancy wyrysowała im szkic mapki okolicy, w której leży ciało. Miejsce to określiła jako pagórkowate i skaliste, zatem dość nietypowe jak na stan Delaware. *Słyszę warkot silników w pewnej odległości. Małych silniczków. W pobliżu jest również jakaś rzeczka.*

Odprowadzając gości do drzwi, Nancy poczuła pewność, iż pomimo tych znanych szczegółów, poszukiwanie ciała będzie na razie bezowocne.

– Znajdziecie ją dopiero wtedy, gdy resztki pierwszego w roku śniegu będą leżały na ziemi – powiedziała nagle.

Ta przepowiednia, nieoczekiwana i raptowna jak piorun z jasnego nieba, wydała się policjantom, a także i samej Nancy, niezwykle dziwna.

– No cóż, mieliśmy już pierwszy śnieg tej zimy – zauważył Greg – czyli kroi się chyba dłuższe czekanie.

– Ona mówiła „pierwszy śnieg roku”, a nie „zimy” – skorygował Carl – a to może oznaczać, że coś zdarzy się w styczniu.

Nancy wzruszyła ramionami. Nie mogła oferować dalszej pomocy. Czasami odbierała takie enigmatyczne informacje, które również i jej sprawiały zawód. Oficerowie wyszli. Oddalali się, krocząc po ścieżce z szuraniem liści naniesionych przez wiatr. Dzień był słoneczny, choć chłodny. Lecz świat, w którym Nancy przebywała jeszcze przed chwilą, spowijał mrok i nawet złoty blask słońca nie zdołał rozproszyć smutku, który zaległ w jej duszy. Jesienna pora wzbudziła refleksję o szkole. Właśnie w szkole powinna spędzać taki dzień Susie Spahn, martwiąc się co najwyżej o wyniki okresowych sprawdzianów lub z kim się umówić na najbliższy tydzień.

Liście zaszeleściły na betonie. Dźwięk ten przejął Nancy zimnym dreszczem. Dziecko się w niej poruszyło, pospieszyła poszukać schronienia w ciepłym i bezpiecznym wnętrzu swojego mieszkania.

Dr Green określił wstępnie datę porodu Nancy na 28 listopada. W tym dniu w jej domu uroczysto obchodzono Święto Dziękczynienia. Przyjechali goście: ciotka i wujek z Waszyngtonu, matka z Dover. Cała trójka miała skrytą nadzieję, że będą pod ręką, kiedy nadejdzie ta najważniejsza chwila. Ale święto minęło spokojnie i nie pojawił się żaden zwiastun, że dziecko chce przyjść na świat. Dopiero po kilku dniach zaczęły się fałszywe alarmy – bolesne skurcze, okropna niepewność za każdym razem czy to już ten właściwy czas i pełne niepokoju pospieszne wyprawy na oddział położniczy szpitala w Wilmington.

Na początku każdy wyjazd wywoływał pełne nadziei napięcie, gdy jednak dni mijały, a dziecku najwyraźniej się nie spieszyło, sceptycyzm Nancy powrócił i wraz z nim radykalnie zmalała skłonność do wybierania się do szpitala na lada sygnał alarmowy. Nastąpił dzień bożego narodzenia, ponownie gromadząc

rodzinę w domku Andersonów. Wszyscy oczekiwali, że może tym razem Nancy nie zawiedzie. I nie zawiodła – no, powiedzmy, niecałkowicie. Skurcze przyszły... I minęły, po szóstym z kolei, bezowocnym wyjeździe do Wilmington. A Heidi cały czas spoczywała sobie szczęśliwie i bezpiecznie w zaciśniętym brzuchu matki.

Sfrustrowana Nancy zarzekła się uroczyście, że jej noga nie poстане więcej w szpitalu, dopóki alarmujące objawy nie staną się tak ewidentne, że nie będzie, można mieć cienia wątpliwości. Składając tę deklarację uświadomiła sobie, że ten ostateczny wyjazd na porodówkę będzie zarazem siódmym z kolei, a liczba siedem była dla niej zawsze szczęśliwa.

Dwa dni później Nancy myła naczynia przy zlewie, gdy przeszył ją ostry ból. Był nagły i krótki, ale kiedy minął, nogi miała jak z waty. Osunęła się na najbliższe krzesło. Potem nastąpiły kolejne bolesne skurcze, ale ten pierwszy był najgorszy, rozdzierający. Czekala w napięciu na dalsze, równie gwałtowne reakcje swojego ciała, ale ono wydawało się zadowalać podjęciem rytmu skurczów; które zdarzały się już od tygodni. Uznawszy więc, że to jeszcze jeden fałszywy alarm, zajęła się czytaniem. Jednakże nie była w stanie się skoncentrować. Jej umysł bez przerwy obracał w kółko pytanie: *kiedy to nastąpi i jak będzie?* Ku swemu zdumieniu odebrała napływającą nie wiadomo skąd odpowiedź: *po siódmym wyjeździe. Będzie ciężko.*

Przeżrana tą nową pewnością, Nancy próbowała usunąć ją ze swoich myśli i skupić się nad książką, ale bez powodzenia.

Wewnętrznym widzeniem ujrzała oczy. Szarobłękitne, z wyraźniejszą, ciemnoniebieską obwódką okalającą źrenicę. Były to oczy znajome. Wpatrywały się w nią. Oczy córki. Świadomość, że czuje na sobie wzrok swego dziecka, podnosiła ją na duchu, ale zarazem kazała się troszczyć o to, czy zdoła bezpiecznie wydać maleństwo na świat.

Siódmy wyjazd. Będzie ciężko.

W słowach tych nie tkwiła żadna gwarancja, może z wyjątkiem tego, iż wkrótce już będzie po wszystkim.

Odłożywszy książkę, Nancy udała się do pokoju przygotowanego na przybycie nowo narodzonej. Pomalowane na bladeżółty kolor łóżeczko z podobizną jelonka na wezgielciu było zasłane pościelą wybraną przez chłopców. Starannie złożona kapa, zrobiona na drutach przez Nancy dla Blake'a, wisiała na bocznej poręczy. Chłopiec „pożyczył” ją dziadziusiowi. Nancy pieśczołiwie pogładziła dłońią wzorek o tematyce baśniowej: królewna śnieżka i siedmiu krasnoludków.

Jej chwilową pogodę ducha zakłócił kolejny ostry atak bólu. Złapała się kurczowo boku łóżeczka czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Wraz z dotkliwym skurczem poczuła spazm strachu. Jak dużo bólu jeszcze wytrzyma jej ciało? Ile może wytrzymać dziecko? Rozpaczliwie starała się oddychać tak, jak ją uczono, ale cierpienie mąciło rozsądek. W myślowej pustce pływał jedynie wizerunek okrągłej buzi jasnowłosego bobaska.

Heidi?

Zamiast odpowiedzi zalała ją fala miłości i błogości tak rzeczywistej, że na chwilę znieczuliła ból. Na szczęście do najbliższego krzesła nie było daleko. Po ustaniu ataku Nancy dowlokła się do łóżka. Położyła się na chwilę, żeby odpocząć i pomyśleć o córeczce.

Za moment w sypialni zjawił się Travis. Malec najczęściej wyczuwał niepokoje matki i starał się być wówczas blisko niej. Teraz wgramolił się na łóżko i paplał o swoich sprawach, szukając przy tym nad wiek dojrzałym wzrokiem śladów zmartwienia na twarzy matki.

– Mamusiu, to już nadchodzi, prawda? – spytał na koniec.

– Chyba tak, skarbie. Ale nie jestem pewna.

– To już teraz. Czuję to, po prostu czuję. – Przytulił się do matki i trwali tak bez ruchu, czerpiąc otuchę ze swojej obecności.

Za chwilę do pokoju wpadł jak bomba Blake. Widząc brata w objęciach matki, dopadł do łóżka i przytulił się do Nancy z drugiej strony. Wzięta w dwa ognie Nancy zaproponowała jakąś grę, w którą można grać na łóżku. Blake wybiegł z pokoju i wrócił ze swoją ulubioną grą planszową. Nancy od czasu do czasu wypadła z kolejki i wtedy mogła ucinać sobie króciuteńką drzemkę.

Powtarzające się bóle nie pozwoliły jej zasnąć na dłużej, była tak słaba, że mogła jedynie leżeć. John dał chłopcom kolację, ale później niepokój nie pozwolił mu usiedzieć spokojnie na jednym miejscu. Wielokrotnie przemierzał nerwowo odległość między sypialnią a salonikiem. Odliczał także częstotliwość skurczów, tak jak uczono w szkole rodzenia.

– Masz bóle co cztery minuty. Nie sądzisz, że już pora zadzwonić do dra Greena?

– To nie jest wcale takie oczywiste – opierała się Nancy.

Chłopcy przed pójściem do łóżek oglądali jeszcze telewizję, wybiegając od czasu do czasu na korytarz, by zerknąć na matkę.

– Mamo, czy ona nie musi się urodzić przed porą ułożenia do snu? – spytał Travis z nadzieją.

– Dzieci rodzą się wtedy, gdy są do tego gotowe, skarbie.

– Hej, ty, pospiesz się! – zawołał malec, przyciskając nos do brzucha Nancy. Potem zaczął chichotać z własnego dowcipu.

Chwilę po odesłaniu chłopców spać John zastał Nancy na ćwiczeniach oddechowych, którymi usiłowała opanować bóle, pojawiające się niemal bez przerwy. Rzucił się do telefonu.

Dr Green kazał przywieźć Nancy do szpitala natychmiast, choćby siłą. Wyjaśnił, że ona w tym stanie może nie zachowywać się całkowicie rozsądnie, ale John ma się tym nie przejmować. Gdyby nie chciała wejść do samochodu, mówił lekarz, szpital przyśle karetkę.

– Nie pojedę żadną karetką! – jęczała Nancy. – Jeśli mam już jechać, to własnym samochodem.

Ale zupełnie inną sprawą było dotarcie do drzwi. Zdawało się, że skurcze pojawiają się z każdym krokiem. Ściana i John służyli jej za oparcie, kiedy desperacko starała się prawidłowo oddychać, by uwolnić się od bólu. Strach podnosił głowę, ale walczyła z nim, wyobrażając sobie malutką i okrągłą twarzyczkę niemowlęcia.

Dotarłszy z trudem do drzwi samochodu Nancy stwierdziła, że nie jest w stanie usiąść normalnie w fotelu dla pasażera. John wpadł w panikę i nie wiedział, co robić. Na szczęście, sąsiedzi pospieszyli z pomocą. Marty, sąsiadka, wysłała Johna i swojego męża po malutkie jaseczki i tak wysłała nimi siedzenie w samochodzie, ze Nancy mogła jechać w pozycji półleżącej. Przemawiała przy tym uspokajająco i rozładowała napiętą atmosferę. Ofiarowała się ponadto przypilnować chłopców do czasu przybycia matki Nancy.

Samochód wyprysnął z podjazdu na szosę. Każda nierówność drogi wyzwała dodatkowy skurcz bólu. Nancy usiłowała prawidłowo oddychać, a John starał się jechać maksymalnie szybko, ale jeszcze bezpiecznie.

– Chyba jednak czekałam zbyt długo – sapnęła Nancy w pewnej chwili.

– Łagodnie mówiąc – mruknął John, lawirując po raz siódmy po uliczkach dojazdowych w okolicy szpitala. Zatrzymał samochód przy wejściu do izby przyjęć i ruszył biegiem po wózek dla pacjentów. Nancy, spoglądając za nim przez otwarte drzwi, zobaczyła, jak gwałtownymi gestami wezwał sanitariusza, który złapał za. Najbliższy fotel na kółkach i popędził do samochodu.

Ukląkł przy drzwiach auta obok Nancy borykającej się właśnie z kolejnym napadem bólu. Łagodnie przemawiając przeczekał atak, a potem próbował przenieść ją na fotel. Osłabła z bólu Nancy nie potrafiła mu wiele pomóc.

– Niech się pani nie kłopotce. Proszę siedzieć spokojnie, ja się wszystkim zajmę.

Sanitariuszowi pospieszyła z pomocą pielęgniarka, którą Nancy zetknęła się podczas poprzedniej wizyty w szpitalu.

– Oho – powiedziała, patrząc na ściągniętą z bólu twarz pacjentki – Wygląda na to, że tym razem dziecko naprawdę prosi się na świat. Które to podejście?

– Siódme. Siódemka to moja szczęśliwa liczba – udało się Nancy wyjąkać.

W pokoju badań dr Green ocenił siłę skurczów na podstawie napięcia powłok brzusznych. Wysłuchał tętna dziecka i uśmiechnął się uspokajająco:

– Wszystko przebiega prawidłowo. Ona czuje się dobrze.

Umysł Nancy, pracując chaotycznie, analizował mało istotny drobiazg: *ciekawe, że nawet dr Green wyraził się o niej – „ona”*.

Lekarz, ściągając rękawiczki, starał się rozmową odwrócić uwagę pacjentki od nieuniknionego napadu bólu, wywołanego badaniem.

– To twoja szczęśliwa tura; nareszcie urodzisz to dziecko. Ono już się ustawiło do wyjścia, nie ma powrotu.

W miarę upływu godzin wieczornych i postępującego osłabienia Nancy zdała sobie sprawę, że słowo: poród kryje w sobie istotnie prawdziwą treść (*ang. Labour – poród, ale i praca, trud, móżól – przyp. Tłum.*). Faktycznie, była to najcięższa praca, jaką Nancy wykonała w swoim życiu. Ataki bólu były tak gwałtowne, że podczas jednego z nich, szczególnie ostrego, prawie straciła przytomność. Wówczas przewieziono ją na salę porodową, podano jej środek mający znieczulić bóle kręgosłupa.

– Teraz już nie poczujesz nic – oznajmił dr Green.

Następny skurcz złapał ją więc nie przygotowaną. Aż zawyla z bólu. Rozpaczliwie starała się skupić na oddychaniu, a zdumiona pielęgniarka pospieszyła jej z pomocą

– Dlaczego nic nie mówiłaś, że aż tak cię boli? – spytał lekarz w krótkiej przerwie.

– Skąd mogłam wiedzieć, że to nietypowe. Myślałam, że tak jest zawsze. Rodzę przecież po raz pierwszy – wykrztusiła Nancy.

W końcu, jakby z oddali, usłyszała głos wzywający ją do obejrzenia malutkiej córeczki. Walcząc o zachowanie przytomności, skierowała wzrok w kierunku głosu. Z wolna pole widzenia stawało się wyraźniejsze: ujrzała malutkie niemowlę trzymane przez dra Greena. *Jakie śliczne, jakie słodkie maleństwo. Dlaczego mówią, że to dziewczynka?*

– To przecież chłopiec – wychrypiała.

Lekarz podniósł wzrok znad maleńkiej główki, zdziwiony taką reakcją Nancy, a potem odciął pępowinę.

Nancy wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– A może myślisz, że trzymam w ręku kawałek melona? – zażartował doktor. Kiedy znów zajął się osekciem, uświadomił sobie, że Nancy cały czas milczy.

Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w noworodka. Strach złapał ją za gardło. *Dlaczego maleństwo nie krzyczy?* Lekarz usunął słuz z buzi niemowlęcia. Głośny wrzask rozdarł ciszę sali porodowej.

– Ona żyje, żyje, naprawdę żyje! – zawołała Nancy, gdy dr Green podsuwał ku jej zachwyconym oczom piszczący kłębuszek. Jaka niezwykła jest świadomość, że to w jej własnym brzuchu wyrosło takie wspaniałe dziecko. Jakiś cień przesłonił jej myśli, smuga strachu, coś jeszcze było nie w porządku, ale czuła się zbyt zmęczona, żeby to teraz roztrząsać.

Wszystkie pielęgniarki podchodziły po kolei gratulować jej dziecka, częściowo dlatego, że słyszały historię jej wielokrotnych poronień, a częściowo z tego powodu, iż Heidi była pierwszą dziewczynką po niezwykle długiej kolejce chłopców. Wszyscy podziwiali urodę noworodka, ale nikt nie był bardziej zachwycony niż Nancy; leżała zadowolona patrząc, jak córeczka oddycha. Heidi także spoglądała na matkę szeroko otwartymi oczkami śledziła wszystko. Pielęgniarki, a nawet doktor Green twierdzili, że maleństwo zachowuje się nietypowo jak na noworodka. Zwykle oseski są tak zmęczone porodem, że od razu zasypiają.

Zanim przewieziono matkę i dziecko na miejsce, Heidi zapadła w sen. Nancy z jakiegoś powodu czuła, że musi czuwać. Leżała bezsennie na łóżku, patrząc na swoje dziecko przez szybę oddzielającą pokój noworodków. Heidi co jakiś czas podnosiła główkę i z wyrazem bólu wykrzykiwała buzię do płaczu. Nancy kilkakrotnie prosiła pielęgniarki o sprawdzenie, czy z dzieckiem nie dzieje się coś złego, ale one uśmiechały się tylko, zbywając ją uwagami, że to przeważliwienie nowo upieczonej matki.

Mijały godziny nocne, zmęczenie zaczęło dawać się we znaki, ale czujność Nancy nie malała. Świadomość, że coś jest nie w porządku, trzymała ją w napięciu, pozbawiała snu. Pielęgniarki próbowały stworzyć lepsze warunki do zaśnięcia zaciągając zasłonę, żeby matka nie widziała dziecka, ale ona prosiła o odsłonięcie szybki.

Druga młoda kobieta, przebywająca w pokoju razem z Nancy, także przeczuwała coś niedobrego. Wspólnie obserwowały, jak Heidi unosi główkę i kręci się niespokojnie, jakby ją coś bolało. Każdy taki przypadek Nancy notowała na serwetce. Wraz z mijającymi godzinami nocy niepokojące reakcje dziecka stawały się częstsze.

Karmienie poranne było cudownym przeżyciem. Cokolwiek niedobrego działo się z dzieckiem, nie zakłóciło jednakże jego apetytu; niemowlę ssało zachłannie, kręcąc przy tym zabawnie malusieńką stópką.

– Mogę się założyć, że to ta sama nóżka, którą mi od środka bębniłaś po żebrach – żartobliwie rzuciła Nancy do córeczki. Heidi przestała pić i doprawdy sprawiała wrażenie, że się uśmiecha.

Potem zasnęła, ale wiele razy budziła się z bolesnym krzykiem.

Dopiero w południe ujawniła się przyczyna nawrotowego płaczu dziecka. Podczas karmienia Heidi nagle przestała oddychać. Nancy w pierwszej chwili skamieniała z trwogi i patrzyła bezradnie, jak siniały paluszki u nóżek córeczki, ponury cień zaczynał szybko postępować w górę, a drobniutkim ciałkiem wstrząsnęły drgawki. Prędko jednak szok minął i zrozpaczona matka jęła niecierpliwie naciskać dzwonek, aby wezwać pielęgniarkę. Nikt się jednak nie zjawił. Wówczas, obawiając się, że mała mogła się zadławić pokarmem, obróciła ją na brzusek i delikatnie klepała po pleckach w okolicy łopatek. Małutki korpusik przebiegł dreszcz i oddech wrócił. Nancy położyła córeczkę z powrotem na pleckach, a maleństwo wlepiło w matkę oczka i rozjaśniło buzię wyraźnym, szerokim uśmiechem. Nancy odetchnęła z chwilową ulgą, wiedziała jednak, że z jej dzieckiem dzieje się coś niedobrego. Z trudem dowlókła się do drzwi i krzyknęła w głąb korytarza:

– Moje dziecko przestaje oddychać!

Ze wszystkich stron zbiegły się pielęgniarki. Małą ułożono w wózku do przewożenia noworodków, a Nancy zasypano gradem pytań. Odpowiadała na wszystkie pytania, ale oka nie spuszczała z córeczki. W pewnej chwili strach znów złapał ją za gardło, bo spostrzegła, że nóżki Heidi zaczynają ponownie sinieć.

– To się powtarza! To ten sam objaw! – zawołała z rozpaczą.

Oczy pielęgniarek zwróciły się na dziecko. Jedna złapała wózek i biegiem ruszyła do pokoju noworodków, inna wezwała lekarzy. Zespół pediatrów za pomocą aparatury zajął się przywracaniem dziecku oddechu, ale mimo wysiłków ciało Heidi siniało coraz bardziej. Łzy rozpacz i bezsilności spływały Nancy po twarzy, kiedy obserwowała, jak jej maleńka córeczka zbliża się coraz bardziej do niebezpiecznej granicy. Jednak w końcu starania lekarzy wyrwały ją śmierci i maleństwo zaczęło z powrotem normalnie oddychać.

Drugą młodą kobietę wypisano rankiem do domu. Nancy została w pokoju sama; zamknięta w czterech ścianach szlochała rozpaczliwie: „mówiłam im, mówiłam, że coś jest nie w porządku, ale nikt mnie nie chciał słuchać!” A później zacisnąwszy dłonie w pięści zaczęła się modlić tak żarliwie jak nigdy dotąd:

Boże wszechmogący, pozwól mi zatrzymać to dziecko. Proszę, tego mi nie zabieraj, boże, spraw, niech to dziecko przeżyje.

Umieszczoną w inkubatorze Heidi powieziono gdzieś na wózku. Dokąd, nikt Nancy nie powiedział. Wiedzioną niepokojem wyszła z pokoju. Stojący opodal drzwi lekarz, ujrawszy wychodzącą pacjentkę, pospieszył z wyjaśnieniem:

– Pani córeczka miała atak pewnej odmiany padaczki. Zabieramy ją na oddział intensywnej terapii. Proszę mi teraz opowiedzieć dokładnie, jakie objawy spostrzegła pani u dziecka. Pielęgniarka wspominała, że pani dość wcześnie zauważyła niepokojące znaki. Co sprawiło, że pani zaczęła podejrzewać coś niedobrego?

Nancy skrupulatnie opisała obserwowane nocą napady płaczu córeczki, powiedziała o zwiększającej się ich częstotliwości i nasileniu. Wręczyła lekarzowi serwetkę z zapisem obserwacji, z których jasno wynikało, że dolegliwość się nasilała.

Doktor zabrał serwetkę i oddał się pospiesznie, a Nancy, wróciwszy do pokoju, wbiła wzrok w szybę, przez którą poprzednio obserwowała Heidi. Nagle odebrała w myśli przekaz strachu i płaczu. Uświadomiła sobie, że to reakcja dziecka rozłączonego po raz pierwszy z matką. Skupiwszy się wysłała do maleństwa myślowy sygnał niosący zapewnienie, że czuwa i jest blisko. Nadeszła odpowiedź pełna spokoju.

Lekarze stwierdzili u Heidi krwawienie powierzchniowe mózgu jako następstwo porodu kleszczowego. Na szczęście krew przestała już płynąć i okazało się, że nie ma obrażeń wewnętrznych. Kryzys minął.

Zachęcona przez pediatrów do częstego odwiedzania dziecka, Nancy przychodziła do Heidi o najróżniejszych porach. Jednak bez względu na to, kiedy zjawiała się w separacie, dziecko otaczał zawsze wianuszek pielęgniarek. Przerazało to trochę młodą matkę, a poza tym zazdrościła im z całego serca, że one mogą małą dotykać, trzymać w rękach, a jej tego nie wolno. Podczas jednej z takich wizyt rozpląkała się z żalu.

– Tak chciałabym ją troszkę potrzymać. Mogę? – poprosiła.

Pielęgniarki pomogły jej wsunąć ręce w otwory inkubatora i ostrożnie podały jej córeczkę. Heidi natychmiast się uśmiechnęła, a jednocześnie zabrzmiały alarmy.

We wzroku Nancy odmalowało się przerażenie, ale pielęgniarka zaraz ją uspokoiła:

– Nic się nie stało, po prostu tętno jej wzrosło – powiedziała i zwróciła się do swych koleżanek: – chodźcie tu rzucić okiem na Heidi. Znow ma na buzi ten uśmiech.

Wszystkie popatrzyły z uwagą na małą, a potem przeniosły wzrok na Nancy.

– A więc to chodzi o matkę! – roześmiały się nie wyjaśniając, o czym mówią. Nancy, trzymając w ręku swoją malutką, uśmiechniętą i śpiącą lalczkę, stała, dopóki nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Promieniała szczęściem.

Następnego ranka jeden z młodych neurologów dziecięcych zaprosił Nancy na rozmowę,

– Jest coś, o czym, jak sądzę, powinna pani wiedzieć. Dotyczy to pani córki – zagaił, a Nancy poczuła, że nogi się pod nią uginają ze strachu. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby się opanować. – To, co powiem, dla niektórych rodziców mogłoby stanowić powód do zmartwienia, ale wydaje mi się, że pani zechce poznać moją opinię. Córka pani jest niezwykle dzieckiem. Ma niespotykane zdolności psychiczne.

Nancy najpierw obrzuciła doktora zdumionym spojrzeniem, następnie parsknęła śmiechem. Urażony lekarz powtórzył pospiesznie ostatnie zdanie i zaczął wyjaśniać, co ono oznacza. Nancy śmiała się jeszcze głośniej.

– Proszę mi wybaczyć ten wybuch wesołości. Nie śmieję się z tego, co pan powiedział. Ja już to wiem. Myślałam, że mi pan zakomunikuje coś złego. Ten śmiech to reakcja radości i ulgi. Jestem szczęśliwa, że usłyszałam od pana coś dla mnie tak oczywistego. Byłabym zdumiona, gdyby Heidi nie miała takich zdolności. Widzi pan, ja też je posiadam i wykorzystuję profesjonalnie. Ale w jaki sposób pan to u niej spostrzegł?

– Często włączała nam alarm pod wpływem wzrostu tętna i za każdym razem miała na buzi szczęśliwy uśmiech. Wszystkie alarmy notujemy w karcie choroby. Zauważyliśmy, że mniej więcej w trzy minuty po każdym takim alarmie, pani się u niej zjawiała. A przecież wizyty pani nie odbywały się o utartych porach. Zresztą wczoraj powtórzyło się to samo, kiedy ją pani wzięła na ręce; ten sam uśmiech, podwyższenie tętna, alarm. Ona wie, kiedy pani ma przyjść.

Pielęgniarki i Nancy, żeby zaspokoić ciekawość, przeprowadziły pewne doświadczenie, z którego wynikało, że Heidi wyczuwa matkę w chwili, gdy ta naciska guzik windy na trzecim piętrze. Około trzy minuty trwało dotarcie stamtąd do salki, gdzie leżało niemowlę. Nancy odczuła ulgę, bo przy okazji wyjaśnił się również i fakt, dlaczego, kiedy przychodziła odwiedzić córkę, było przy Heidi tyle pielęgniarek. Po prostu przybiegały na sygnał alarmowy.

Atak padaczki nie powtórzył się i Nancy mogła zabrać dziecko do domu po tygodniowym pobycie w szpitalu. John miał jakieś zajęcia w szkole i nie mógł się wyrwać, ale po obie damy zajeżdżał samochód policyjny udekorowany przez detektywów ozdobnym, różowym papierem. Za kierownicą zasiadał sam Carl Williams.

Rozdział ósmy

Wielka wygrana

Objawy padaczkowe minęły bezpowrotnie, a najmłodsza latorośl Andersonów była dzieckiem zdrowym, o niespożytej ciekawości i dążności do poznania świata. Dwa jej bardzo wcześnie rozwinięte przyzwyczajenia szczególnie fascynowały Nancy i Johna.

Jedna z ciotecznych babek Johna ofiarowała małej Heidi zrobioną przez siebie na szydełku kolorową piłeczkę. Zabawka ta, mająca około 12 cm średnicy, poszywana była z czerwonych, białych i niebieskich łątek i wypchana miękką pończochą. Od samego początku stała się ulubioną zabawką dziewczynki. Mała przytulała się do niej, spała z nią i boksowała drobnymi piąstkami. Jednakże dopóki Nancy nie nauczyła jej turlać piłeczki, nic się osobliwego nie działo,

Po raz pierwszy Nancy spostrzegła niezwykłą zabawę dziecka, gdy rozmawiała przez telefon, a Heidi bawiła się w swoim łóżeczku. Dziewczynka odpychała od siebie piłeczkę, która toczyła się w kierunku przeciwnego boku łóżka, po czym sama wracała. Z początku ten widok nieco oszołomił Nancy, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że dzieje się tak na pewno w wyniku lekkiego nachylenia materaca.

Pospiesznie skończyła rozmowę i przeszła do saloniku poobserwować dziecko z bliska. Heidi, która zwykle witała matkę szerokim uśmiechem i szczęśliwym gaworzeniem, tym razem nie spuszczała wzroku z piłeczki. Okrągła zabawka, odepchnięta właśnie przez dziewczynkę, odtoczyła się na odległość około ćwierć metra, stanęła, jakby lekko zadrżała, a potem zaczęła się turlać z powrotem do Heidi. Nancy dokładnie obejrzała materac, szukając nachylenia, ale wszędzie wydawał się płaski i gładki.

Heidi tymczasem złapała kolorową kulę i ponownie ją odepchnęła. Dokładnie powtórzyła się sytuacja poprzednia: piłka oddaliła się na około 25 cm, zadrżała i ruszyła w powrotną drogę do dziecka, które chichotało zachwycone zabawą.

– Apróbujemy na dywanie – powiedziała Nancy, podnosząc dziecko pod paszki i wyciągając z łóżeczka.

Posadziła małą na dywanie rozłożonym na podłodze w saloniku.

Zanim jednakże wyjęła piłeczkę, nie mogła się oprzeć, żeby nie zrobić tego samego, co córka. Pchnęła zabawkę leciutko w podobny sposób i obserwowała, jak kula się toczy. Niestety, piłeczka zatrzymała się dopiero, gdy napotkała opór bocznej ścianki łóżka.

– Za mocno – mruknęła Nancy do siebie, ale w duchu pomyślała, że coś się za tym kryje.

Wzięła piłkę, położyła przed Heidi, stanęła z tyłu i czekała, co się wydarzy. Dziecko obróciło się do matki i podniosło na nią oczy z uśmiechem.

– Piłeczka – powiedziała Nancy. – Poturlaj piłeczkę do siebie.

Dziewczynka, jakby rozumiejąc dokładnie, co ma zrobić, odepchnęła od siebie piłeczkę i popatrzyła w ślad za nią z główką przechyloną na bok. Szmaciana kula osiągnąwszy zwykłą granicę zadrżała i potoczyła się z powrotem. Pies zwinęty dotąd w kłębek na sofie zerwał się na cztery łapy, skoczył do piłki i stanął, przed nią jak wryty. Uniósł pysk w górę i zawył.

Ani jedna z prób naśladowania Heidi, podejmowanych kolejno przez chłopców, Nancy i Johna, nie została uwieczniona powodzeniem. Mimo iż wszyscy bardzo się starali wprawić piłkę w ruch powrotny, nieposłuszna kula nie chciała się cofać i toczyła tylko w jednym kierunku.

Nancy pomyślała o przejętym psychiatrze z Wilmington i o tym, jak byłby teraz zdziwiony widząc, że uzdolnienia jego małej pacjentki wkraczają także w dziedzinę telekinezy. Dziecko potrafi myślał oddziaływać fizycznie na przedmioty. Sama Nancy nie miała do tego nigdy specjalnego daru.

Już posiadanie Heidi było rzeczą cudowną, a to, iż dziewczynka odziedziczyła niezwykle psychiczne talenty, stanowiło dodatkową premię. Nancy zastanawiała się, czy jej ojciec widząc, że córka ma takie same jak on umiejętności nawiązywania kontaktu ze zwierzętami, rozważał możliwość dalszego rozwoju tego jej daru. Podejrzewała, że mógł tak myśleć w duchu, ale głośno o tym nie rozprawiał, bo czasy nie sprzyjały takim wynurzeniom. Jednak otwarty umysł ojca i jego ciekawość świata z pewnością kazały mu brać pod uwagę taką ewentualność. Rodzice ani nie zniechęcali córki do dawania wiary zjawiskom paranormalnym, ani też otwarcie jej do nich nie zachęcali. W przypadku Heidi będzie zupełnie inaczej. Nancy pomoże jej zaakceptować ten dar, nauczy posługiwać się nim tak, aby nie przeszkadzał w życiu.

Drugim osobliwym przejawem zachowania Heidi było to, że odważnie poznając wszystko, co znajdowało się w obrębie dywanu na podłodze saloniku, nigdy nie chciała przekroczyć jego granicy. Chłopcy próbowali ją

zwabić na drewnianą podłogę, umieszczając poza zasięgiem rąk dziecka atrakcyjne zabawki; ale bez skutku. Dziewczynka nigdy nie doczołgała się dalej niż do krawędzi dywanu.

Wszyscy zachodzili w głowę, co jest powodem takiego zachowania skądinąd ciekawskiego brzdąca, ale dopiero po spotkaniu z Olgą Worrall Nancy pojęła, że wyjaśnienie jest bardzo proste. Heidi kierowała się nie wzrokiem, a dotykiem i czuła się bezpiecznie dopóki pod sobą miała coś miękkiego, co dobrze знаła.

Kiedy Nancy zbliżyła się do Olgi, uzdrowicielka poznała ją od razu i na widok otulonego w koc niemowlęcia uśmiechnęła się życzliwie. Wkrótce jednak jej uśmiech ustąpił wyrazowi troski, gdy spojrzała w oczy dziecka.

– Ten zez w jej oczkach to coś poważnego, nie możesz liczyć na to, że maleństwo z tego wyrośnie. Będzie potrzebna interwencja chirurgiczna i to możliwie szybko – dodała z naleganiem w głosie, patrząc Nancy prosto w oczy. – Operacja się uda i nie będzie potrzebny drugi zabieg, jeśli zastosujesz się do zaleceń lekarzy.

Nancy nie do końca zrozumiała sens ostatniego zdania wypowiedzianego przez Olgę, ale sałę opuszczała z uczuciem wdzięczności za radę. Była jednak przerażona i trochę przygnębiona koniecznością operacji. Malutka Heidi dopiero tak niedawno miała poważne kłopoty ze zdrowiem, teraz znów czeka ją poważny zabieg, a przecież pierwsze miesiące życia takich bezbronnych istot powinny upływać w radości i bez cierpień.

Podczas najbliższego kontrolnego badania Nancy poruszyła problem wzroku Heidi z drem Katzmanem. Pediatria obejrzał oczy dziecka i orzekł, że jeszcze za wcześnie na miarodajną opinię czy to wada wzroku, czy też brak koordynacji ruchów gałki ocznej, typowy dla wieku niemowlęcego. Postawienie ostatecznej diagnozy lekarz odroczył do następnego badania. Kiedy Nancy przyszła z Heidi na wyznaczoną wizytę w kwietniu, okazało się, że stan wzroku małej wyraźnie się pogorszył. Dr Katzman wypisał wtedy skierowanie do chirurga – oftalmologa, doktora Gordona Bussarda, praktykującego w Wilmington.

Okulista był bardzo wysokim mężczyzną, mierzącym co najmniej metr osiemdziesiąt, miał gęstą, ciemną czuprynę i miły sposób bycia. Nancy opowiedziałam o nietypowym zachowaniu córeczki. Lekarz stanął przed dzieckiem i wyciągnął z kieszeni dwie łopatki do przyciskania języka: jedną z wizerunkiem niedźwiadka, drugą z podobizną dziewczynki. Podsunął je Heidi. Mała zagaworzyła coś po swojemu i złapała tę z obrazkiem dziecka.

Dr Bussard uśmiechnął się i chciał wyjąć łopatkę z rączki Heidi, ale ona zaciskała mocno piąstkę. Lekarz musiał silnie pociągnąć. Przesunął łopatkę przed oczyma dziecka – w lewo, w prawo i jeszcze raz. Ale maleństwo zamiast podążyć wzrokiem za łopatką, wpatrywało się w twarz doktora. Łzy spływały dziewczynce po twarzy, ale z maleńkich usteczek nie wyszedł żaden dźwięk.

Okulista pokręcił głową z uśmiechem.

– Cóż, zdarza się i tak – powiedział. Potem oddał Heidi łopatkę, a z kieszeni wyciągnął drugą.

Po przeprowadzeniu szczegółowych badań dr Bussard orzekł, że wadę oczu da się usunąć operacyjnie. Jego zdaniem korekta mięśni oczodołów mogłaby spowodować ustawienie gałek ocznych w prawidłowym położeniu. Zabieg taki rokuje powodzenie, ale ryzyka nie można całkowicie wykluczyć:

– Zazwyczaj taką wadę usuwa się kompletnie dopiero po drugiej operacji, gdyż w miarę wzrostu dziecka rozwijają się również i mięśnie gałki ocznej. Ale w przypadku Heidi możemy spróbować jednego zabiegu. Będę musiał tylko zastosować korektę nadmiarową. Dopiero gdy to nie pomoże, pomyślimy o powtórnym podejściu.

Nancy, pomna przeprowadni Olgi, wyraziła zgodę na operację. Termin zabiegu ustalono na sierpień.

Ta wiosna przyniosła Nancy zaproszenie od dwóch ważnych organizacji policyjnych do wzięcia udziału w ich dorocznych konferencjach. W maju na zjeździe światowego stowarzyszenia ds. Identyfikacji – IAI zdarzyło jej się wygłosić najdziwniejszą przepowiednię w całej swojej karierze.

Zjazd odbywał się w pewnym hotelu w Dover, gdzie Nancy demonstrowała parapsychofizyczną wersję zabawy w chowanie przedmiotów. Publikę podzieliła na niewielkie grupki, które po kolei wychodziły z sali, kiedy ona ukrywała pewne drobiazgi. Pozostali mieli za zadanie wyobrazić sobie miejsce schowania poszukiwanych obiektów, a członkowie grupy szukającej musieli się starać dostroić do odebrania przekazu obrazów miejsca ukrycia. Takie ćwiczenia przekonywały oficerów, że intuicja może być cennym narzędziem w ich pracy. Nancy sprawdziła, iż prawdopodobieństwo odnajdywania ukrytych przedmiotów wynosi prawie 100%, a policjantów niezmiennie zaskakiwał fakt, że i oni mają uzdolnienia „parapsychofizyczne”.

Po tym pokazie Nancy została zaproszona na bankiet wydawany w apartamencie gości i choć nie piła, a dym tytoniowy dusił ją i wywoływał ataki kaszlu, chętnie przyjęła zaproszenie, bo lubiła towarzyskie spotkania policjantów.

Apartament był zatłoczony po brzegi i – tak jak się Nancy obawiała – gęsta chmura dymu wisiała w powietrzu. Kiedy tylko weszła do pokoju, przez zbitą ciżbę przepchnął się do niej sierżant John D. Heverin ze stanowego biura identyfikacji, ten, który zaproponował jej prowadzenie ćwiczeń na zjeździe. Pociągnął ją za sobą w kąt pokoju, żeby jej przedstawić jakiegoś agenta FBI.

– Nancy, pozwól zaprezentować sobie Paula Bella. Pracuje w FBI.

Nancy czując, że coś się święci, uśmiechnęła się ostrożnie, a Paul w odpowiedzi kiwnął głową. Sprawił na niej wrażenie wyrozumiałego i przystępnego. Przeszło jej przez myśl, że te cechy jego charakteru z pewnością przydają mu się w pracy. Gdy wymieniali powitalny uścisk dłoni, oczyma duszy ujrzała go w otoczeniu rodziny.

– Paul chciałby ci zadać pewne pytanie – powiedział Heverin.

– Proszę bardzo.

– Myślę, że gdybyś mi mogła powiedzieć, jaka będzie moja następna interesująca sprawa to ... Jeśli naprawdę potrafisz to przepowiedzieć... Może miałbym dużo więcej zaufania do tego... Hm... – agent szukał właściwego słowa.

Nancy postanowiła nie ułatwiać mu zadania, a on w końcu dał za wygraną i nie próbował dokończyć zdania. Zaczął od początku: – to jakie dane będą ci potrzebne, żebyś mogła przepowiedzieć mi przyszłość?

– No cóż, jeśli rzeczywiście potrafisz to... – udawała, że tak jak i Paul szuka odpowiedniego słowa – ... Nie muszę mieć dodatkowych danych, nie sądzisz?

Wszyscy obecni przy rozmowie parsknęli śmiechem, a i Ben pozwolił sobie dać upust wesołości i wyszczerzył zęby w radosnym grymasie.

Nancy obawiała się trochę, że nie będzie w stanie pracować w zatłoczonym zadymionym pomieszczeniu, przepelnionym natłokiem wrażeń i donośnych głosów. Ale w miarę jak do uszu coraz większej liczby ludzi docierała wieść o przeprowadzonym eksperymencie, hałas zamierał. Nancy wysłała strumień myśli do umysłu agenta i od razu odebrała przerażająco realistyczny i pełen grozy przekaz.

Z hotelowego pokoju została przeniesiona gdzieś poza miasto. Była w nieznannej okolicy; na bezchmurnym niebie świeciło jaskrawe słońce. Na jakimś trawiastym placyku przypominającym obszerne dziedziniec zobaczyła stosy martwych i gnijących ludzkich ciał. To nie może być prawda, pomyślała.

Gdzieś w odległym świecie, który opuściła, a dokąd pragnęła natychmiast powrócić, zabrzmiały jej własne słowa:

– To zbiorowe zabójstwo, okrutne i dokonane przez jedną osobę.

Nie chciała wdawać się w szczegóły, ale któryś z licznie zgromadzonych wokół niej policjantów zasypał ją pytaniami, zadanymi nagłym do odpowiedzi tonem:

– Zbiorowe zabójstwo? O czym pani mówi? Ile trupów? Dwa? Trzy ciała?

Nancy znów powróciła duchem do hotelowego pokoju.

– Tam są setki zwłok – odpowiedziała.

Bell nie wierzył własnym uszom.

– Setki zwłok?! – powtórzył słowa Nancy głośniejszym niż zamierzał.

Nancy uświadomiła sobie, że w pokoju zapanowała cisza jak makiem zasiał, a oczy wszystkich skierowane są na nią.

– Tyle ofiar naraz? – pytał dalej Bell.

– Tak. Wszyscy oni zginęli mniej więcej w tym samym czasie.

– Co było przyczyną śmierci?

– Uduszenie się.

– Ilu sprawców?

Ta sama okropna scena pojawiła się w jej umyśle, ale tym razem spośród stosu trupów wylonila się wyraźnie jedna twarz. Twarz mężczyzny o przeciętnym wyglądzie, powyżej trzydziestki. Człowiek ten miał ciemne włosy i pełne szaleństwa oczy. Obraz jego twarzy zaczął rosnąć i rosnąć, aż przesłonił całą poprzednią scenę i całkowicie wypełnił umysł Nancy. Zimny dreszcz przebiegł jej po grzbiecie. Zebrała siły, żeby się oderwać od tej wizji i wrócić do rzeczywistości.

Spojrzała na Bella.

– Tylko jeden sprawca.

– Jak jeden sprawca mógł udusić jednocześnie setki ludzi? – obruszył się agent. – Jedna osoba nie może przecież bezkarnie udusić takiej dużej grupy! Jak to możliwe, że nie znalazł się nikt, kto by uciekł i udał się po pomoc?

– Istotnie – przyznała Nancy – To jest tak irracjonalne, że chyba muszę się mylić. Ale tak właśnie to widziałam. *Stosy ciał w palącym słońcu. Jakieś stoły i trupy wokoło. Wśród nich są też martwe dzieci. To okropne. Tylko tyle widzę. I ta cisza. Panuje tam całkowita cisza. Nie słychać nawet wiatru.*

Rozejrzała się po pokoju, ogarnęła wzrokiem twarze policjantów, którzy chłonęli jej słowa. Nagle poczuła się jak wystawiona na widok publiczny.

– W tym rzeczywiście, chyba nie ma sensu – powiedziała na koniec. – Nie wiem doprawdy, jak ktoś byłby w stanie udusić tych wszystkich ludzi. To jakaś szalona wizja. Muszę się mylić. Na pewno się mylę.

Po tym oświadczeniu w pokoju dało się odczuć wyraźne odprężenie, kiedy jednak podjęto rozmowy, Bell spojrzał na Nancy i rzucił:

– Wiesz co, jak będzie trzeba, to zabiorę się i za taką cholerną sprawę.

Półtora roku później Nancy odebrała telefon od Paula Bella; wprowadzić się nie przedstawił, ale poznała go, kiedy powiedział:

– Nie pozwól mi nigdy więcej pytać cię, jaka będzie moja następna sprawa.

Był już wówczas listopad 1978 roku i Bell dzwonił ze specjalnego hangaru bazy sił powietrznych w Dover. Kilka dni wcześniej duchowy przywódca sekty, nazwiskiem Jim Jones, nakazał swoim wyznawcom wypić napój zaprawiony cyjankiem potasu, czego skutkiem było największe zbiorowe samobójstwo, jakie zna historia. Tragedia miała miejsce w Ameryce Południowej, ale większość wyznawców stanowili obywatele Stanów Zjednoczonych, więc rząd USA miał obowiązek sprowadzić ich ciała do kraju. Specjalna kostnica, używana poprzednio do przechowywania ciał żołnierzy poległych w Wietnamie, została przeznaczona obecnie do składowania ciał ofiar mordu w Jonestown.

Nancy także, jak każdy Amerykanin, słyszała i czytała o tak zwanej masakrze w Jonestown. Gdy w wiadomościach telewizyjnych pokazano widok ogólny tego miejsca, rozpoznała je natychmiast. Ale dopiero z rozmowy z Paulem Bellem dowiedziała się, że właśnie jemu przydzielono sprawę identyfikacji zwłok.

– Nancy, wiesz jak zabija cyjanek potasu? – spytał Bell.

Nie miała pojęcia.

– Paraliżuje układ oddechowy – wyjaśnił. – Ofiary się duszą.

Parę tygodni po zjeździe IAI Nancy znów znalazła się przed audytorium detektywów, tym razem w Brandywine Sheraton, na północ od Wilmington. Jej słuchaczami byli oficerowie zajmujący się wykrywaniem sprawców morderstw, którzy zjechali się tutaj z całego świata na seminarium Francisca G. Lee, sponsorowane przez uniwersytet harwardzki i uniwersytet stanowy w Maryland. Jedno z zadań prestiżowej organizacji zwanej w skrócie HAPS, będącej ogniwem współpracy policji ze środowiskiem naukowym, polegało na udzielaniu pomocy w wykrywaniu przestępstw przez udostępnienie pewnych najnowszych odkryć laboratoryjnych i naukowych.

Dzień, w którym Nancy miała wystąpić na seminarium, był słoneczny i skwarny. Sprawiała sobie na tę okazję nową kreację, ale zanim swoim starym, nie mającym klimatyzacji Fordem pokonała trasę z Newark do Sheraton, suknia się wymięła, a samopoczucie Nancy ogromnie się pogorszyło. Czuliła się spocona, zaniedbana i oblatywał ją strach przed widowiskiem trudną i – jak sądziła – złożoną w dużej mierze z cyników.

Spoglądając z pewną obawą na przeszło dwustu zebranych policjantów – surowych oficerów o kamiennych twarzach – zaczęła swoją pogadankę od opisanego sposobu, w jaki została zwerbowana przez pułkownika Smitha. Kiedy szczegółowo zrelacjonowała metodę „uprzejmego wiercenia dziury w brzuchu”, nazywając ją policyjnymi ceregielami, wywołała salwę śmiechu. Odprężyła się nieco. Potem przystąpiła do omawiania przypadków, w rozwiązywaniu których współuczestniczyła. Określała stosowane przez siebie techniki, wskazując te przydatne i charakteryzując inne, nierokujące, jej zdaniem, powodzenia. Przytaczając porażki i sukcesy, potwierdziła ograniczenia przydatności informacji pozyskiwanych drogą paranormalną z jednoczesnym podkreśleniem, że jeśli metoda zadziała, policja zyskuje unikatowego świadka. Niestety takiego, którego świadectwo nie zostałoby uznane przez sąd. Słowem – świadka niemego. To określenie również wywołało uśmiechy na twarzach policjantów. Do chwili, póki Nancy nie zaproponowała prezentowania psychometrii, atmosfera na sali była wyraźnie rozluźniona, a słuchacze okazywali zainteresowanie tematem.

Sytuacja uległa jednak zmianie, kiedy Nancy poprosiła o zgłaszanie się do eksperymentów na ochotnika. Oficerowie, którzy dotychczas powodowani ciekawością wychylali się w fotelach swobodnie do przodu, nagle prostowali się, uciekając wzrokiem w bok, byle nie patrzeć prelegentce w oczy. Ani jedna ręka nie uniosła się do góry.

– Proszę, proszę, mamy dziś wielu odważnych – zażartowała Nancy.

– Tutaj jest jeden – odezwał się jakiś facet z prawej strony. – Mój towarzysz ma ochotę.

Gruchnął śmiech i bardzo szybko z całej sali posypały się różne propozycje. Policjanci ochoczo zgłaszali na ochotników swoich kolegów.

– O nie, panowie – zaprotestowała Nancy. – Nie ma tak dobrze. Sami się macie zgłaszać.

– Wobec tego ja będę pierwszy – powiedział jakiś starszy mężczyzna z pierwszych rzędów.

Był to Martin M. Puncke, zwany Mattem, emerytowany major policji stanowej w Maryland.

Umilkły okrzyki, na sali zapanowała cisza. Nancy patrzyła, jak policjant ponad głowami siedzących przed nim słuchaczy podaje swój pierścień z czarnego onyksu ozdobiony diamentem.

Rzuciwszy okiem na grupę ludzi sąsiadujących z majorem, Nancy spytała, czy go znają i będą mogli ocenić prawdziwość jej informacji. Kilku mężczyzn kiwnęło głowami.

Zamknęła w dłoni ciężki pierścień i niemal natychmiast ogarnęła ją fala ciepła i uczucia wielkoduszności. Skierowała wzrok na salę i charakterystykę majora rozpoczęła słowami:

– Wrażliwy i opiekuńczy. Pierścień należy do osoby, która niesie bliźnim pomoc, nawet jeśli przy tym mogłaby wystawić się na niebezpieczeństwo. Dla tego człowieka słowo „humanizm” kryje w sobie prawdziwe treści.

Ta kwestia spotkała się z potakiwaniem ze strony znajomych majora, a z lekkim rumieńcem samego zainteresowanego, choć w ostrym sztucznym świetle nie było tego widać wyraźnie.

– Są to cechy, po których każdy, kto zna majora, może go rozpoznać, lecz on sam nigdy ich nie wystawia na pokaz i wolałby zapewne, aby pozostały w cieniu. To co robi, czyni nie dla poklasku, ale z wewnętrznej potrzeby, nic w zamian nie żądając. Jest blisko związany z rodziną, która jest dla niego bardzo ważna – ciągnęła Nancy. Przerwała na moment i dodała: – to znaczy na drugim miejscu, tuż po pracy.

Znów kiwanie głowami i śmiech.

– Jednakże, biorąc nawet pod uwagę pańskie humanitarne poglądy – zwróciła się do majora – nie chciałabym być przestępcą ściganym przez pana. Jest pan wytrwałym, upartym śledczym, takim, co nigdy nie daje za wygraną.

Potem, patrząc wnikliwie na obiekt swego eksperymentu, poczuła nagłą pewność, że człowiek ten niebawem zostanie wyróżniony.

– Pańska humanitarna postawa i wyniki pracy wkrótce zostaną nagrodzone – oznajmiła.

Niemal natychmiast siedzący tuż za majorem policjant zaczął sprawiać wrażenie wielce poruszonego. Wbił w Nancy wzrok, jakby chciał ściągnąć na siebie jej uwagę. Ona zauważyła wprawdzie uporczywe spojrzenie, ale była tak skupiona na charakteryzowaniu swego obiektu, że po prostu zignorowała wyraz twarzy podnieconego policjanta.

– W zasadzie, nagroda zostanie wręczona panu już niedługo – ciągnęła. – powiedziałabym ...

Słyszając te słowa, podenerwowany facet zerwał się z fotela i ją wymachiwać rękoma, jakby Nancy była odrzutowcem chcącym wylądować na tonącym lotniskowcu. Ta gestykulacja była tak dramatyczna i niespodziewana, że Nancy urwała w pół zdania. Nie wiedziała jak dokończyć. Kanał odbioru przekazu na temat osoby Matta Puncke został raptownie przerwany.

Na szczęście te gwałtowne gesty zwróciły także uwagę majora i Nancy zyskała nieco czasu na pozyskanie nowej porcji informacji.

– Projekt, nad którym pracuje pan od dłuższego czasu, jest bliski ukończenia. Osiągnie pan sukces.

Puncke uśmiechnął się i podszedł do Nancy, a ona oddała mu pierścień. Major złożył jej podziękowanie, a potem na tyle głośno, by usłyszała większość zebranych, powiedział:

– Pani jest w tym naprawdę dobra.

Słuchacze zaczęli klaskać, a Puncke rozejrzawszy się wokół spytał:

– No chłopaki, który następny?

Po zakończonej prezentacji poproszono Nancy późnym popołudniem o ponowne zajęcie miejsca przed audytorium. Gospodarz imprezy podziękował jej za przedstawienie eksperymentów i oznajmił, że ma dla niej prezent.

– Tkwi w tym jednak pewien haczyk – dodał.

– Tak?

– Musi pani odgadnąć, co to jest.

Równocześnie podał jej jakiś prostokątny pakiecik. Natychmiast usłyszała w duchu słowo *plate** i bez namysłu powtórzyła je do mikrofonu.

Sala wybuchła aplauzem. Ludzie klaskali nawet wówczas, gdy Nancy próbowała skorygować jej zdaniem błędnie odczytany przekaz.

– Ależ, co też ja mówię – tłumaczyła się. – To przecież nie może być talerz*; paczuszka nie jest okrągła.

Aplauz przerodził się w wybuch wesołości. Nancy oblała się rumieńcem zażenowania jak ktoś, kto rzekomo powiedział coś zabawnego, ale zupełnie nie wie co. Ale w następnej sekundzie sprawa się wyjaśniła. Pakiecik zawierał specjalną, dekoracyjną legitymację policyjną (**nieprzetłumaczalna gra słów. Ang. Plate = talerz, license plate = tu: legitymacja policyjna. Przyp. Tłum.*), opatrzoną pieczęcią i wystawioną na jej nazwisko.

Był to model legitymacji zarezerwowanej zwykle dla wyższych funkcjonariuszy policji. Ten fakt nappełnił Nancy uczuciem głębokiej satysfakcji. Przesłanie było wyraźne: *jesteś jedną z nas*.

Opanowując falę przepelniających ją emocji, powiedziała:

– Widzicie, jak logika potrafi człowiekowi zawrócić w głowie?

Nancy wygłosiła później wspaniałą mowę. Tak przekonywującą, że nawet pełen wątpliwości detektyw ze stołecznej policji w Waszyngtonie znalazł się o krok od uwierzenia w paranormalne uzdolnienia Nancy. Ten sceptyk o nazwisku Otis Fickling był wschodzącą gwiazdą wśród oficerów dochodzeniowych rozwiązujących zagadki morderstw. Podczas ośmiu lat pracy on i jego partner, Ronald Ervin, osiągnęli 97% wskaźnik spraw zamkniętych. Porywczy i podejrzliwy Fickling, którego sceptycyzm uwidaczniał się cały czas podczas prezentacji, w tej chwili wyraźnie się wahał, choć nie sprawiał wrażenia całkowicie przekonanego.

Kiedy Nancy opuszczała salę, Fickling z grupą przyjaciół zastąpił jej drogę. Detektyw trzymał w ręku gazetę, na jego twarzy malował się wyraz determinacji, ale nic nie mówił.

– No, Otis, dalej, spytaj ją – ponaglił go stojący przy nim mężczyzna.

– O co chce mnie pan spytać?

Jednak relacja całej sprawy nie wyszła z ust Ficklinga, lecz od otaczających go policjantów. Kawałek po kawałku opowiedzieli Nancy, że HAPS sponsoruje wieczorne wyścigi koni na torze w Brandywine. Wielu uczestników zjazdu wybiera się na tę imprezę i oni... Cóż, zastanawiali się, czy Nancy by mogła ... Czy by chciała im powiedzieć ...

– Wytypować zwycięskie konie? – spytała Nancy.

– To był pomysł Otisa – tłumaczył się jeden z mężczyzn. – On sądzi, że może się pani uda trafić, skoro potrafi pani powiedzieć to wszystko o nieznanymi ludziach. Ma ochotę postawić forszę na tym wyścigu.

– Nie chcę typować koni, jeśli ktoś będzie ryzykował pieniądze – odparła Nancy. – A jeśli przegra? Okropnie się wtedy pocuję.

– Ja będę stawiał tak czy siak i liczę się z przegraną – rzekł Fickling, który nareszcie przepchał się na przód grupy. – A jak mi pani coś podpowie, to przynajmniej będę miał większe szanse.

Nancy wyczuła od razu, że policjant mówi szczerze, ale to nie jego argumenty skłoniły ją do podjęcia decyzji. Sprawiała to ciekawość i uczucie pewnego wyzwania.

Wbrew podszeptom głosu wewnętrznego, że to, co robi, jest okropnym błędem, Nancy poprosiła o listę wystawianych na wyścigu koni. Otis, jakby w obawie, żeby się nie rozmyśliła, pospiesznie wcisnął jej w rękę gazetę złożoną uprzednio na odpowiedniej stronie.

Nancy wbiła wzrok w drobny druk listy wystawianych koni, nie bardzo wiedząc, czego ma oczekiwać. Ku swemu zdumieniu zauważyła nagle, że wyrazy składające się na nazwę Au Claire Fury nieco urosły i zaczęły się wyróżniać grubością czcionki.

– Ten koń wygra – rzekła, wskazując palcem końskie imię.

Fickling łypnął spode łba na pokazaną pozycję, ale nie odezwał się ani słowem.

– Sądzi pan, że się mylę? – spytała Nancy.

– Nie sądzę, ja to wiem.

– A skąd ta pewność?

Otis przesunął palcem wzdłuż wykazu koni, zatrzymując go na pozycji siódmej.

– To jest pewniak i startuje w obstawianej przez nas siódmej gonitwie – powiedział.

Nancy rzuciła okiem na widniejącą w tym miejscu nazwę konia i oczyma duszy ujrzała tego czworonoga spletanego w stajni. Wokół niego krzątało się kilku mężczyzn; sprawdzali właśnie jego prawą nogę.

– Istotnie, byłby faworytem, ale dziś nie pobiegnie – wyjaśniła.

Fickling zerknął na nią z niedowierzaniem.

– Ma lekką kontuzję nogi i jego właściciel nie chce ryzykować. Ten koń jest zbyt cenny.

Nancy czuła, że oficer nadal jej nie wierzy. *Ale baba zalewa*, usłyszała w myślach. Jednak na głos detektyw powiedział:

– Cóż, jeśli istotnie ten koń dziś nie pobiegnie, to i tak jest inny lepszy od Au Claire – wskazał kolejne końskie imię.

– Być może, ale ten biedak nie będzie w formie po fatalnie spędzonej nocy – rzuciła Nancy. Sama była zdumiona pewnością brzmiącą we własnym głosie.

Kiedy raz jeszcze wpatrzyła się w drobny druczek, spostrzegła, że wyrazy podane na pozycji pierwszej zaczynają się wyróżniać w podobny sposób, jak poprzednio imię Au Claire. Powiedziała otaczającym ją policjantom, że koń o tej nazwie przybędzie drugi na metę. Pozostałe imiona z wykazu koni nie wywołały u Nancy żadnej reakcji.

Fickling wcale się nie wysiłał, żeby ukryć niewiarę. Próbował jeszcze polemizować z Nancy, ale na szczęście dla niej nadeszło dwóch przedstawicieli organizatorów zjazdu z zaproszeniem na bankiet, który miał się odbyć nazajutrz po wyścigach. Nancy musiała błyskawicznie podjąć decyzję – ze względów grzecznościowych powinna być na przyjęciu, ale obawiała się trochę, co ją może spotkać, jeśli błędnie wytypowała konie.

W końcu, nie mogąc wymyślić sensownej wymówki, zgodziła się uczestniczyć w bankiecie, jeśli uda jej się załatwić opiekę dla dzieci.

Kiedy dotarła do swego Forda, bezsilnie opadła na fotel. Spotkanie było wspaniałe, ale niezmiernie wyczerpujące. Policjanci, przyzwyczajeni do ukrywania tego, co myślą, nie są wdzięcznymi partnerami do rozmów, a w dodatku jej reputacja zawisła od wyniku wieczornej gonitwy. Po co się dała namówić na to ryzykowne typowanie koni?! Tyle dobrej pracy wykonała do tej pory, a jeśli teraz noga jej się powinie i źle przewidziała rezultat wyścigu, to z pewnością dawne zasługi pójdą w zapomnienie, a wszyscy pamiętać będą tylko tę ostatnią pomyłkę. Tak, jeśli się pomyli, to...

Nie chciała nawet o tym myśleć. Wiedziała, że to chwilowa apatia. Zawsze po wysiłku i napięciu, jakie dawał podczas pracy zwiększony poziom adrenaliny we krwi, następował kryzys sił. Westchnęła ciężko i uruchomiła silnik. *Jeśli źle wytypowałam konie, noga moja nie postanie na tym cholernym bankiecie!* Powiedziała w duchu, uświadamiając sobie jednak, że chowanie głowy w piasek nie jest przecież w jej stylu. Trafiała czy nie, na bankiet i tak pójdzie.

Ten wieczór włókł się Nancy bez końca, a w nocy nie mogła zasnąć; przewracała się na łóżku i rzucała w pościeli. Wydawało jej się, że tratują ją końskie kopyta, albo że musi odsiedzieć w więzieniu karę za błędne wytypowanie konia. W końcu dała za wygraną; przestała się zmuszać do snu i przeszła do saloniku poczytać książkę. Po jakimś czasie zdrzemnęła się w fotelu. Obudził ją ciepły dotyk promieni słońca, sączących się przez zasłony w saloniku. Zaraz potem za oknem na trawniku wylądował rzucony przez gazeciarza rulonik dzienników.

Nancy wypadła przed dom, złapała gazetę i po raz pierwszy w życiu nie poświęciła cienia uwagi tytułowej stronie, a rzuciła się zachłannie na dział sportowy. Jęła szukać wyników wyścigów, a potem rezultatów siódmej gonitwy. To samo imię, które wczoraj w spisie koni jedynie w jej oczach wyróżniało się większymi literami i grubą czcionką, teraz w gazetowej kolumnie uwypuklono w sposób tradycyjny i widoczny dla wszystkich: Au Claire Fury – zwycięzca siódmego biegu. Wypłata wygranych: jeden do osiemnastu. Nancy przemknęła wzrokiem po wykazie zwierząt wystawionych w tej gonitwie, szukając imienia konia, którego start, według jej zapowiedzi, miał zostać odwołany. Istotnie, nie było go na liście.

Po raz pierwszy od minionego popołudnia poczuła prawdziwe odprężenie. Teraz poganiała czas i nie mogła się doczekać bankietu.

Kiedy przybyli Andersonowie, sala zaczynała się właśnie zapełniać. Zaraz po ich wejściu do holu zastąpił im drogę oficer policji stanowej Delaware, z którym Nancy kiedyś pracowała, i wręczył jej jakiś terminarz.

– To od twoich przyjaciół, Nancy. Spotkania na całe lato – wyjaśnił.

Po otwarciu książki zaskoczona Nancy ujrzała szczerze wypełnione nazwiskami rubryki na wszystkie letnie weekendy, a każde spotkanie opatrzone było identyczną adnotacją: „Brandywine – wyścigi”.

Tymczasem dokoła zgromadziła się spora grupa policjantów, a Nancy podniósłszy pytający wzrok stwierdziła, że gwar ucichł i niemal wszystkie oczy utkwione są w jej twarzy. – oczywiście, twój udział do uzgodnienia – dodał oficer. To oświadczenie zebrani skwitowali śmiechem i oklaskami.

– Radziłbym zacząć od zasadniczej rozmowy z pewnym, znanym nam wszystkim, detektywem z Waszyngtonu – dorzucił ktoś z boku. – Podobno nieźle wyszedł na wczorajszych zakładach.

– Właśnie, właśnie. A gdzie to podziewa się pan Fickling? – spytała Nancy tonem dającym do zrozumienia, że dla tego pana byłoby lepiej, gdyby się szybko znalazł.

– Uciekł, gdzie pieprz rośnie! – podsunął usłużnie jakiś głos.

Gdy umilkła wesołość, jakiś nieznaną Nancy policjant, wskazując gestem salę bankietową wyjaśnił, że widział, jak Otis z żoną wchodził do środka. Andersonowie także udali się w kierunku wejścia na salę.

U samych drzwi stał Irvin Smith, olśniewający, w paradnym mundurze, z piersią obwieszoną medalami. Promieniał.

– Słyszałem, że odwaliałaś wczoraj kawał dobrej roboty – powitał ją.

– Nie wiem, czy typowanie fuksów na konnych wyścigach można nazwać dobrą robotą, ale chyba udało mi się przekonać do siebie wiele osób – odparła.

– Jasne, że ci się udało! – wykrzyknął pułkownik. – Czy wiesz, że po siódmej gonitwie telefon się do mnie urywał? Wszyscy ci faceci chcieli, bym ich do ciebie skierował, mieli ochotę na dalsze zakłady, oczywiście, typowane przy twojej pomocy.

– Dzięki, że nie zadzwoniłeś – kiwnęła głową.

Oboje roześmiali się. Nancy cieszyła się, oczywiście, ze zdobytego uznania. Wiedziała, że Smith musiał znosić wiele drwin kolegów z innych stanów, natrząsających się z jego „wiary w czary”, doznawała więc teraz dużej satysfakcji, iż go nie zawiodła.

– Do nas! Tutaj! – usłyszała z głębi sali. Rzuciwszy okiem w tamtą stronę ujrzała Otisa Ficklinga machającego ku nim energicznie rękoma. – Tutaj! Chodźcie. Zająłem wam miejsca. Siadajcie z nami.

Wydawało się wprost niemożliwe, że to ten sam niedowiarek z Waszyngtonu, którego poznała trochę ponad dobę temu. Większość miejsc przy stolikach była już zajęta, więc Andersonowie zdecydowali dosiąść się do Ficklingów.

– Witajcie! Trzymam te miejsca cały wieczór – rozpromienił się Otis. Przedstawił im swoją żonę i natychmiast zaczął rozprawiać na temat wyścigów.

Rozdział dziewiąty

Shallcross Avenue 1002

W lutym, mniej więcej w rok po napadzie na Jacka White'a, ekipa Carla doprowadziła do ujęcia sprawy. Doszło do tego przy okazji aresztowania pięcioosobowego gangu działającego na terenie Middletown. Okazało się, że członkowie tej bandyckiej grupy oprócz brutalnego pobicia Jacka, odpowiedzialni są ponadto za kilka morderstw, rozbojów z bronią w rękę, włamań i kradzieży.

Ich ataki charakteryzowały się szczególnym bestialstwem. Z zimną krwią zastrzelili pewnego kierowcę, kiedy usiłując się im wymknąć, stanął przed czerwonym światłem. Innym razem, na oczach żony bandyci oddali dwa strzały w pierś jej męża, który podczas włamania usiłował stawiać im opór.

Nancy, pracując po raz pierwszy nad tą sprawą, opisała trzech domniemych napastników. Jednak dwaj z nich zostali później zidentyfikowani przez Sacco nie jako bandyci, a szkolni koledzy Jacka, którzy odwiedzili go na stacji benzynowej na krótko przed napadem. Portret pamięciowy trzeciego podejrzanego nie został nigdy sporządzony z powodu błędu, jaki Nancy popełniła w stosunku do dwóch poprzednich mężczyzn, biorąc ich za przestępców. Ale podany przez nią opis potężnego, muskularnego mężczyzny ze złamanym nosem pasował do niejakiego Leonarda Jenkinsa. Myliła się tylko twierdząc, że skóra tego człowieka jest biała.

Trzydziestoletni Jenkins, pracownik zakładu energetycznego, został postawiony przed sądem pod zarzutem napadu, głównie na podstawie informacji przekazanych policji przez innego członka gangu, Clifforda D. Johnsona.

Johnson zeznał, że Jenkins przyszedł do niego w noc napadu na White'a i pokazał mu pieniądze owinięte w jakieś poplamione krwią opakowanie. W sprawozdaniach z procesu, zamieszczonych w gazecie lokalnej, cytowano zeznania Johnsona obciążającego Jenkinsa; według tych relacji Jenkins zwierzył się kumpłowi, że pieniądze odebrał jakiemuś małolatomu na stacji benzynowej, którego – jak mówił – przyduślił, skopał i sprzął pistoletem. To świadectwo zgodne było z doznaniem Nancy, jakich doświadczyła na stacji benzynowej. Czuliła wówczas ciosy w twarz zadawane czymś metalowym. Interesującą okolicznością było również i to, że już na samym początku sprawy, podczas pracy z mapą, Nancy wskazała taki rejon Wilmington, w którym stał dom oskarżonego.

Jenkins został uznany winnym zabójstwa pierwszego stopnia, rozboju i posiadania niebezpiecznej broni podczas popełniania przestępstwa. Wymierzono mu karę dwa razy po trzydzieści lat.

Ujęcie gangu z Middletown i uzyskanie wyroku skazującego za podpalenie było niewątpliwym sukcesem ekipy do specjalnych zadań, jednak brak rozwiązania sprawy zniknięcia Susie Spahn nie dawał jej członkom spokoju przez cały 1977 rok. W listopadzie 1976 roku w wizji dotyczącej przypadku zaginięcia Susie Nancy odebrała przekaz określający, że „ciało zostanie odnalezione, kiedy resztki pierwszego w roku śniegu będą leżały na ziemi”. Carl sądził wówczas, że nastąpi to na początku roku 1977, zdaniem Grega sprawa mogła się odwlec do następnej zimy. Wprawdzie ostatnio Nancy uściśliła tamten przekaz, określając dokładniejszy termin – miał to być początek 1978 roku – ale Carl nie chciał czekać bezczynnie. Pierwszy śnieg roku 1977 zastał członków jego grupy wytrwale przeszukujących miejsca, które odpowiadały opisom w wizji Nancy. Ludzie nie dali za wygraną nawet i wówczas, gdy po całkowitym stopnieniu owego pierwszego śniegu zwłoki dziewczyny nadal pozostawały w ukryciu.

Nancy już dawno doszła do wniosku, że Carl Williams jest tak wspaniałym detektywem głównie ze względu na swój emocjonalny stosunek do ofiar. To właśnie było paliwem napędowym jego działań i motorem jego skuteczności. Nieludzkie pobicie Jacka White'a, jeden z najbardziej wstrząsających przypadków w karierze Carla, ogromnie go wzburzyło, a zniknięcie młodej studentki nurtowało go teraz bez ustanku.

Nierzadko on, Greg lub Kitty dzwoniли do Nancy w związku z nowymi domysłami odnośnie do lokalizacji jakiegoś miejsca, które zdawało się odpowiadać charakterystyce znanej z przekazu. Nancy, w miarę możliwości, starała się dopasować swoje zajęcia tak, by móc towarzyszyć przyjaciółom w przeprowadzaniu wizji lokalnej, ale często kończyło się na rozmowie i oni sami wyruszali szukać zalesionego terenu w pobliżu jakiegoś parku czy rezerwatu i czegoś, co miałoby związek z nazwą: *Brandywine*. Według słów Nancy, na granicy lasu miał leżeć jakiś starannie utrzymany trawnik; widziała wówczas także oczyma duszy duże skały z nagryzłymi napisami, a opodal częściowo zagrzebane w ziemi ciało. W pewnej odległości słychać też było ponoć warkot niedużych silniczków.

Pewnego wczesnowiosennego popołudnia Nancy, wracając z Wilmington, zatrzymała samochód przed domem Williamsów. Carl, obecny u przyjaciela Greg, a zwłaszcza Kitty, uznali jej przyjazd za symptomatyczny i znaczący, jako że zjawiała się właśnie w chwili, gdy mieli do niej zadzwonić. Kitty, nie zważając na protesty przyjaciółki utrzymującej, że jej przybycie akurat teraz jest przypadkowe i że bywa przecież u nich trzy, cztery razy w tygodniu – była przeświadczona, iż obecność Nancy dodaje wiarygodności najnowszej teorii odnoszącej się do miejsca położenia zwłok Susie.

Ostatnie ich przypuszczenia zakładały, że część wizji Nancy mówiąca o śniegu mogła oznaczać, że ciało zostało schowane w pobliżu magazynu na sprzęt do odśnieżania. Nancy od razu wiedziała, że to niemożliwe, ale Carl nie chciał z góry wykluczać żadnej ewentualności.

– To co mówiłam, naprawdę oznaczało, że dziewczyna nie zostanie znaleziona przed początkiem następnego roku – protestowała Nancy.

– A jeśli się myliłaś? Żle interpretowałaś? Już ci się to przecież zdarzało.

– Istotnie. Ale w tym wypadku wiem, o co chodziło w wizji – odparła. – Ty po prostu nie możesz pogodzić się z faktem, że sprawa Susie tak długo pozostanie nie wyjaśniona.

– Nancy, ustąp nam jeszcze tylko tym razem – poprosił Carl.

Musiała się uśmiechnąć i razem z nimi wsiadła do samochodu kierującego się na północ, ku Wilmington. Wynik wyprawy do magazynu był dla Nancy z góry przesądzony, ale jakoś jej to nie przeszkadzało. Nauczyła się już do tej pory, że metodyczne i żmudne sprawdzanie najdrobniejszych, nawet z pozoru absurdalnych poszlak – to nieodłączna część pracy policyjnej. Nierzadko logika domysłów staje się jasna dopiero po ich wydobyciu na światło dzienne.

Innym razem Greg i Carl doszli do wniosku, że może wzmianka Nancy o śniegu odnosiła się do ulicznej, obiegowej nazwy heroiny, wybrali się więc razem do dzielnicy Wilmington znanej z handlu narkotykami. Okazało się jednak, że i ten trop wiedzie donikąd.

Greg umawiał się też z Nancy w dyskotecę, tej, w której Susan widziana była po raz ostatni. Oboje spędzili tam kiedyś niemal cały dzień, usiłując raz jeszcze prześledzić w wizjach noc zniknięcia dziewczyny. Rezultaty tego badania zaprowadziły ich na polną drogę biegnącą wśród pól usianych gdzieniegdzie kępami gęstego lasu. Wąska i kręta droga wysypana była tłuczniem.

Skoro tylko zjechali z autostrady, Nancy wyraziła zdziwienie, jak szybko gęsta, handlowa zabudowa miejska przerodziła się w długie połacie odludnych terenów. Droga wznosiła się i opadała, gubiła w zakrętach, więc samochód, zwłaszcza jadący nocą, z łatwością mógł niepostrzeżenie skrócić do lasu. W świetle dziennym zielone pola, stada pasących się krów i rozrzucone z rzadka farmy hodowli koni stwarzały poczucie pewności i bezpieczeństwa. Ale łatwo było sobie wyobrazić, jak ten sam krajobraz mógł wyglądać nocą: ciemny, pusty i budzący lęk.

Po około dziesięciu minutach Greg zatrzymał samochód w okolicy mostu Thompsona w stanowym parku Brandywine.

Nazwa, tereny, w ogóle położenie i względna bliskość dyskoteki nasuwały przypuszczenie prawdopodobnej lokalizacji ciała. Nancy uznała słuszność takich założeń. Oboje z Gregiem chodzili po parku, szukając skałek z inicjałami, ale nie znaleźli niczego, choć zrezygnowali dopiero po kilku godzinach, gdy zaczął im dokuczać chłód i wilgoć.

Podczas któregoś z podobnych poszukiwań Nancy zwróciła się do Grega, powtarzając swoje wcześniejsze ostrzeżenie:

– Kiedy się natkniecie na zwłoki, znajdziecie też coś, co będzie stanowić istotne ogniwo łączące podejrzanego ze zbrodnią. Będzie to decydujący dowód. Ogromnie ważne jest więc dopilnowanie starannego przeszukania miejsca znalezienia ciała.

Detektyw Everett Chapman prowadzący sprawę Susan Spahn miał swoją teorię na temat tego, co spotkało dziewczynę na własną rękę wytypował głównego podejrzanego. Na podstawie zeznań świadków Wysock sporządził szkic portretu pamięciowego mężczyzny, z którym Susie opuściła dyskotekę. Po opublikowaniu w prasie tej podobizny zgłosiła się pewna czytelniczka twierdząc, że – jej zdaniem – poszukiwanym jest dwudziestoczteroletni David A. Dutton z Middletown.

Carl znał Duttona dość dobrze. Nie tylko sam go przysmykał przy kilku okazjach, ale kiedy przestępcę złapano w nowym jorku, Williams dostał zadanie przetransportowania więźnia i postawienia go przed sądem w stanie Delaware. Cztery godziny spędzone z tym mężczyzną przekonały policjanta, że Dutton to dziwny i niebezpieczny facet. Zdaniem Williamsa był zimny i wyrachowany; typ człowieka, który potrafi bez mrugnienia okiem zabić drugiego.

Chapman był przekonany, że to Dutton jest poszukiwanym sprawcą. Historyjka, którą opowiedział podejrzanemu na wstępnym przesłuchaniu, nie zgadzała się ze świadectwem amy barnes, koleżanki, z którą Susie wybrała się na dyskotekę w dzień zaginięcia. Potem odmówił poddania się badaniu na wykrywaczu kłamstwa.

Kolejnym sprawdzianem, jaki zastosował Carl, było zaprezentowanie Nancy pliku zdjęć różnych mężczyzn. Ona także wskazała Duttona jako człowieka, którego osobowość odpowiada charakterystyce mordercy Susie. Policja jednakże, nie dysponując ciałem ofiary, niewiele mogła uczynić. Brak dowodów uniemożliwił wniesienie oskarżenia o morderstwo. Nie oznaczało to jednak, że policjanci byli całkiem bezradni. Poczynili pewne kroki, aby zapewnić sobie obecność Duttona na wypadek odnalezienia ciała dziewczyny. W czasie wstępnych czynności śledczych złożyli mu wizytę w domu i znaleźli doniczkową uprawę marihuany. To wystarczyło do wystawienia nakazu rewizji, w czasie której odkryto bagnet, maczetę, rewolwer i kilka innych przedmiotów skradzionych podczas włamania w Kennedyville w Marylandzie. Dutton przyznał się później do włamania, ale zaprzeczył, jakoby rewolwer był częścią łupu. W tej krótkiej broni kalibru 22 brakowało części kolby i sprężyny iglicy.

W trakcie śledztwa w sprawie zniknięcia Susie Spahn wydarzył się pewien dziwny przypadek, naruszający zaufanie Nancy do własnych wizji.

Było już lato, kiedy jeden z członków ekipy dochodzeniowej Williamsa zadzwonił do Nancy z wiadomością, że jakaś kuzynka Susie widziała ją rzekomo w popularnym sklepie odzieżowym w Wilmington. Ta kuzynka żyła blisko z Susie i twierdziła z całą pewnością, że się nie pomyliła.

– Mam nadzieję, że to była Susie – westchnęła Nancy. – Naprawdę mam nadzieję, że z pewnych osobliwych, sobie tylko znanych powodów, zniknęła i rozpoczęła nowe życie. – jednakże wypowiadając te słowa, usłyszała głos wewnętrzny: *nie, Susie nie żyje*.

– Nie wydaję mi się, żeby tą dziewczyną w sklepie była ona – dodała.

– No to jak wytłumaczyć fakt, że ta kuzynka ją rozpoznała? – spytał officer.

– Zatem dlaczego nie podeszła, by z nią zamienić parę słów? Mielibyśmy teraz pewność.

– Podobno próbowała, ale Susie była od niej dość daleko. Wołała do niej, ale tamta nie usłyszała, a potem tłum je rozdzielił. Straciła Susie z oczu.

– No cóż, miejmy nadzieję, że to istotnie była ona, choć ja w to wątpię – rzuciła Nancy.

Niedługo później Nancy odbyła podobną rozmowę z matką Susan. Obie panie rozmawiały ze sobą wcześniej i Nancy doszła do wniosku, że pani Spahn jest jakby drugą ofiarą, co sprawia, że policjanci dwoją się i troją, by sprawę szybko zakończyć. Miła i chętna do współpracy kobieta cierpliwie znosiła nudę i drobiazgowość procesu dochodzeniowego. Jej ból po stracie córki wyraźnie dawał się odczuć, ale znosiła cierpienie w milczeniu, starając się sprostać wszelkim wymaganiom policji, byle tylko pomóc w odszukaniu Susie. We wczesnym etapie śledztwa Carl spytał Nancy, czy nie ma nic przeciwko spotkaniu, o które prosiła pani Spahn.

Nancy wyraziła zgodę, zdając sobie jednak sprawę, że będzie to trudna rozmowa.

Pani Spahn bardzo się starała, aby konwersacja przebiegała gładko, ale początki były niełatwe; matka Susie zaczęła mówić o pogodzie, potem podziękowała Nancy za udział w śledztwie. Później zaryzykowała pytanie co – zdaniem Nancy – stało się z jej córką. Nancy nie miała zamiaru powtarzać szczegółowo wszystkich scen, które po obejrzeniu w swoim umyśle zrelacjonowała policji. Zbolałej matce powiedziała jedynie, że według niej Susie wyszła tego wieczoru z mężczyzną, którego nie miała powodów podejrzewać o złe intencje i gwałtowne usposobienie, ale ów człowiek dał się później ponieść wściekłości, pobił dziewczynę i pozbawił ją życia.

Nawet taką krótką i treściwą relację bardzo trudno było przekazać matce. Pani Spahn chciała znać szczegóły, ale Nancy możliwie najbardziej trzymała się ogólników.

– Część mego umysłu także mi mówi, że Susie nie żyje – rzekła w końcu matka. – Ale jest we mnie i taka cząstka, która w to nie chce wierzyć.

Ta uwaga przeniosła Nancy w niezbyt odległą przeszłość, kiedy niemal dokładnie rok temu siedziała nad rzeką Delaware z ojcem Lee Cilimburga, starając się mu przyjść z pomocą i złagodzić podobną tragedię. Teraz czuła ten sam nakaz wewnętrzny, by pomóc kobiecie zebrać siły do stawienia czoła faktowi, że już nigdy nie zobaczy córki żywej.

– Susie była śliczną dziewczyną i muszę pani powiedzieć, iż jestem przekonana, że miała równie piękną duszę. Zaraz na początku starałam się sprawdzić, czy nie uciekła, chciałam dociec, czy była zdolna sprawić taki ból rodzicom. Uzyskałam wówczas pewność, że nie mogłaby tego uczynić – oznajmiła Nancy.

– Wiem. Zadawałam sobie tysiące razy to samo pytanie i mam podobne zdanie.

– Czuję, że jej związek z panią, jako matką, był szczególnie bliski i nawet gdyby od czegoś uciekła, a mym zdaniem w istocie tego nie zrobiła, znalazłaby sposób, żeby was, rodziców, jakoś o tym powiadomić.

Pani Spahn zaczęła płakać, a wkrótce i oczy Nancy napelniły się łzami.

– Mówiłam o tym policji, ale nie wiem, czy mi uwierzyli – pożałowała matka.

– Wierzą pani, bo to samo powiedzieli mnie – odpowiedziała Nancy.

Teraz jednak, kiedy Susie była rzekomo widziana, pogląd ten mógł zostać zrewidowany. Również i wątpliwości samej Nancy ogromnie wzrosły, kiedy mniej więcej w tydzień po pierwszej informacji o

zobaczeniu Susie, jeden z jej nauczycieli zadzwonił do policji z podobnym zgłoszeniem. On także twierdził, że widział Susie w sklepie odzieżowym – w tym samym, w którym była widziana poprzednio – i bezskutecznie próbował zwrócić na siebie jej uwagę.

Policja wypytywała nauczyciela bardzo skrupulatnie. W trakcie tego badania oświadczył on, iż dokładnie pamięta wygląd dziewczyny, bo Susie na jego wykładach siadała w pierwszym rzędzie. Policja miała więc zeznania dwóch wiarygodnych świadków na temat dwóch niezależnych przypadków zobaczenia Susie.

Carl i Greg uzbrojeni w fotografie Susan wybrali się do właściciela sklepu odzieżowego i pokazali te podobny jemu i jego pracownikom. Jak się należało spodziewać, paru ekspedientów rozpoznało w dziewczynie na zdjęciu niedawną klientkę. Williams dyskretnie obstawiał sklep swoimi ludźmi, ale zgłoszenia o zaobserwowaniu Susie nagle się urwały.

Pani Spahn nie dzwoniła do Nancy często, ale uczyniła to obecnie, gdy te incydenty rzekomego pojawienia się córki obudziły w jej duszy dręczący konflikt. Z jednej strony pragnęła wierzyć, że Susan znajduje się nadal wśród żywych, ale z drugiej była przekonana, że gdyby córka żyła, nie pozwoliłaby rodzicom tak się męczyć w niepewności.

Nancy już z samego brzmienia głosu zdesperowanej matki odczytała wahanie i walkę wewnętrzną. Była przekonana, że pani Spahn obdarzona jest dużą intuicją, a jej bliski związek z córką mógł oznaczać, że na jakimś poziomie świadomości matka wiedziała, iż Susie nie żyje od dnia zniknięcia. Ale serce matki nie chciało uwierzyć w to, co dyktował rozum.

– Mam nadzieję, że pani wizje się nie sprawdzą – mówiła pani Spahn. – tak jakoś...

– Ja też chciałabym, aby tak było, jak jednak wytłumaczyć fakt, że nie dała wam znaku życia? Nie potrafisz sobie wyobrazić takiego okrucieństwa z jej strony. Ona z pewnością przesłałaby jakąś wiadomość.

W rozmowie po ostatnim raporcie na temat ponownej rzekomej obecności Susan w sklepie, pani Spahn rzekła na koniec:

– Niestety, nie potrafię w to wierzyć. Ona chyba nie żyje. – zalała się łzami.

Kiedy po drugim zgłoszeniu nie napłynęły dalsze meldunki, nawet niektórzy policjanci zaczęli się w tym wszystkim dopatrywać cech metafizycznych. Nancy wydawało się jednak, że należy szukać bardziej prozaicznego wyjaśnienia. Susan, jakkolwiek bardzo ładna, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Nosiła długie, rozpuszczone włosy – bardzo popularną wśród młodzieży fryzurę. Była jasną blondynką, więc ten kolor rzucał się w oczy przygodnym obserwatorom. Można przypuścić, że te „niezawodne” informacje to po prostu efekt zauważenia jakiejś blondynki, bardzo podobnej do Susie.

Detektyw Leroy Landon był wysokim, czarnoskórym mężczyzną i podobnie jak Carl Williams – duszą i ciałem oddanym swojej pracy. Jednak w przeciwieństwie do Carla, który miał rodzinę odciągającą go czasami, choć z wielkim trudem, od pracy, Landon wiódł żywot kawalerski i nieskrępowany. Dla Williamsa praca była obserwacją, dla Landona – całym życiem.

Miły w sposobie bycia i obdarzony bystrym umysłem miał dodatkowo niezawodny instynkt do ludzi. Ubrał się starannie; boczną kieszonkę marynarki zawsze ozdabiał złożoną schludnie chusteczką, a swoją łysą głowę z reguły nakrywał jednym z imponującej kolekcji eleganckich kapeluszy. Krótko przycięty wąsik stanowił ramę szczeremu uśmiechu, tak ujmującego, że wyprowadzał w pole nawet najprzebieglejszych przestępców. Wobec tak życzliwej miny Leroya odprężali się i tracili czujność.

Obraz wymuskanego elegancika ostro kontrastował z wizerunkiem jego osoby postrzeganym przez światek przestępczy ulicy; tam miał opinię niebezpiecznego faceta, któremu nie warto wchodzić w paradę, ale można zaufać. Taka reputacja dawała Landonowi dostęp do rozmaitych źródeł informacji, zwłaszcza mógł korzystać z informatorów wywodzących się z czarnej społeczności Wilmington.

Na przełomie wiosny i lata 1977 roku Leroy Landon był jednym z tuzina detektywów rozpracowujących przypadek serii gwałtów, które terrorizowały żeńską część mieszkańców zamożnej dzielnicy w zachodniej części Wilmington.

Pierwszy napad miał miejsce 17 maja, kiedy gwałciiciel włamał się do piwnicy ofiary i sterroryzował ją siekierą, grożąc rozłupaniem głowy. Zmusił ją do zdjęcia ubrania, związał jej ręce sznurem, a oczy przesłonił stanikiem, wyprowadził z piwnicy na parter i zgwałcił. Przed opuszczeniem domu ograbił ją z pieniędzy, kosztowności i zabrał półautomatyczny pistolet kaliber 25.

Mniej więcej miesiąc później ten typ broni został użyty przez gwałciiciela, który tym razem napastował kobietę w garażu położonym niezbyt daleko od posesji zamieszkałej przez poprzednią ofiarę. Zmuszona do rozebrania się kobieta, z oczyma przewiązanymi własnym stanikiem, została zgwałcona na tylnym siedzeniu samochodu.

29 czerwca facet w czarnej kominiarce wdarł się z bronią w rękę do kolejnej rezydencji w tej samej dzielnicy. Tu również ręce ofiary przed gwałtem zostały związane, a jej oczy przysłonięte stanikiem.

Czwarty incydent zdarzył się 30 czerwca. Do drzwi jednego z domków zapukał nieznajomy mężczyzna i poprosił o udostępnienie mu książki telefonicznej. Przejrzawszy książkę człowiek ten wyciągnął pistolet, obezwładnił i zgwałcił kobietę, która mu wcześniej otworzyła drzwi.

Nancy nigdy dotychczas nie współpracowała z policją lokalną z Wilmington, ale wieść o sukcesach z policją stanową szybko zawędrowała w miejscowe kręgi związane z przestrzeganiem prawa i ochroną porządku publicznego w stanie Delaware. Presja na policję, aby szybko ujęć gwałciciela była tak duża, że Carl wcale się nie zdziwił, odbierając telefon w tej sprawie od jakiegoś detektywa z Wilmington.

Nancy dotychczas nie miała do czynienia z żadną sprawą o gwałt, ale doszła do wniosku, że w trakcie bezpośredniego spotkania z ofiarami będzie mogła przejąć jakieś informacje, które ewentualnie byłyby pomocne w złapaniu przestępcy.

Pewnego późnego wieczora dwaj policjanci wraz z Nancy udali się do pierwszej ofiary gwałtu. Leroy siedział za kierownicą, a Jay Ingraham, jego partner, wprowadzał Nancy w szczegóły sprawy. Zatrzymali się na cichej uliczce osiedlowej obsadzonej wysokimi klonami, które w sztucznym świetle ulicznych latarni sprawiały wrażenie dekoracji. Leroy odwrócił się do tyłu i wyłożył zasady postępowania.

– Nie chcemy, aby ta kobieta emocjonalnie przeżywała raz jeszcze tamto wydarzenie – powiedział. – Nie zatrzymamy się długo i nie będziemy wypytwać o szczegóły. Czy pani potrafi te swoje... – zmarszczył czoło w zabawnym grymasie – ... Hokusy wyczyniać bez zbędnego gadania?

– Hokusy? – uśmiechnęła się Nancy.

– No, to hokus-pokus, abrakadabra czy jak im tam. Słowem: czary – pospieszył z wyjaśnieniem Jay.

– Te, jak pan mówi, „hokusy” mogą się odbyć zupełnie bez słów, ale jak panowie wyjaśnią moją obecność? Detektywi wymienili między sobą spojrzenia.

– Nie powiedzieliśmy tej kobiecie, że pani to *pani* – rzekł w końcu Leroy.

– Już i tak jest tyle szumu wokół tej sprawy, że chcecie uniknąć tytułów w gazetach o zaangażowaniu kogoś takiego jak ja, prawda? – podsunęła Nancy.

Policjanci po raz drugi wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Coś w tym stylu – przyznał Jay, wysiadając z auta.

– Sama nic o sobie nie powiem, ale jeśli ta pani spyta, co robię, nie mam zamiaru kłamać – oświadczyła Nancy.

Kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich niedawna ofiara gwałtu, skrywał ją półcień. Nancy, rzuciwszy okiem w głąb holu, odniosła wrażenie, że dom jest urządzony ze smakiem. Ściany w kolorze brzoskwiniowym stwarzały poczucie przytulności i ciepła. Gospodyni, zaprosiwszy gości do środka, cofnęła się w stronę światła. Nancy uderzyło podobieństwo tej kobiety do siebie. Tamta była młodsza i trochę niższa, ale niewiele. Długie ciemne włosy, które upinała na karku, okalały podłużną, kościstą twarz ozdobioną brązowymi oczami. Jesteśmy jak siostry, przemknęło Nancy przez myśl. Z daleka można je było wziąć za bliźniaczki. Świadomość, że sama jest typem kobiecym, na który może polować gwałciciel, przyprawiła Nancy o dreszcz.

Trochę zakłopotana faktem, że tak wlepiła wzrok w obcą kobietę, Nancy zaczęła coś paplać o znajomych, którzy rzekomo mieli jej wmawiać, iż ją widzieli w takiej części miasta, w jakiej nigdy nie była. Policjanci się roześmiali, a kobieta przyznała, że też miała podobne przypadki.

Przechodząc korytarzem w głąb mieszkania, Nancy zwróciła uwagę na pewne drobiazgi dekoracyjne wypełniające wnętrze, dowodzące dobrego gustu, a nawet pewnego artyzmu. Na ścianach wisały kolorowe indiańskie koszyki plecione ze słomy, w saloniku na małym stoliczku stała rzeźba główki dziecka, jak Nancy się domyślała, dłuta gospodyni.

Jay też zauważył to małe dzieło artystyczne i spytał, czyja to praca. Kobieta przyznała się do autorstwa i rozmowa toczyła się chwilę wokół tematów związanych ze sztuką. Potem Leroy przeprosił gospodynię za ponowne najście, usprawiedliwiając się charakterem pracy policyjnej. Trzeba każdy element zdarzenia rozważać wielokrotnie, mówił, w nadziei, że wyjdą na jaw jakieś pominięte szczegóły, które czasem mogą zdecydować o zakończeniu sprawy.

Kobieta słuchała uprzejmie, ale Nancy czuła, że tamta miała świadomość, iż nie jest to rozważanie przestępstwa pod innym kątem. Ani bowiem Jay, ani Leroy nie zadawali pytań o nowe szczegóły, a rozmowę prowadzili w tonie towarzyskiej pogawędki. Udział Nancy w tej rozmowie był niewielki, koncentrowała się na wylapywaniu wibracji i odbiorze stanów emocjonalnych ze strzępów wspomnień ofiary dotyczących napaści i napastnika.

W pewnej chwili kobieta spojrzała nagle na Nancy i uprzejmym, ale zdecydowanym tonem spytała:

– Pani nie jest policjantką, prawda?

– Nie. Współpracuję z policją, wykorzystując postrzeżenie pozazmysłowe.

Wyraz ulgi pojawił się na twarzy kobiety.

– Wiedziałam, że skądś znam pani nazwisko. Chyba ktoś z przyjaciół opowiadał mi o pani.

Jay i Leroy siedzieli bezradnie, gdy obie kobiety gawędziły przyjaźnie o pracy wykonywanej przez Nancy. Po zakończeniu rozmowy gospodyni podziękowała Nancy wylewnie za starania przyścia jej z pomocą i obdarzyła serdecznym uściskiem dłoni. To był ten kontakt, którego oczekiwała Nancy, nie chcąc jednak nic

aranżować na siłę. Bezpośrednia styczność fizyczna z ofiarą gwałtu, łącznie z więzią psychiczną nawiązaną w rozmowie, przyniosła napływ nowych obrazów i doznań. Nancy przepełniło uczucie strachu i upokorzenia, gdy do jej umysłu napłynęła wizja sceny gwałtu.

– Czy pani dobrze się czuje?

Nancy szybko zamrugała powiekami i na powrót znalazła się na progu domku w zachodniej dzielnicy Wilmington. Jej nowa przyjaciółka spoglądała na nią z troską w oczach. Zbliżała się dziesiąta i wieczorne niebo było czarne jak smoła. Korony drzew przesłaniały światło latarni, a sylwetki kobiet oblewał jedynie blask płynący z wnętrza domu.

– Nic mi nie jest. – w głosie Nancy brzmiało nowe uczucie przyjaźni. Ujęła w obie dłonie rękę tamtej i mocno uścisnęła. – Postaramy się złapać tego faceta – obiecała.

W policyjnym samochodzie Nancy z entuzjazmem relacjonowała nowo pozyskane informacje. Przyznała, że pamięciowy portret napastnika jest dość udany; podobieństwo rysów zostało dobrze uchwycone, oprócz oczu. To wymaga korekty. Poza tym, w odebranej przez nią wizji gwałciiciel odziany był w jakiś kombinezon albo uniform. Żadna z ofiar dotychczas nie wspominała o kombinezonie.

– To ubranie z jakiegoś drelichu, do którego facet nosi białe skarpetki i czarne buty – opisywała Nancy. – A nad boczną kieszonką ma jakiś znak.

Jay wyciągnął notes.

– Znak? Jakiego insygnia?

– Nie widziałam dokładnie, ale to nie była baretka, naszywka ani wpięta oznaka. Również nic wyszytego. To jakiś nadruk z dodanym numerem.

– Nadruk naszyty na łacie?

– Nie.

– Na pewno nie insygnia wojskowe?

– To nie były insygnia. Po prostu jakieś oznaczenie nad kieszonką.

Leroy rzucił okiem na Jaya i wzruszył ramionami.

– Opowiedz coś jeszcze o tym uniformie – zażądał Jay. – Z czego był uszyty?

– Wyglądał na jakieś robocze ubranie. Chyba z grubego lnu. Niebieski, z krótkimi rękawami i przykrótkimi spodniami.

– Czy facet miał coś na głowie? Czapkę, kapelusz?

– Nie miał.

– A samochód? Czy przyjechał autem?

– Zawsze chyba przychodził na piechotę. W żadnej wizji nie widziałam przy nim samochodu.

– Może mieszka w pobliżu – zastanawiał się Leroy.

– Albo jeździ autobusem – zauważył Jay.

Po krótkim milczeniu Nancy dodała nagle:

– On się uczy. Przerabia program jakiegoś college'u. Chodzi na wykłady.

Cała trójka, siedząc w samochodzie, dumiała, co za student, jakiego college'u, mógł chodzić w niebieskim kombinezonie. Ubiór był trochę nietypowy jak na studenta.

– Może ten facet studiuje wieczorowo, a kombinezon to jego strój roboczy?

– Tak. On pracuje – oświadczyła Nancy. – Wykonuje jakieś prace konserwacyjne.

Przez następnych kilka dni Jay i Leroy dzielili swój czas pomiędzy wyjazdy z Nancy do kolejnych ofiar gwałtu a odwiedzanie wszystkich instytucji w Wilmington, których pracownicy nosili kombinezony lub uniformy. Przeczesał w ten sposób kina, restauracje, stacje benzynowe, poczty, a na końcu szpital miejski, gdzie przed oblicze Nancy przyprowadzali przedstawiciele wszystkich służb wymagających noszenia uniformów – od sanitariuszy po dozorców.

– Czy to był taki strój? – pytał Leroy za każdym razem.

– Nie.

– No to może taki? – mówił, wyciągając z korytarza następnego, inaczej odzianego delikwenta.

Ale żaden z przedstawionych do oceny Nancy uniformów nie był taki, jak oglądany w wizji. Na koniec, kiedy obejrzawszy pracownika szpitalnych służb kuchennych pokręciła przecząco głową; Leroy zmierzył ją groźnym spojrzeniem i celując w nią palcem, wycedził:

– No, moja pani, jeśli wnet nie znajdzie się właściwy uniform, to ktoś tu może potrzebować pomocy medycznej.

Powiedział te słowa z naciskiem, ale zaraz się uśmiechnął i wkrótce odprężyli się wszyscy.

Później policjanci zastosowali inną taktykę. Wykorzystali zdolności paranormalne Nancy i ją samą jako swego rodzaju „psa gończego”; sama zresztą podsunęła ten pomysł. Tuż po wyjściu z domu pierwszej ofiary poczuła, że coś ją ciągnie w określonym kierunku. Doszła do wniosku, że to trasa, jaką udał się przestępca po

dokonaniu napaści. Jednak ze względu na późną porę ruszyli wówczas tym tropem jadąc samochodem i Nancy wkrótce zgubiła ślad.

Więcej szczęścia mieli po wizytach u innych ofiar. Spotkania te nie przyniosły wprawdzie nowych informacji, ale potwierdziły wrażenia, które Nancy odebrała podczas pierwszej wizyty. Po każdym z tych odwiedzin Nancy pozwalała, by ciągnęła ją jakaś niewidzialna siła kierując, niczym radar, po określonej trasie. Za nią postępowali obaj detektywi. Grupa ta dla postronnego widza mogła przedstawiać zaiste komiczny widok: wysoka, przystojna kobieta podana lekko do przodu, z głową przechyloną na bok, drepcząca chodnikiem z dużą szybkością i dwóch odzianych w garnitury mężczyzn wyciągających nogi, żeby jej dotrzymać kroku.

Każda z tych tras kluczyła po uliczkach Wilmington w różny, przypadkowy sposób, ale przywodziła Nancy zawsze do tej samej skrzynki pocztowej u zbiegu tych samych dwóch uliczek. Nancy spojrzała na tabliczki z nazwami obu ulic, ale jeden napis szczególnie przyciągnął jej wzrok: Shallcross Avenue.

– On mieszka na tej ulicy – pokazała ręką. – To znaczy, niezupełnie. Nie mieszka tu stale, ale dość często przebywa. Przyjeżdża, odjeżdża.

Dwaj oficerowie, którzy owego dnia towarzyszyli Nancy zamiast Jaya i Leroya, sceptycznie potraktowali jej stanowcze oświadczenie. Było to o tyle zrozumiałe, że nigdy dotąd nie pracowali ani nie zetknęli się z Nancy. Spoglądali na nią z niedowierzaniem, a w kącikach ust czałł się kpiący uśmiešek.

– Tak? – spytał jeden.

– A dokładnie, w którym domu – dodał drugi, ciekaw, jak daleko Nancy może się posunąć.

– Nie jestem pewna.

Uśmiechy policjantów jasno wyrażały ich uczucia.

– Chodźmy. Tu nie jest bezpiecznie – ponagliła ich Nancy.

Policjanci nie protestowali. Już i tak dostatecznie głupio się czuli, depcząc po piętach tej gospodyni domowej, i nie mieli najmniejszego zamiaru ujawnić sierżantowi, że osoba cywilna i w dodatku baba zaprowadziła ich na ulicę, gdzie mieszka gwałciiciel. Nancy, boleśnie świadoma ich uczuć względem siebie, czuła coraz wyraźniej, że przestępca śledzi w tej chwili ich ruchy. Wiedziała, że to człowiek zdolny do najgorszego i wołała nie znaleźć się z nim twarzą w twarz, nawet mając przy sobie dwóch uzbrojonych policjantów.

Podczas wizyty w domu kolejnej ofiary gwałtu Nancy znów uderzyło podobieństwo tamtej do siebie. Obie miały ten sam kolor włosów, typ budowy i podobny wzrost. Kobieta powitała przybyłych serdecznie, ale ze zdenerwowania przesadzała w grzecznościach. Gdy prowadziła gości korytarzem w głąb mieszkania, na wysokości drzwi wiodących z holu do piwnicy ciałem Nancy wstrząsnął dreszcz.

Gospodyni najwidoczniej spostrzegła tę reakcję, bo pękła od razu:

– On tam właśnie stał i czekał na mnie z siekierą. Wracalam do mieszkania po odprowadzeniu córki do szkolnego autobusu i miałam zamiar zrobić pranie. On tam stał. Opisał moją córkę, powiedział, że jest taka śliczna i bezbronna, i zagroził, że jeśli się będę opierała, to ... – lzy pociekły jej po policzkach.

– Nie musi pani nic mówić. Rozumiem panią – zapewniła Nancy.

– Opowiem wszystko. To mi pomaga.

Zaprowadziwszy gości do kuchni usadowiła ich przy stole i zaproponowała kawę. Nancy spostrzegła, że Jay i Leroy mieli ochotę odmówić, ale gdy w o czach gospodyni ujrzeli rozczarowanie, zmienili zdanie. Ona natychmiast się odprężyła. Widać potrzebny był jej taki okrucuch normalności jak podanie gościom kawy. Potem zrelacjonowała wszystkie wydarzenia tamtego dnia.

Na zakończenie wizyty kobieta złapała Nancy za rękę i powiedziała:

– Wie pani, mieszkamy w tym domu już dziesięć lat. Kochaliśmy go, ale teraz nosimy się z zamiarem, by go wystawić na sprzedaż. Nie potrafię czuć się tu już bezpiecznie. A kiedy pomyślę o córce...

Nancy kiwnęła głową ze zrozumieniem i poklepała kobietę po ręce.

– To dla mnie całkiem zrozumiałe.

Nawet lśnienie porannego słońca na niebie bez chmurki nie zdołało rozjaśnić smutku, który ogarnął całą trójkę. Niemal od razu Nancy rozpoczęła swoją „rundę gończą”. Również i tym razem trasa przywiodła ją do znanej skrzynki pocztowej przy Shallcross.

To śmiechu warte tak się bać, powiedziała sobie, przecież ten dom mamy w zasięgu wzroku. Możemy chyba tam podejść.

– Macie broń, chłopaki? – spytała. Dwaj detektywi spojrzeli na siebie ze zdumieniem i dyskretnie odchyliwszy poly Marynarek odsłoniли kabury.

– Tak jest – odparli służbiście unisono.

Nancy skinęła głową z aprobatą, wyprostowała się i z determinacją ruszyła środkiem ulicy Shallcross. Szła tak szybko, że Jay i Leroy musieli dobrze wyciągać nogi, by jej dotrzymać kroku. Niemal się zatoczyli, kiedy raptownie stanęła.

Spojrzeniem wskazała piętrowy, ceglany domek z drewnianą werandą i rzekła z pewnością w głosie:

– To ten..

Powiedziawszy te słowa, ruszyła natychmiast z powrotem. Leroy poszedł za nią, a Jay został i zanotował numer domu. Na tabliczce widniała liczba: 1002. Shallcross Avenue 1002.

Kiedy cała trójka znalazła się przy skrzynce pocztowej, Jay poinformował kolegę i Nancy, że od przygodnych przechodniów dowiedział się, iż dom należy do pastora.

– Ten przestępca tutaj nie mieszka, on tu tylko często bywa – wyjaśniła Nancy. – Gospodarze nie mają pojęcia, komu udzielają gościny. Nawet im przez myśl nie przejdzie, co ten facet ma na sumieniu. Są przekonani, że on ich darzy przyjaźnią.

Leroy przyrzekł tu wrócić i wziąć faceta na spytki, ale najpierw musiał odwiedzić Nancy do domu.

Później jednak okazało się, że odpytywanie przestępcy nie było w końcu konieczne. Nikt z trójki wówczas nie wiedział, że na miejscu ostatniego gwałtu znaleziono istotny dowód winy. Mężczyzna poprosił wtedy o książkę telefoniczną; trzymając ją, zostawił na lakierowanej okładce odciski palców. Detektyw Jack Sines, prowadzący tę sprawę, natychmiast posłał książkę do laboratorium FBI w Filadelfii, gdzie dokonano analizy.

Wyniki badań uzyskano niemal od razu. Odciski palców były tak wyraźne, że niewiele czasu zabrało fachowcom przyporządkowanie ich niejakiemu Aubreyowi McKayowi, trzydziestoletniemu pensjonariuszowi więzienia w Smyrnie, odsiadującemu wyrok trzydziestu lat za zabójstwo. Kiedy policja sprawdziła komputerowy rejestr wyjść więźnia, okazało się, że w czasie każdej napaści na kobiety, McKay znajdował się na przepustce.

McKay był brutalnym przestępcą skazanym w lutym 1969 roku za zastrzelenie emerytowanego ogrodnika w Westover Hills. Mężczyzna ten został zabity, kiedy zaskoczył trzech złodziei, którzy włamali się do jego domu. McKay był jednym z włamywaczy i mordercą.

Przed przybyciem do Delaware McKaya poszukiwała FBI za morderstwo w Newark w New Jersey, ścigano go też listem gończym za domniemany gwałt popełniony na nieletniej w Union.

W więzieniu McKay zdobył dyplom ukończenia szkoły średniej i zaliczył prawie wszystkie kursy wyższego stopnia organizowane w Smyrnie. To właśnie dlatego Jay i Leroy, kierując się uwagami Nancy, wzięli go za studenta. Kiedy Landon pokazał zdjęcia McKaya ofiarom, wszystkie rozpoznały w nim swego prześladowcę.

Późniejsze przesłuchanie ujawniło, że pobyty McKaya na przepustce nie były kontrolowane zgodnie z przepisami. Zwalnianego chwilowo więźnia powinien mieć na oku strażnik więzienny, tymczasem McKay spędzał swobodnie przepustki, mieszkając ze swoją sympatią w Wilmington. Tą dziewczyną była córka pastora mieszkająca wraz z rodzicami na Shallcross Avenue 1002.

Rozdział dziesiąty

Kiedy pierwszy śnieg leży jeszcze na ziemi

Do sierpniowego terminu operacji korygującej wzrok Heidi śledztwo w sprawie Susan Spahn nie ruszyło z miejsca. Dutton został wprawdzie postawiony przed sądem za napad z bronią w rękę i posiadanie przedmiotów pochodzących z grabieży, ale wobec braku ciała Susie oskarżenie o morderstwo było niemożliwe.

Operacja oczu małej córeczki Nancy przebiegła bez komplikacji, ale zanim matka dowiedziała się o pomyślnym rezultacie, przeżyła chwile troski i lęku. Szczególnie dało jej się we znaki pełne niepewności napięcie, gdy – jak się później okazało – służba medyczna zapomniała zawiadomić któregoś z Andersonów, że już jest po wszystkim. Dręczeni obawami rodzice, wobec długiego braku wiadomości byli pewni, że coś się nie powiodło. Tymczasem dziecko, wymęczone strachem i bezsennością, po prostu zapadło w czterogodzinny drzemkę i pozwolono mu spać.

Kiedy na koniec otworzyły się drzwi windy i wynurzył się z nich duży wózek z malutką Heidi skuloną w kąciuku, Nancy i John w mgnieniu oka znaleźli się u boku swojej córeczki. Mała leżała zwinięta w kłębuszek, ze smoczką w buzi. Pocierała nosek pieluszką i ogarniała spojrzeniem hol, jakby szukała czegoś znajomego. Jej główka nie przestawała się obracać to w prawo, to w lewo i dziewczynka zachłannie badała wzrokiem otoczenie, sprawiając wrażenie, jak gdyby wszystko oglądała po raz pierwszy. Stojąca tuż obok wózka Nancy zauważyła, jak niewielkie ślady pozostawiła operacja – oczka dziecka były trochę przekrwione w kąciukach, ale doskonale skorygowane. Różnica w wyglądzie dziecka była zdumiewająca.

Wzrok Heidi kolejno obejmował twarze najwyraźniej w poszukiwaniu kogoś sobie znanego. Kiedy spojrzenie dziecka prześliznęło się po obliczu matki bez śladu rozpoznania, Nancy poczuwszy ból w sercu krzyknęła z rozpaczą:

– Heidi!

Mała główka niczym wiedziona radarem obróciła się raptownie, a szczupła postać wystrzeliła jak z katapulty ku piersi matki. Malutkie piąstki złapały długie pasma włosów Nancy tulącej kurczowo drżące ciało córki.

Życie Andersonów nigdy nie biegło jednostajnie, ale przeżycie poważniejszych kryzysów rodzinnych, tej rangi, co trudny poród Nancy, padaczka Heidi i operacja jej oczu, stwarzało nadzieję na spokojniejszą przyszłość. Jednakże jesień przyniosła ze sobą jeszcze jeden kłopot. Kiedy Travis zaczął chodzić do pierwszej klasy, okazało się, że jest daltonistą. Zauważyła to nauczycielka, bowiem chłopczyk raz układał kolory numerków prawidłowo, a innym razem dobierał je całkowicie na chybił trafił. Zapytany o to malec wyjaśnił, że czasami prosił o pomoc kolegę, niekiedy trafiał przypadkowo, ale w zasadzie nie potrafił rozróżnić żadnego koloru.

Również w miesiącach jesiennych zwrócono się do Nancy w dwóch nowych sprawach. Kiedy przypadek Aubreya McKaya potwierdził niesamowitą zdolność Nancy, miejscowa policja z Wilmington zaangażowała ją powtórnie do współpracy, tym razem w sprawie brutalnego zamordowania Charlesa Deanera. Mężczyznę przywiązano do łóżka i bito tak długo, aż wyzionął ducha. Nancy udało się podać charakterystykę zabójcy, określiła typ pracy, jaką wykonywał. Informacje te pasowały do podejrzanego, którego policja miała już na oku, jednakże śledztwo nie przyniosło dostatecznego dowodu, aby sprawcę postawić przed sądem.

W listopadzie poproszono Nancy o pomoc w odnalezieniu sześciolatniej córeczki pewnego funkcjonariusza policji z Wilkinsburga w Pensylwanii. Beth Lynn Barr zniknęła pewnego popołudnia na trasie z domu do szkoły w zazwyczaj spokojnej, podmiejskiej dzielnicy Pittsburga. Kobieta – świadek, która poddała się nawet hipnozie, żeby móc podać więcej szczegółów, przypomniawszy sobie, niestety, tylko tyle, że widziała, jak dziewczynka wsiadała do samochodu z mężczyzną w ciemnych okularach.

Nancy na samym początku powiedziała, że dziecko nie żyje, a jego ciało zostanie znalezione podczas wiosennej odwilży. Podała także opis samochodu użytego do uprowadzenia, opisała wygląd zewnętrzny porwacza i określiła kolejność wydarzeń prowadzących do śmierci dziewczynki. Opowiedziała policji ponadto o innych porwaniach w Zachodniej Pensylwanii, w których maczał palec ten sam sprawca. Nancy przedstawiła tyle szczegółów, że policja mogła je dopasować do kilku nie zakończonych jeszcze spraw. Szkielecik Beth Lynn Barr odnaleziono w marcu 1979 roku, sześć miesięcy po morderstwie, rzeczywiście podczas wiosennej odwilży, tak jak przepowiedziała Nancy.

Mimo podanych przez Nancy szczegółowych informacji sprawa Beth Barr nie trafiła do sądu. Policja lokalna tłumaczyła później, że podane przez Nancy dane nie wystarczyły, niestety, do ujęcia sprawcy.

Wczesną jesienią 1977 roku skontaktował się z Nancy pewien dziennikarz z Filadelfii, który wpadł na pomysł, że wydawców *National Enquirer* może zainteresować artykuł na temat współpracy policji z osobą taką jak ona. Magazyn ten oprócz historyjek z prywatnego życia różnych znakomitości zamieszczał także reportaże o ludziach obdarzonych zdolnościami paranormalnymi. Czytelnicy z tak dużym entuzjazmem traktowali temat, że *Enquirer* zaangażował kilka takich osób, płacąc im stałą gażę tylko za to, żeby swoje przepowiednie zamieszczali na jego łamach.

Nancy pojawiła się w tym światku jako nowe zjawisko. Była atrakcyjną kobietą, zwykłą gospodynią domową z niewielkiego Newark w stanie Delaware, wykorzystującą swe niezwykle możliwości do pomocy policji w łapaniu przestępców. Co więcej, wielu oficerów policji stanowej – od Williamsa po generalnego inspektora – było gotowych poświadczyć przydatność jej usług.

W końcu, 29 listopada, ukazał się sążnisty reportaż, który jednakże zawierał szereg nieścisłości. Ale Nancy znalazła się przynajmniej w dobrym towarzystwie: na stronie tytułowej, tuż obok anonsu o jej artykule, widniała notatka zapowiadająca podanie szczegółów rozpadu związku Ali MacGraw ze Stevem McQueenem. Reportaż o Nancy nosił tytuł: „Paranormalnie uzdolniona gospodyni domowa pomaga policji w wykrywaniu morderców”.

Sam artykuł, zamieszczony na stronie trzydziestej, opisywał bardzo ogólnie i dość nierzetelnie sprawę zabójstwa Mary Allen. Przytoczono pełne pochwał wypowiedzi Williamsa i Smitha, ale obaj policjanci stwierdzili później, że dziennikarz niezbyt się przejmował zachowaniem ścisłości cytatów. Wspomniano o dziesięciu śledztwach bez podania, czego dotyczyły. Konkretnie wymieniono jedynie poszukiwania Zandy’ego Bissona, a najdokładniej opisano wytypowanie zwycięskiego konia na siódmą gonitwę wyścigów HAPS w Brandywine Park.

Mimo powierzchownie potraktowanego tematu i wielu niedomówień tekst ten opromienił Nancy krótkotrwałą sławą, a jej doraźne obciążenie pracą dramatycznie wzrosło, gdy sypnęły się z całego kraju nowe propozycje współpracy.

Powodzeniu, jakim reportaż cieszył się u czytelników, należy przypisać złożoną Nancy propozycję dołączenia do ekipy osób paranormalnych stale współpracujących z gazetą. Pieniądze oferowane przez wydawców i dodatkowa stała praca z pewnością korzystnie mogłyby zasilić szczupły budżet młodego małżeństwa, jednak Nancy postanowiła odmówić. Nierzetelne cytaty, niefrasobliwie sformułowane wypowiedzi, a także kłopoty, które w wyniku takiego potraktowania tekstu spadły na głowy Williamsa i Smitha przekonały ją, że regularne pojawianie się na szpaltach tego magazynu mogłoby wystawić na szwank jej wiarygodność i zakłócić dobre stosunki z policją. A dla Nancy współpraca z policją była więcej warta niż uludny blask chwilowej popularności.

Jedną ze spraw pochodzących spoza granic stanu, a zleconych Nancy wskutek rozgłosu zyskanego po opublikowaniu reportażu, był przypadek, który posiał strach wśród mieszkańców Winchester w Virginii. Z centrum handlowego opodal Front Royal uprowadzono piętnastoletnią dziewczynę i słuch po niej zaginął. Szeryf Carroll K. Mauck i jego zastępca Robert L. Edmundson, kiedy ich dochodzenie utknęło w martwym punkcie, doszli do wniosku, że trzeba szukać pomocy u Nancy. Zjawili się u niej wieczorem, po trzygodzinnej podróży z Winchester, uzbrojeni w mapy, zestaw fotografii osób podejrzanych i przedmioty ściśle związane z ofiarą porwania. Nancy od razu przystąpiła do rysowania szkicu parkingu, skąd nastąpiło uprowadzenie, z dokładnym rozmieszczeniem takich szczegółów, jak śmietnik, dystrybutory paliwa i sklepik spożywczy. Opisała samochód porwacza i określiła miejsce, gdzie zostały ukryte zwłoki dziewczyny. Powiedziała policjantom, że jest to pole położone niedaleko jakiejś trasy szybkiego ruchu, w pobliżu znajduje się woda i czuć zapach jakby spalonej gumy.

Mauck i Edmundson znaleźli później ciało ofiary na polu kukurydzy, niespełna ćwierć mili od ruchliwej autostrady, około pięćdziesięciu metrów od niedużego stawu, w miejscu, gdzie chłodne wieczorne powietrze niesło woń gryzącego dymu z pobliskiej fabryczki hamulców.

Z przedstawionego jej pakietu zdjęć Nancy bez wahania wybrała głównego podejrzanego.

Sprawa przepowiedni Nancy dotyczącej odnalezienia ciała Susan Spahn odżyła z początkiem nowego roku. Nancy do tej pory podtrzymywała twierdzenie, że szczątki Susie zostaną znalezione, kiedy pierwszy śnieg 1978 roku będzie jeszcze leżał na ziemi. Od końca 1976 roku musiała swego stanowiska bronić wiele razy, gdy Carl i jego niecierpliwi ludzie jechali w teren sprawdzić rozmaite hipotezy związane ze sprawą.

Cały długi dzień nowego roku Nancy, mimo iż zajęta dziećmi bądź przygotowaniem świątecznych posiłków, łapała się na tym, że często odruchowo spogląda za okna, na zasnuite ciężkimi, szarymi chmurami niebo. Temperatura spadła do około zera, a w powietrzu pachniało śniegiem.

Carolyn i Paulette Dawson także stale zerkwały na ołowiane niebo, przemierzając wraz z zaprzyjaźnioną parą małżeńską jedenasty sektor w Hercules Country Club na północ od Wilmington. Obydwie siostry były namiętnymi zwolenniczkami gry w golfa, pa tyle zapałonymi, aby w mroźną styczniową niedzielę wybrać się na

pole golfowe na świąteczną rundkę. W oddali zobaczyły, jak pies szarpie coś wyglądającego na dziwną piłkę. Gdy wszyscy podeszli bliżej, okazało się, że to „coś” tak bardzo podobne do piłki, jednak nią nie jest. Była to ludzka czaszka. Znalazionym patykiem Carolyn podniosła ją i położyła na pojemniku na śmieci, w miejscu niedostępnym dla zwierząt. Cała czwórka debatowała przez chwilę, co należy uczynić, ale żyłka graczy przeważała. Zagrali jeszcze przy jednym dołku, a dopiero potem poszli zadzwonić na policję.

Również tego samego dnia, późnym popołudniem, kiedy Nancy uprzątnąwszy kuchnię po świątecznym obiedzie zasiadła przed telewizorem – zadzwonił telefon. Z drugiego końca linii dobiegł głos Hawkinsona:

– Czy to ten?

– Kto?

– Och, przepraszam, Nancy, ale tu u mnie pada śnieg i chciałem się upewnić, czy to ten właściwy.

– Nie nabierasz mnie, Hawki? Tutaj nie pada. – Raz jeszcze rzuciła okiem za okno. Potem zapadła chwila milczenia.

– Tak? – w głosie Hawkinsona zabrzmiało wyraźne rozczarowanie.

– Nie wiem. Możliwe – odezwała się Nancy po przerwie, odpowiadając na pytanie zadane na wstępie.

Pozostawało czekać. Nancy wolnym ruchem odłożyła słuchawkę, na nowo zachodząc w głowę, czy jej przepowiednia okaże się dokładna. Telefon milczał nie dłużej niż pięć minut. Tym razem inny członek dawnej ekipy Carla zameldował Nancy, że w Wilmington sypie śnieg.

Nancy po raz kolejny sprawdziła niebo za oknem. Chmury wisiały nisko, ale na ziemię nie spadł jeszcze ani jeden biały płatek. Grupa Carla została wcześniej rozwiązana, a jej członkowie mieli już inne przydziały, ale w ciągu następnej półgodziny policjanci wchodzący w skład dawnej brygady do specjalnych zadań dzwonili do Nancy po kolei. Kolejność tych rozmów wskazywała kierunek postępowania frontu opadów śniegu dokładnie niczym radar.

Williamsonowie mieszkający najdalej na południe od Wilmington, a jednocześnie najbliżej Nancy, zadzwonili jako ostatni.

– Pada śnieg, Nancy! – zawołała Kitty.

– Tu nie pada.

Kitty przekazała tę odpowiedź mężowi.

– Cholera jasna, niechże wreszcie zacznie padać u Nancy. Bo mam już serdecznie dość tego czekania! – dobiegł do uszu Nancy rozdrażniony głos Carla odpowiadającego żonie.

Skoro tylko Nancy odłożyła słuchawkę, spostrzegła nagle malutkie płateczki rzadkiego śniegu, szybujące leniwie w powietrzu i opadające miękko na brunatną trawę. Szeroki uśmiech wypłynął Nancy na usta, gdy sobie uświadomiła, że nawet sama natura zdaje się posłuszenie wykonywać rozkazy poirytowanego Carla. Ale widok płatków podzielał kojąco – wkrótce zniknęły wszelkie wątpliwości i Nancy poczuła pewność, że szczątki Susie zostaną niebawem znalezione.

Kiedy telefon zadzwonił ponownie, wiedziała, że będzie rozmawiać z panią Spahn.

– Już pora, prawda? – spytała matka Susie.

– Tak. Czuję to. Inni też tak sądzą. Niemal wszyscy członkowie dawnej ekipy sierżanta Williamsa dzwonili do mnie z wiadomością o śniegu.

– Jak to dobrze! A ja myślałam, że moją Susan już nikt się nie interesuje. – w głosie pani Spahn brzmiała ulga i wdzięczność.

– Ci chłopcy tak łatwo nie dają za wygraną. Zobaczysz pani, już jutro rano ruszą w teren, by szukać zwłok Susie.

– I naprawdę teraz znajdują?

– Tak, jestem tego pewna.

– Chciałabym, żeby już ją znaleźli, a zarazem mam nadzieję, że tak się nie stanie.

– Rozumiem panią – powiedziała Nancy. – Moje uczucia byłyby takie same. Ale zdobędzie pani nareszcie pewność, czy te przypadki widzenia córki były rzeczywiście prawdziwe. Pozbędzie się też pani wszelkich wątpliwości.

Po dłuższym milczeniu pani Spahn rzekła na zakończenie:

– Wiem, że ona umarła, bo inaczej nie zostawiłaby mnie tak długo w niepewności.

Po rozwiązaniu grupy specjalnej Carla i Sacco przydzielono do ekipy dochodzeniowej w biurze prokuratury generalnej, a Hawkinson, Mayer i Petterson także dostali nowe przydziały; nie wszyscy członkowie byłej ekipy Williamsa dowiedzieli się od razu o znalezieniu czaszki i o tym, że już ją przekazano do porównania z danymi z rejestru osób zaginionych.

Nancy jednak została powiadomiona bardzo wcześnie. Irvin Smith krótko po otrzymaniu raportu zadzwonił i spytał, czy – jej zdaniem – są to szczątki Susan Spahn. Prosił także o przyłączenie się do poszukiwań. Nancy nie widziała potrzeby własnego udziału, ale wówczas Smith przypomniał jej, że sama swego czasu podkreślała

wagę znalezienia jakiegoś dowodu na miejscu morderstwa. Mówił, że jej obecność może w tym pomóc. Wtedy wyraziła zgodę,

Otrzymany przez policję dopiero w środę raport dentystyczny potwierdził, że znaleziona czaszka należy do Susan Spahn. Pułkownik Smith zarządził dokładne przeszukanie lasów wokół pól golfowych klubu hercules. Akcję, z wykorzystaniem ochotników z akademii policyjnej, wyznaczono na czwartek rano.

Hawkinson, pracujący w jednym pokoju z Sacco, pierwszy odebrał telefon dotyczący poszukiwań. Kiedy Carl przyszedł do pracy, Hawk skoczył na nogi i złapał go za poły płaszcza, zanim kolega miał czas otworzyć usta.

– Chyba znaleźli Susie! – krzyknął.

Obaj równocześnie pomyśleli o Nancy, kiedy wychodzili z biura i wsiadali do samochodu Grega.

Styczeniowe niebo zasłaniały chmury, ale już się czuło w powietrzu, że prognoza pogody zapowiadająca ocieplenie do +5°C prawdopodobnie się spełni. Jeśli słupek rtęci podniósłby się istotnie tak wysoko, oznaczałoby to najcieplejszy dzień po nowym roku, pierwszy z temperaturami plusowymi. W tak ciepłym dniu mizerna, kilkucentymetrowa warstewka śniegu, który spadł pierwszego stycznia, z pewnością stopi się zupełnie do południa. Już teraz grubsze płyty śniegu leżały tylko w miejscach zacienionych.

– Resztki pierwszego śniegu – rzucił Sacco niemal bezwiednie.

– Ja się jej boję jak diabli! – zareagował szybko Hawk, rozpoznając w uwadze kolegi słowa wypowiedziane przez Nancy ponad czternaście miesięcy wcześniej. Hawkinson zawsze się czuł nieswojo w towarzystwie Nancy. Nie wypływało to jednak z tego, że jej nie wierzył – wręcz przeciwnie, obawiał się, że kiedy ona go zmierzy przenikliwym wzrokiem, może coś okropnego dojrzeć w jego przyszłości.

– A co ona właściwie wtedy jeszcze mówiła? – Sacco zaczął przypominać sobie jej słowa. – O skałach, pagórkach, zaroślach, drzewach i rzeczce w pobliżu. Mówiła, że słyszy gdzieś dalej szum niewielkich silników.

– Wózki golfowe – podsunął Hawkinson, kiedy Sacco skręcał na dwupasmową drogę biegnącą skrajem terenów golfowych klubu hercules.

– Dziki park i dobrze utrzymany trawnik – ciągnął Sacco.

– Nie wiem, doprawdy, czemu nie pomyśleliśmy o klubie golfowym?!

– Czy ta droga przecina jakąś rzeczkę?

– Za tym zakrętem płynie strumyk.

– A dalej ciągną się tereny parku Brandywine. To tylko kilka mil dalej, mam rację?

– Dwie lub trzy mile.

Sacco rzucił okiem ku zwartej grupie drzew okalających teren golfowy i nagle, sam nie wiedząc dlaczego, rzucił:

– To tutaj. Dałbym głowę, że tu ją zakopał.

Jak się potem okazało, były to słowa prorocze, ale ekipa szukających znalazła szczątki Susie dopiero po kilku godzinach.

Wysadziwszy Hawkinsona, Sacco pojechał po Nancy. Po powrocie na miejsce poszukiwań zaparkowali obok gromadki złożonej z policjantów, pracowników obsługi pól golfowych i jakichś innych ludzi, wyglądających na niezadowolonych graczy. Wokół tej grupy biegało kilku podnieconych reporterów i fotografów. Ciała jeszcze nie szukano, nie założono też jeszcze taśmy odgradzającej teren.

Nic na temat roli Nancy w sprawie Susan Spahn ani wieszce wróżby nie dostało się wprawdzie do prasy, ale kręgom policyjnym było to wszystko dobrze znane. Kilku funkcjonariuszy z sąsiednich okręgów jurysdykcji zdołało dotrzeć do klubu tego ranka, by się naocznie przekonać o prawdziwości proroczej zapowiedzi. Niektórzy policjanci znali Nancy osobiście, więc w drodze na wyznaczone stanowisko w lesie, mijając ją, kiwali głowami z uśmiechem. Inni obchodzili szerokim łukiem miejsce, gdzie stała.

Nancy spostrzegła, że wielu policjantów wyrusza na poszukiwania z papierosem lub kubkiem kawy, czyli przedmiotami, które ewentualnie zaśmiecając teren, mogą zaciemnić obraz poszukiwań. Pewna, że gdzieś w tych zaroślach znajdują się dwa małe elementy będące dowodami rzeczowymi podstawowymi dla sprawy zniknięcia Susan, jąła przypominać o tym oficerom wkraczającym na wydzielony teren. Niektórzy jej dziękowali, szczerze wdzięczni za to przypomnienie, inni mierzyli ją niechętnym wzrokiem.

Przestępowała z nogi na nogę, żeby się nieco rozgrzać, gdyż chłód ciągnący od zmrożonej ziemi i zimne powietrze dawały się mocno we znaki. Sacco przystanął przy niej na chwilę, a potem odszedł kilkanaście metrów w głąb lasu, gdzie ochotnicy niemal na czworakach przeczesywali ściętą mrozem ściółkę.

Jednak Nancy miała uczucie, że konieczność skrupulatnego szukania dowodów nie została potraktowana przez wszystkich należycie serio. Kiedy Sacco wrócił ze swego wypadu, uważała za stosowne przypomnieć mu raz jeszcze:

– Pamiętaj, co mówiłam o dowodach rzeczowych. To jakieś dwa przedmioty istotne dla sprawy, ale tak małe, że łatwo je można przeoczyć. Są jednak tak ważnym ogniwem, że bez nich nigdy nie udowodnicie sprawy popełnionego na Susie morderstwa.

Sacco kiwnął głową, chociaż wiedział, że jego ponaglenie do pilniejszego szukania nie spotka się z przychylnym przyjęciem oficera odpowiedzialnego za akcję. Ale ponieważ na równi z Nancy zależało mu na zamknięciu sprawy Susan Spahn, zdecydował się powiedzieć kilka słów o staranności poszukiwań.

Uzbrajając się wewnętrznym na wysłuchanie nieuniknionej cierpkiej repliki, podszedł do komendanta akcji i w możliwie najbardziej dyplomatyczny sposób zagaił:

– Pragnąłbym panu przypomnieć, że kiedy w ubiegłym roku zawieźliśmy Nancy na poszukiwania do Brandywine Park, ona utrzymywała, iż mamy znaleźć coś przy zwłokach, co będzie istotnym dowodem rzeczowym demaskującym mordercę. Trzeba zachować czujność.

– Nie zwracaj pan głowy – padła zirytowana odpowiedź. – Jak będą zwłoki, to i to coś przy zwłokach się znajdzie. Zawsze tak bywa.

Sacco wiedział, że to nie takie oczywiste, ale nie chciał się wdawać w dalszą dyskusję.

– Ma pan nas za półgłówków? – dodał jeszcze oficer.

Sacco milczał.

Odkrycie głównej części szkieletu nastąpiło o godzinie jedenastej, po około dwóch godzinach poszukiwań. Pierwszą oznaką, że coś się zaczyna dziać, były podniecone głosy dochodzące z lasu, dokładnie naprzeciwko stanowiska Nancy. Zgromadzeni przy niej policjanci, pijący kawę i wymieniający półgłosem jakieś uwagi, usłyszeli je także. Zakopali plastikowe kubki i ruszyli w las.

Nancy w pierwszym odruchu chciała oddać się w przeciwnym kierunku – byle dalej od tego, co tamci znaleźli. Ale została na miejscu, poczuła się tylko bardzo samotna. Tymczasem na skraj lasu wyszedł Sacco z wiadomością, że znaleziono trochę kości.

Teraz w powietrzu krzyżowały się ostre komendy, a cała ekipa zbliżała się ku kępie, którą Sacco bezmyślnie wskazał Hawkowi jako miejsce zakopania zwłok Susie. Kilku policjantów pobiegło do ambulansu zaparkowanego opodal Nancy, a za moment wracali z noszami na wysuwanych nóżkach.

Niemal w tej samej chwili słońce przedarło się zza chmur zasłaniających szczerlinie niebo od rana. Zrobiło się wyraźnie cieplej i chwila znalezienia zwłok zbiegła się z równoczesnym stopniem resztek pierwszego w roku śniegu. Celność własnej przepowiedni przejęła Nancy dreszczem. Podobne wrażenie najwyraźniej wywarła i na innych. Oficerowie, stojący w małych grupkach na zboczach wzgórz, jeden po drugim wracali do lasu, gdzie poszukiwania trwały. Spoglądając na Nancy w milczeniu, wtapiali się w gęstwinę i znikali z pola widzenia. Ta sytuacja wpływała na Nancy deprymująco. Przestraszona niesamowitą dokładnością swojej przepowiedni, czuła coraz większe wyobcowanie. Oparłszy się o pobliskie drzewo, modliła się żarliwie do Boga za Susan, jej rodzinę i – w pewnym sensie – za siebie.

Przez kolejne piętnaście minut zarośla były pełne szukających, którzy rozstawieni wachlarzowo, torowali sobie drogę w gęszczu, w jednym kierunku ku Nancy i samochodom, a w drugim ku Lancaster Pike.

A potem nagle – tak się przynajmniej Nancy zdawało – było już po wszystkim. Dwaj policjanci niosący nosze schodzili z wolna w dół stoku, w kierunku ambulansu. Koc rzucony na nosze przykrywał nieduże wyrzucenie. Po chwili las zdawał się wypływać ludzką zawartością. Liczni policjanci opuszczali gęstwinę i schodzili z boczem, rozmawiając między sobą przyciszonymi głosami. Zbliżając się skręcali w prawo lub lewo. Gdy docierali do taśmy oddzielającej miejsce poszukiwań, znajdowali się już dobre parę metrów od Nancy. Nawet policjanci, których znała, uciekali wzrokiem w bok. Również i Hawk ominął ją szerokim łukiem i odszedł z jakimś kolegą.

Nancy przywykła do tego, że w jej obecności wiele osób, a zwłaszcza policjantów, odczuwało skrępowanie. To zwykle mijało po bliższym poznaniu, ale dziś zakłopotanie stało się powszechne i utrzymywało się jak przewlekły katar.

Nawet Sacco, który znalazł się wśród niedobitków opuszczających las na końcu, zachował pewną rezerwę, kiedy podszedł do taśmy oznajmić Nancy, że tam, gdzie znaleziono ciało, istotnie znajdują się trzy skały z namalowanymi na nich inicjałami – tak, jak to opisała.

– Sam nie wiem, czemu nie pomyśleliśmy o tym miejscu – dodał.

– Czy znaleziono dowód rzeczowy? – spytała Nancy.

– Małe kawałeczki plastiku wielkości pudełka zapalek, z nierówno odłamaną krawędzią. Dwie sztuki. I przewód.

Nancy wraz z Sacco wróciła do samochodu i krętą drogą wśród pól pojechali w kierunku Lancaster Pike.

Mijając kępę drzew, gdzie znaleziono szczątki Susan, Greg wyciągnął rękę mówiąc:

– Jechałem tędy rano z Hawkim. Wyglupiając się pokazałem mu ten lasek i powiedziałem, że facet tam ją zakopał.

– Zawsze ci mówiłem, że ty także masz „to” w sobie.

Sacco radośnie wyszczerzył zęby.

Po znalezieniu ciała policja na powrót zaczęła pracować nad powiązaniem Duttona ze sprawą zabójstwa Susie Spahn. Kilka dni przed przeszukaniem pola golfowego Dutton, który od aresztowania przebywał w

zakładzie resocjalizacji w pobliżu Smyrny, został skazany na trzy lata za posiadanie śmiertelnej broni, przedmiotów pochodzących z kradzieży i marihuany. Skazany przyznał się do winy.

Policja ponownie postawiła Duttona przed sądem w marcu. Tym razem został oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia. Dziennikarze wówczas pisali, że policja dysponuje niezbitymi dowodami. Powiązania Duttona z miejscem morderstwa dokonano za pomocą dwóch małych elementów wielkości pudełka zapalek, odłamanych z kolby pistoletu, oraz dziwnego przewodu, tak jak Nancy przewidziała w 1976 roku. Policja miała jednego świadka; była nim Nancy, ale ona – jak ją kiedyś nazwał Carl – była niemyym świadkiem. Żaden sąd nie uznałby za dowód podanej przez nią wersji wydarzeń.

Rozprawę Duttona wyznaczono na 26 września. Oczekiwanie na nią trzymało zainteresowanych w napięciu przez całe lato. Policja pracowała usilnie nad połączeniem luźnych ogniów, a Nancy miała więcej pracy, w miarę jak fama o jej trafnej przepowiedni zataczała coraz szersze kręgi.

Kiedy zaczął się proces, Nancy pilnie śledziła raporty prasowe, chcąc się przekonać, czy jej wizje znajdują potwierdzenie w zeznaniach świadków. Jednym ze składających zeznania był lekarz sądowy, dr Ali Z. Hameli. Nancy powiedziała kiedyś, że po kłótni między Susie a Duttonem mężczyzna uderzył dziewczynę w szczękę, a potem obok samochodu uderzył ją jeszcze wiele razy. W jej wizji morderca udusił ofiarę przewodem, choć – zdaniem Nancy – Susie była już wówczas martwa. Przewód, odpowiadający wyglądem opisywanemu przez Nancy, został znaleziony w pobliżu zwłok Susie.

Po zbadaniu szczątków Susan Spahn dr Hameli orzekł, że przyczyną śmierci były przypuszczalnie ciosy w twarz lub szyję. Impet uderzenia prawdopodobnie spowodował złamanie kręgów szyjnych i mogło nastąpić przerwanie tętnicy, wywołując krwotok. Wtedy krew mogła dostać się ofierze do płuc i wywołać uduszenie. Doktor nie wykluczył jednak śmierci wskutek uduszenia przez zaciśnięcie czegoś wokół szyi dziewczyny.

Dr John Lawrence Angel, specjalista antropolog ze Smithsonian Institution w Waszyngtonie, do którego Hameli wysłał szczątki Susie do powtórnej oceny, wywnioskował także, że ofiara otrzymała mocny cios w szczękę, kiedy miała otwarte usta. Było to zgodne z wizją, w której Nancy widziała, że mężczyzna uderzył dziewczynę, kiedy się z nim kłóciła. Złamanie kręgów szyjnych nastąpiło z powodu znacznego nacisku czegoś otaczającego szyję – brzmiała opinia specjalisty. Pewien zeznający w procesie agent FBI powiedział, że przewód i krótki drewniany kij znaleziony w pobliżu mogły być użyte jako hiszpański kołowrotek, czyli urządzenie do zwiększania nacisku pętli przewodu lub drutu. Hameli potwierdził, że jeśli przewód znaleziony na miejscu zbrodni zostałby mocno zaciśnięty na szyi ofiary, mógłby spowodować wykryte przy badaniu obrażenia kręgów szyjnych.

Jednak najbardziej rewelacyjne zeznania o tym, co się naprawdę wydarzyło w noc morderstwa, pochodziły od dwunastoletniego współwzięnia Duttona, siedzącego z nim w jednej celi w więzieniu w Smyrnie. Według słów tego młodego człowieka Dutton przechwalał się, że, zabił Susie, kiedy odrzuciła jego seksualne propozycje. Ow Richard Page, zatrzymany za włamanie, powiedział jeszcze, że pewnej nocy Dutton, nafaszerowany marihuaną, zaczął mówić o morderstwie. Świadectwo Page'a zamieszczone w *News Journal* okazało się zadziwiająco zbieżne z wizjami Nancy.

Ze słów Page'a wynikało, iż Dutton opowiadał mu o Susan Spahn, którą podobno spotkał w nocnym klubie. Dziewczyna towarzyszyła mu rzekomo do samochodu, gdzie ją zaprosił, aby zażyć narkotyki. Dutton mówił, że próbował już wtedy nakłonić ją od odbycia stosunku, ale mu odmówiła i chciała wrócić do klubu. Wówczas on wpadł w złość i zmusił ją, żeby z nim pojechała.

Jak opowiadał Page, Dutton wygłaszał to wszystko tonem przechwałki i najwyraźniej chciał zaimponować swemu słuchaczowi.

Dalej podobno morderca wspominał, że potem się gdzieś zatrzymali, on znów robił dziewczynie seksualne propozycje, ale ona nadal nie chciała się zgodzić. „wtedy go szła ogarnął, bo nie jest przyzwyczajony, żeby mu się baba stawiała”, przytoczył Page słowa Duttona. Potem rozwścieczony Dutton próbował udusić Susie naszyjnikiem, a gdy mu się to nie udało, dokończył dzieła kawałkiem przewodu.

– Tyle opowiedział Dutton za pierwszym razem – zakończył Page główną część swojej relacji.

Dwa lub trzy tygodnie później Dutton ponoć zwierzył się koleżce, jak pozbył się ciała ofiary. Wywłókł martwą dziewczynę z samochodu opodal jakichś krzaków, ale że grunt tam był zbyt twardy, zaciągnął zwłoki dalej w las i pogrzebał w dołku, jaki zdołał wykopać gołymi rękami.

Niezwykła ważność odłamków rękojeści rewolweru stała się oczywista dopiero mniej więcej w połowie procesu. Oskarżyciel skorzystał wtedy z tego dowodu, aby wykazać, że rewolwer marki colt z uszkodzoną rękojeścią, do której idealnie pasowały kawałki plastiku znalezione obok zwłok, był przedmiotem znajdującym się wśród rzeczy zrabowanych w Marylandzie. Przedmiotem, do posiadania którego oskarżony przyznał się w poprzednim procesie. Szwagier Duttona, Gordon W. Eaton, zeznał także, że 13 listopada, czyli około tygodnia po zniknięciu Susan Spahn, Dutton pokazywał mu jakiś rewolwer kalibru 22 z brakującą sprężyną iglicy i uszkodzoną rękojeścią, pytając o części zamienne. Kiedy Eaton zapytał o plamy wyglądające jak zaschła krew, Dutton wyjaśnił, że wdał się w bójkę w barze w Newark. Pobił jakiegoś faceta i zostawił go na parkingu.

Eaton, zajmujący się konserwacją urządzeń elektrycznych w Du Pont Company, zidentyfikował przewód znaleziony obok szczątków dziewczyny jako tego samego typu jak ten, który dał szwagrowi.

Końcowa rozprawa odbyła się 2 listopada. Członkowie ławy przysięgłych debatowali pięć i pół godziny, po czym obrady zostały przerwane. Następnego dnia sędziowie przysięgli dyskutowali dalszych sześć godzin, zanim zgłosili sędziemu, że się znaleźli w impasie. Orzeczono unieważnienie rozprawy.

Następny termin procesu wyznaczono na 17 stycznia 1979 r.

Oskarżyciel był tak wściekły, że po opuszczeniu sali sądowej walnął pięścią w poręcz schodów i kopnął ze złością stopień. Nazwał ten proces najbardziej frustracyjnym epizodem w całej swej prawniczej karierze.

Rozdział jedenasty

Nowe początki, nowe kierunki

Do czasu zakończonej niefortunnie rozprawy o morderstwo Susie Spahn życie Nancy ułożyło się w pewien schemat. Dużą część dnia pochłaniała jej praca; trzy razy w tygodniu prowadziła kursy medytacji dla dorosłych w miejscowej szkole technicznej, wygłaszała liczne prelekcje na zamówienia płynące z wielu miejscowości wschodniego wybrzeża, a terminarz prywatnych zleceń miała wypełniony na trzy miesiące naprzód.

Wzrósł także jej udział w pracach policji. Irvin Smith przeszedł już wprawdzie na emeryturę, ale jego rolę w życiu Nancy zaczął odgrywać Leroy Landon, proponując jej współpracę w sprawach podlegających miejscowej jurysdykcji. Nancy zaprzyjaźniła się z nim wkrótce, a jej obecność w lokalnej komendzie policji nie należała wcale do rzadkości. Z początku Landon był obiektem kpinek i ironicznych uśmiechów a Nancy mierzona spojrzemaml spod oka. Niewiele jednak upłynęło wody, gdy po pojawieniu się Nancy w komisariacie, ustawiała się do niej kolejka policjantów chętnych do skonsultowania z nią prowadzonych przez siebie spraw.

Detektyw Tommy Gordeon z pobliskiego Newcastle County, późniejszy komendant tamtejszej policji, korzystał również z talentów Nancy. I tylko – o ironio! – policja z jej własnej miejscowości, Newark, nigdy nie zaangażowała Nancy „oficjalnie” do żadnej sprawy, bo szef komendy pozostawał zatwardziałym sceptykiem.

Nancy zyskała popularność jako prelegentka w pogadankach dla ludności, a typowa część jej występów polegała na charakteryzowaniu ludzi na podstawie podawanych z widowni osobistych drobiazgów. Czasami ktoś prosił o odpowiedź na pytanie w prywatnej sprawie. Niekiedy Nancy opisywała nieznanie sobie osoby jedynie po poznaniu ich nazwiska. Nieraz jej słowa wyzwalaly w ludziach tłumione emocje, niosły ulgę. Wielu często mawiało później, że w takim momencie czuli się bliżsi Nancy niż jakiegokolwiek innej osobie w ich życiu. To było jedno z najbardziej satysfakcjonujących przeżyć dla Nancy, lepsze nawet – w głęboko ludzki sposób – od zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, jakie czuła, kiedy morderca stawał przed sądem.

Jeśli nie liczyć tych chwil, jej uczucie wyobcowania pogłębiało się. Trochę, co prawda, pomagała przyjazna żartobliwość, z jaką traktowali ją znajomi policjanci, więz ta miała jednak swoje granice, a Nancy pragnęła bliskości na gruncie prywatnym, z kimś podobnym do siebie.

Introspekcja, jaką przyniosły rozwijające się parapsychiczne możliwości, sprawiła, że Nancy dostrzegła ochłodzenie, jakie się wkradło w jej stosunki z mężem. John, zafascynowany z początku paranormalnymi właściwościami żony, obecnie coraz więcej czasu spędzał w swojej szkole, a kiedy był w domu – w swoim pokoju w suterenie. W istocie, stale rosnąca popularność Nancy pociągała za sobą nowe obowiązki, rzutujące niekorzystnie na związek, który już od dłuższego czasu wykazywał tendencje spadkowe w sferze uczuciowej.

Jak w większości małżeństw, w których dochodzi do rozwodu, faktyczne rozbitcie nastąpiło u Andersonów po wieloletniej pustce emocjonalnej. Rozkład następował krok po kroku przez długi czas, a ostateczne rozstrzygnięcie przyniosło ulgę i okazało się prawie naturalnym, choć niosącym rozczarowanie. Rozwód wydawał się słuszniejszy niż samotność dzielona od wielu miesięcy. Nowy, 1979 rok przywitała Nancy już jako samotna, wychowująca trójkę dzieci, matka. Poprzedniego roku przeprowadziła się do nowego domu położonego w eleganckiej dzielnicy Newark, w którym zamieszkała z dziećmi i matką.

Kiedy sprawa o morderstwo Susan Spahn ponownie stanęła przed sądem, Nancy pilnie śledziła relacjonowany w prasie i telewizji przebieg procesu. Ekipa Williamsa została rozwiązana i z jej byłymi członkami Nancy miała tylko sporadyczny kontakt telefoniczny, ale Carl i Kitty pozostali jej bliskimi przyjaciółmi. Obie z Kitty odetchnęły z ulgą, kiedy druga rozprawa skończyła się wyrokiem skazującym.

Nancy obecnie tryskała energią. Po przeprowadzeniu rozwodu mogła odrzucić to, co w jej małżeństwie było ambiwalentne. Przez szereg ostatnich lat, niemal od samego otwarcia się na swe parapsychiczne możliwości, czuła, że John oczekuje od niej tłumienia paranormalnych uzdolnień i dopasowania się do jego wyobrażeń o roli żony. Przez długi okres przeżywała konflikt wewnętrzny, teraz była wolna. Mogła swobodnie korzystać ze swych niezwykłych talentów, poświęcać więcej uwagi informacjom płynącym z głębi psychiki. Zastanawiała się nieraz, czy umiejętności, jakimi została obdarzona, wykorzystuje we właściwy sposób, czy dobrze rozumie wszystkie swoje możliwości. Nie wiedziała jednak, jak to sprawdzić. W takich sprawach, jak na przykład rozwód, mogła polegać na swoim wewnętrznym systemie kontroli, który zawsze pomagał jej zorientować się, jak postąpić. Ale w sprawie samego systemu – dokąd się mogła zwrócić po radę?

Modliła się. Uprawiała medytację. Czekala na jakiś sygnał lub wyraźną instrukcję. Dawniej podobne wiadomości przychodziły w ten właśnie sposób, teraz jednak wydawało się, iż osiągnęła już taki poziom, na którym była zdana na siebie.

Czytała różne książki o innych paranormalnie uzdolnionych osobach – o Eileen Garret, którą podziwiała za szlachetność i rzetelność, o Edgarze Caysie, zwanym „śpiącym prorokiem”. Często rozważała, czy fakt, że urodziła się dokładnie w dniu śmierci Cayce’a, mógł mieć dla niej jakieś większe znaczenie.

Najbliższa sercu była jednak sprezentowana jej przez matkę książka Daniela Logana o Caysie, w której autor opisując życie „śpiącego proroka”, skupił się głównie na jego rozterkach i niechęci do podejmowania roli, jaką mu przyszło odgrywać z powodu swojej odmienności.

Nancy dobrze rozumiała jego dylemat. Ludzie chętnie, a nawet skwapliwie, korzystali z usług jasnowidzów, równocześnie się ich obawiając. Sprawa Susie Spahn była tego dobrym przykładem. Wówczas dokładność przepowiedni Nancy okazała się tak duża, że wywołała lęk i stworzyła pewien dystans do innych, zwykłych śmiertelników. Nancy czuła się tak, jakby własny sukces zawisł jej na szyi niczym plakat krzyczący dużymi literami: potwór.

Miała przy tym całkowitą pewność, że Bóg swych wybranych nie naznaczał ot, tak sobie – lekko i niefrasobliwie. Wiedziała także, że wprawdzie mogłaby się zaprzeć tej swojej odmiennej części osobowości, a piorun z jasnego nieba z pewnością by jej nie poraził, była jednak przekonana, iż przez resztę życia dręczyłoby ją poczucie, że zawiodła stwórcę i nie nadała sensu swojemu istnieniu. Życie upływałoby jej ze świadomością zawiedzionych nadziei i mierności, której – wiedziała to na pewno – nie potrafiłaby tolerować u siebie nigdy. Powstawało więc pytanie: jak ma wykorzystać swój dar? Czy współpraca z policją to jej życiowe powołanie, czy jedynie trening i etap przejściowy do czegoś innego? A jeśli tak, to do czego? Czekwała na jakiś znak.

Tymczasem w czerwcu 1979 roku odebrała telefon z Anne Arundel County w Marylandzie od detektywa nazwiskiem Jim Moore.

Detektyw Moore w zasadzie nie miał nic przeciwko osobom o właściwościach paranormalnych, ale nigdy nie widział, aby ktoś taki dobrze się spisał. Obserwował ich pracę przy kilku okazjach, kiedy w wydziale korzystano z ich usług, ale dotychczas jakoś nie udawało im się posunąć żadnej sprawy naprzód, a w oczach Moore’a tylko postęp śledztwa był jedynym kryterium przydatności. Myślał wówczas z irytacją, że toczące się dochodzenia policyjne to przecież nie laboratorium do sprawdzania istnienia zjawisk paranormalnych. Liczyły się tylko te informacje, które mogły doprowadzić do zakończenia sprawy, a z tego co wiedział, wiadomości pozyskane od osób parapsychicznie uzdolnionych, nigdy tego nie zapewniały. A przynajmniej w żadnej ze spraw o morderstwo, nad którymi sam pracował.

Pamiętał, jako żywo, wysokiego, tajemniczego mężczyznę, odzianego w czerń, sprowadzonego do pomocy w wykryciu mordercy. Moore’a przydzielono wówczas do rozpracowania sprawy prowadzonej po znalezieniu zwłok dziesięcioletniej dziewczynki, dosłownie zmasakrowanej. Było to dochodzenie tego rodzaju, którego zakończenie wymaga zazwyczaj dołożenia wszelkich wysiłków i przedsięwzięcia różnych środków. Właśnie dlatego zdecydowano się na przywiezienie osobnika w obszernej czarnej szacie na miejsce zbrodni. Moore patrzył, jak ów człowiek przechadzał się z policjantami, wypytując ich o wszystko, co im było wiadome w tej sprawie. Istotnym dowodem rzeczowym wydawała się wówczas stara misa wypełniona deszczówką ze śladami czegoś, co mogło być krwią ofiary.

Po wyciągnięciu możliwie wielu informacji od policji nieznajomy wpadł w trans i zaczął relacjonować „wizję”: dziewczynka padła ofiarą satanistów, a misa była rytualnym naczyniem. Po zamknięciu sprawy okazało się jednak, że mordercą był mieszkający w sąsiedztwie ofiary pewien starszawy facet o niezdrowej skłonności do małych dziewczynek. Woda z misy posłużyła mu po prostu do umycia rąk zbroczonych krwią po dokonaniu bestialskiego mordu.

Wtedy to skryształizował się ostatecznie pogląd Moore’a na temat osób obdarzonych zdolnościami postrzegania pozazmysłowego.

Umysł Moore’a nigdy jednak nie wykluczał możliwości, że gdzieś mogą się znaleźć takie niezwykle uzdolnione osoby, których paranormalne cechy istotnie mogłyby być przydatne przy prowadzeniu poważnego śledztwa. Policjant słyszał kiedyś, jak detektywi opowiadali sobie o niejkiej Dorothy Allison z Nutley w stanie New Jersey, która cieszyła się doskonałą reputacją w związku z odszukiwaniem zaginionych dzieci. To tylko on w swojej praktyce zawodowej nie spotkał jeszcze nikogo, kto pomógł zakończyć sprawę o morderstwo.

8 czerwca, późnym popołudniem w biurze detektywa Moore’a zabrzmiał sygnał telefonu. Dzwonił Calvin S. Schilling, miejscowy biznesmen, prowadzący dobrze prosperującą firmę zajmującą się oczyszczaniem zbiorników do chemicznej neutralizacji ścieków. Pan Schilling, wróciwszy do swego eleganckiego domu przy Fort Smallwood w Riviera Beach, znalazł ciało żony w kałuży krwi na podłodze saloniku. Ofierze zadano jedenaście ran kłutych.

Niedługo przed przybyciem męża, około godziny 14.00 pani Schilling rozmawiała przez telefon z jednym ze swoich dzieci. Calvin Schilling wrócił o 14.30, policja więc, z większą niż zazwyczaj dokładnością, mogła określić czas popełnienia zbrodni.

Nie znano motywu zabójstwa, ale szybko opracowano kilka wersji roboczych. Jedną z nich była teoria, że ofiarą miał być Schilling – miał to być akt zemsty. Policja bowiem zebrała informacje, że interesy biznesmena

były w kwitującym stanie między innymi dlatego, że zatrudniał niskopłatnych, niewykwalifikowanych przygodnych robotników. Wielu z nich miało kryminalną przeszłość, a Schilling nie należał do łatwych w współżyciu szefów. Jak często bywa w przypadku ludzi, którzy doszli do majątku o własnych siłach, rąbał prawdę prosto z mostu, nikomu nic nie chciał zawdzięczać, ale też i nikogo się nie bał – nawet oficerów dochodzeniowych.

Pomiędzy atakami czegoś, sprawiającego wrażenie szczerego smutku, wymyślał śledczym z niecierpliwą napastliwością, robił jednak, co mógł, by się przydać w śledztwie; poddał się hipnozie i badaniom na wykrywacza kłamstwa. To sprzeczne zachowanie dziwiło Moore'a prowadzącego sprawę. Wiedział z doświadczenia, że winni zachowują się zazwyczaj w sposób pasujący do jednego z dwóch schematów: natychmiast żądają adwokata albo próbują okazywać przyjaźń policji i starają się zostać jej sojusznikiem w rozwiązywaniu sprawy. Często nawet rezygnują z przysługujących im praw, byle tylko przekonać władze o swojej niewinności. Reakcja Schillinga była mieszaniną obu tych postaw, lecz nieco inne sprawy skłaniały Moore'a, aby go umieścić na czele listy podejrzanych. Fakt, że był mężem ofiary, automatycznie stawiał go w roli podejrzanego; poza tym miał słabe alibi, które dało się sprawdzić tylko z grubsza, a w dodatku czynił dziwne uwagi w rodzaju: „nawet jeśli to zrobiłem – nic nie pamiętam”.

Właśnie ze względu na te uwagi zastosowano badanie za pomocą hipnozy; okazało się jednak, że były one wypowiadane w odruchu wrogości do tych, którzy uczynili z niego głównego podejrzanego. Obrazu Schillinga w oczach policji nie poprawił też fakt, że wykryto, iż miał romans.

Typową metodą pracy Moore'a przy sprawach o zabójstwo było zestawienie listy podejrzanych, a potem tworzenie kolumn na atrybuty śledztwa dla każdej osoby z wykazu. W pierwszej kolumnie wypisywał zwykle alibi; jeśli zostało potwierdzone, stawiał fajkę. W drugiej kolumnie mogły być np. wyniki hipnozy, w trzeciej wyniki wykrywania kłamstwa i tak dalej. Po odfajkowaniu wypełnionych kolumn Moore przechodził do następnego podejrzanego. Ta metoda selekcji zwykle okazywała się skuteczna. Ale w sprawie pani Schilling było inaczej. Pod koniec każdego mozolnego, szesnastogodzinnego dnia pracy Moore, spoglądając na swoje zestawienie, nieodmiennie stwierdzał, że albo nikogo nie zdołał wyeliminować, albo dopisał więcej podejrzanych, niż zdołał odrzucić. Już nie tylko brodził po głębokiej wodzie, ale tonął i wiedział o tym. Po trzech tygodniach żmudnego dochodzenia na liście miał trzydziestu trzech podejrzanych.

Wraz z Tommym Mottem, swoim partnerem, zasiadł do gruntownej analizy sprawy. Obaj wiedzieli, że aby sprawdzić wszystkich z tej listy, czekają ich miesiące metodycznej pracy – może nawet rok, gdyż niektórych przygodnych robotników Schillinga trudno było odszukać. Wiedzieli także, że prawdopodobieństwo wykrycia sprawcy morderstwa maleje wraz z czasem, opadając gwałtownie już po siedemdziesięciu dwóch godzinach. Wyrazili wspólny pogląd, że trzeba im czegoś, co mogłoby przyspieszyć zamknięcie sprawy. Ale czego?

Moore nie bardzo się kwapił do szukania pomocy w sferze parapsychiki, ale w końcu doszedł do wniosku, że jeśli osoba o paranormalnych zdolnościach mogłaby się na coś przydać, to najwyższy czas skorzystać z tej szansy. Nie chciał prosić o współpracę żadnej z tych osób, z którymi wydział konsultował się w przeszłości. Postanowił zwrócić się do policji z pobliskiego Montgomery o zarekomendowanie kogoś innego. Czuł się trochę niezręcznie, prosząc o tę szczególną przysługę, i ze zdumieniem przyjął fakt, że porucznik, z którym się skontaktował, nie tylko od razu pojął, o co chodzi, ale sprawiał wrażenie szczerego entuzjasty polecanej przez siebie osoby. Zarekomendował niejaką Nancy Anderson, gospodynię domową z Newark. Moore zatelefonował jeszcze do kilku znajomych policjantów, zdobył inne informacje, ale żadna z nich nie brzmiała bardziej zachęcająco niż ta z Montgomery.

Kiedy zadzwonił pod podany numer, ze zdziwieniem i pewnym rozczarowaniem przyjął normalność osoby zgłaszającej się na drugim końcu linii.

– Co będzie pani potrzebne? – spytał. – Kartoteki, protokoły sprawy?

– Och, wielki Boże, nie! – zawołała Nancy. – Proszę tylko dostarczyć mi zdjęcie zrobione za życia ofiary, jej fotografię po zbrodni i mapę.

– To wszystko?

– Tak.

Moore'a znowu opadły wątpliwości. To wydawało się zbyt proste, za gładkie. Ta kobieta rozmawiała z nim tak, jakby była jego sąsiadką. Zawierzył rekomendacjom z Montgomery trochę wbrew własnej logice mówiącej mu, że podróż do Newark okaże się stratą czasu. W końcu jednak doszedł do wniosku, że byłoby niemądre uprzedzać się do tej kobiety tylko dlatego, że jej zachowanie nie pasuje do stereotypu myślowego, jaki on sobie wypracował na podstawie dotychczasowych doświadczeń.

Ulegając chwilowemu impulsowi, wziął ze sobą kartotekę sprawy, skopiowane raporty policyjne i zdjęcia podejrzanych: tych, których udało się dotąd zidentyfikować. Zabrał także slajdy miejsca zbrodni i rzutnik. Nie miał fotografii pani Leonetty Schilling po jej śmierci, bo ofiara została przewieziona do szpitala przed przybyciem policyjnego fotografa, a zdjęciami z przeprowadzenia autopsji jeszcze nie dysponował.

Trójka policjantów: Jim Moore, jego partner oraz sierżant, przyjechała tego wieczora do domu Nancy z nadzieją, że sprawa ruszy z miejsca. Jednak ta nadzieja była tak wąta, że ich wątpliwości przykrywała jedynie

cieniutką warstewką. Normalność mieszkania Nancy nie dodała im, niestety, otuchy: w sypialni klóciły się dzieci, pies obwąchiwał detektywom nogi, a w powietrzu unosił się jakiś kuchenny zapach, którego Moore nie potrafił rozpoznać.

Nancy przywitała przybyłych i po dokonaniu pospiesznej prezentacji zajęła miejsce w pobliżu przywiezionego przez Moore'a rzutnika.

Policjant chciał wyświetlić slajdy na ścianie, ale Nancy szybko wyciągnęła z piwnicy ekranik i sprawnie go rozłożyła. Potem opadła na swój ulubiony fotel bujany i spytała, w czym może pomóc.

Moore z trudem opanował pragnienie, by wstać i odejść – to wszystko wydawało mu się za bardzo zwyczajne.

– Rozpracowujemy przypadek, który sprawia nam trochę kłopotu – rozpoczął po chwili. – Mamy zwłoki kobiety, Leonetty Schilling, która w biały dzień została zamordowana we własnym domu. Błady strach padł na mieszkańców tamtej okolicy. Szczerze mówiąc, nie doszliśmy do niczego konkretnego; mamy wielu podejrzanych, ale nie potrafimy znaleźć metody skutecznej selekcji.

Nancy kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– Przywiózł pan zdjęcia?

– Nie mamy podobizny ofiary po zabójstwie, ale wziąłem ze sobą slajdy miejsca zbrodni. I jeszcze trochę takich. – wyciągnął rękę i podał Nancy kilka fotografii zrobionych podczas rozmaitych uroczystości rodzinnych Schillingów. Widniała na nich przystojna, starsza kobieta, sprawiająca wrażenie niezwykle opanowanej. Zaś przede wszystkim rzucała się w oczy jej macierzyńskość; widać było, że kocha dzieci.

Nancy pochyliła się do przodu i przesunęła dłonią nad powierzchnią jednego ze zdjęć, a potem poprosiła o wyświetlenie slajdów sceny zbrodni. Pozornie nie było w nich nic niezwykłego, ale ich widok wyzwolił w umyśle Nancy obrazy wydarzeń rozgrywających się owego dnia w przedstawionym na slajdach otoczeniu. Później Nancy zbadła mapę.

Na koniec odłożyła oglądane przedmioty na bok, przechyliła głowę i rozpoczęła relację o tym, co się zdarzyło Leonecie Schilling w ostatnim dniu jej życia.

Wobec braku zdjęcia ofiary Nancy spodziewała się, że emocjonalna intensywność wizji będzie mniejsza, otworzyła więc umysł na odbiór mocniej niż zazwyczaj. Okazało się to błędem.

Obrazy, które napłynęły, były przerażająco realistyczne.

Leonetta wita kogoś uśmiechem. To młody mężczyzna. Ona obejmuje go i ściska. Krótko i bezceremonialnie, ale z pewnym skrępowaniem, przeżywając, iż człowiek ów przyszedł po pieniądze. Żyma się wewnętrznie na tę myśl, bo niedawno odbyła z mężem nieprzyjemną rozmowę na temat dawania temu osobnikowi gotówki. Mąż utrzymywał, że ten mężczyzna nie zasługuje na to, żeby go wspierać finansowo; żądał od żony, żeby przestała trwonić dolary w taki sposób.

Pani Schilling zaprasza gościa do kuchni. Krząta się nerwowo wokół stołu, czując swoją niezręczność i zakłopotanie. Martwi się, że gość zaraz poprosi ją o pieniądze, jest zdenerwowana, a przez to staje się bardziej rozstrojona. Umysł przybysza jest niestabilny, to mieszanina reakcji charakterystycznych po wypiciu alkoholu i zażyciu narkotyków. Samokontrola mężczyzny maleje, a irytacja wzrasta.

Rozmawiają. Widzę ich siedzących przy stole. Jedzą obiad. Obraz zmienia się. Teraz oboje są znacznie młodszy. On leży na kanapie. A ona otula go kocem. Jakież ta kobieta ma w sobie ogrom miłości! Obchodzi się z chłopcem delikatnie, czyta mu jakąś książkę.

Matka? Nie, to nie te koligacje, choć ona ma dla niego wiele uczuć macierzyńskich. Nie jest to związek matki z synem, choć bardzo go przypomina. Łączą ich jednak więzy krwi.

Potem te obrazy znikają. Znowu napływa widok kuchni Schillingów. Mężczyzna prosi o pieniądze. Czyni to z rozdrażnieniem, nagłaco, jakby miał prawo żądać każdej kwoty. Jego sposób bycia wywołuje gwałtowną reakcję kobiety. Już poprzednio była zdenerwowana i trochę przerażona perspektywą konfrontacji, a teraz jego bezczelne żądanie wyzwala w niej nietypowe, apodyktyczne działanie.

Wybuchła złością wzorem matek, które czasami tracą cierpliwość przy nieznośnym dziecku. Zaskoczyła go tym, zresztą ta reakcja zdaje się dziwić i ją samą. Ale nie potrafi się opanować i gniew w niej narasta. Krzyczy na niego i wymyśla mu za brak odpowiedzialności, za krzywdę, jaką on lekkomyślnie wyrządza swoim rodzicom. Wie, jak mu dopiec, czym go urazić, najwyraźniej zna go na wylot.

On jest zraniony do żywego. Nie chce słuchać, co ta kobieta naprawdę o nim myśli. Wie przy tym, że ona ma rację, ale nie może tego znieść. Była dla niego kimś ważnym, a teraz wydaje mu się, że ona ma go za nic. Znalazł się w pułapce: nie ma dokąd pójść, nie ma powrotu, pozostaje mu tylko ucieczka w agresję. Teraz on krzyczy na nią, żeby zamilkła. Krzyczy i sprawia mu to ulgę. Potem, wyczuwając jej strach, zaczyna grozić. Obserwowanie strachu tej kobiety to dla niego satysfakcja. Wtedy ona próbuje się wycofać, usiłując odzyskać spokój i równowagę. Stara się z nim pomówić rozsądnie, ale w jakiś dziwny sposób każde jej słowo podsycia w nim wściekłość.

Mężczyzna wyciąga nóż. Najpierw z myślą, by ją porządnie nastraszyć. Potem to mu już nie wystarcza. Wbija w kobietę ostrze i czuje, że jego zagrożenie maleje. Uderza więc raz za razem. Z każdym ciosem wydaje

się sobie większy, potężniejszy, wierzy, że to on ma rację. A ona staje się w jego oczach coraz mniejsza i coraz bardziej maleje jej ważność, nie przestaje więc wymierzać razów.

Tak ją zaskoczył nagłym atakiem, że nie zareagowała dostatecznie szybko. Zasłoniła się ręką raz czy dwa, ale w zasadzie jego zachowanie podziało na nią paraliżująco. Było to dla niej niczym koszmarny sen. Z początku nie mogła niczemu zaradzić, a potem było już za późno.

Mężczyzna wypadł na dwór. Poplamiony krwią, dziwnie odprężony, radosny. Poczul na sobie czyjś wzrok, ale zupełnie się tym nie przejął. Pobiegł na tyły domu, gdzie wsiadł do zaparkowanej w pobliżu ciężarówce. Facetowi siedzącemu za kierownicą próbował opowiedzieć, co się wydarzyło. Ten się z początku przestraszył. Czytał sobie zwyczajnie gazetę, a tu nagle wpada pokrwawiony kumpel i zaczyna bezładnie o czymś rozprawiać. Potem jednak zaczął główkować, w jakie kłopoty mógł się kolega wpakować i ile z tego może spaść na niego. Nie był przy tym głupcem – zorientował się, że koleżka jest chwilowo niepoczytalny i niebezpieczny. Zadał mu więc tylko kilka zdawkowych pytań i odjechali.

Nancy otworzyła oczy i spojrzała w trzy zwrócone ku niej twarze.

– zaryzykowałabym stwierdzenie, że ona go znała od dawna. Wydaje mi się, że go wychowywała, kiedy był dzieckiem.

– coś pani wspomniała o świadku. Wypowiedziała pani zdanie, że facet poczul na sobie wzrok, gdy wyszedł z domu.

Nancy zamknęła oczy i powróciła duchem na miejsce zbrodni. Zobaczyła jakąś starszą kobietę patrzącą z któregoś z pobliskich domów. Czula, że tamta nie tylko znała Leonette, ale rozpoznała także mordercę. Opisała kobietę możliwie dokładnie.

Otworzyła oczy, a policjanci skwitowali jej relację kiwaniem głowami.

– Wiecie panowie, kogo opisałam? – zaciekała się.

Moore odparł, że chyba znają tę osobę. Rozmawiali z odpowiadającą opisowi Nancy kobietą z sąsiedztwa, ale zaprzeczała, jakoby widziała cokolwiek.

Nancy poprosiła o mapę i wskazała z grubsza usytuowanie domu świadka.

– Fronton budynku jest ozdobiony białymi stiukami – dodała.

Moore zanotował coś w notesie.

– Czy może nam pani powiedzieć jeszcze coś o napastniku?

Często zmienia pracę. Ten facet w ciężarówce to jego kolega, z którym teraz mieszka i pracuje. Obaj biorą narkotyki i piją. Ich obecne zajęcie ma coś wspólnego z budownictwem, ale nie są robotnikami wykwalifikowanymi; wykonują jakieś prace pomocnicze.

– Pani relacja brzmi tak, jakby pani naprawdę patrzyła na mordercę. Czy pani rzeczywiście widziała scenę zabójstwa?

– Tak.

– A gdybym pani pokazał zdjęcia osób podejrzanych i wśród nich byłby morderca, potrafiłaby go pani wskazać?

Nancy spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

– Być może – odparła. – Jak rozumiem, chcielibyście panowie, żeby tak było, czyż nie?

Cała trójka znowu kiwnęła głowami z minami pełnymi nadziei.

Moore wydobył teczkę podejrzanych i wręczył ją Nancy. Ona przekartkowała raporty policyjne, przejrzała fotografie i dokładnie obejrzała podpisy świadków w materiałach. Po przeglądnięciu ponad połowy materiałów raptem zatrzymała się przy jednym zdjęciu. Uderzyło ją w nim coś znajomego. Spojrzała nań uważniej. Było bardzo podobne do myślowego obrazu mordercy. Wypięła arkusik ze zdjęciem ze skoroszytu i odłożyła go na bok, pustą stroną do góry. Przyłapała się na tym, że kartka dziwnie ją rozprasza. Niby przeglądała dalsze zdjęcia, ale wciąż zerknęła na bok, choć nie jeszcze nie mówiła policjantom.

Od chwili gdy odłączyła zdjęcie od pakietu, oficerowie wlepiali w nią wzrok w milczeniu, starając się nie przeszkadzać w tym, co działo się na ich oczach; widać było, że umierają z ciekawości, by sprawdzić, kogo wybrała. W końcu Moore nie wytrzymał.

– Dlaczego pani odłożyła akurat to zdjęcie? – spytał.

– Bo sądzę, że to jest pański przestępca.

Wszyscy trzech policjanci niemal rzucili się na arkusik. Nancy odwróciła go do góry, żeby mogli zobaczyć, kogo przedstawia fotografia. Sierżant pierwszy rozpoznał osobnika na zdjęciu. Był niesłychanie zaskoczony.

– Proszę mi jeszcze nie mówić, kto to jest. Chcę najpierw przerzucić kartki do końca.

Pracowało jej się jednak teraz gorzej. Czula niecierpliwość policjantów i z trudem jej przyszło blokować się przed wpływem ich narastającego podniecenia. Musiała się bardziej koncentrować. Rozłożyła wachlarzyk pozostałych zdjęć i oglądała je kolejno.

Po przejrzaniu wszystkich sięgnęła po arkusik, który przedtem wybrała.

– Dla mnie ten człowiek na zdjęciu ma osobowość tak podobną do odebranego przeze mnie modelu indywidualności mordercy, jakby był jego bliźniaczym bratem – powiedziała. – Podobieństwo jest uderzające,

choć są i pewne różnice. Osobnik, który zabił panią Schilling, jest bardziej uzależniony od narkotyków niż ten na zdjęciu. Ale powtarzam, podobieństwo jest tak uderzające, że tego faceta należałoby sprawdzić.

– To jej siostrzeniec, Allen Finke – wyjaśnił Moore, z trudem hamując podniecenie. – umieściliśmy go na liście, bo miał pewne problemy finansowe, ale – prawdę mówiąc – niewiele zajmowaliśmy się jego osobą, bo według posiadanych przez nas informacji nie mógł być w pobliżu miejsca zbrodni. Zaliczyliśmy go do grupy najmniej podejrzanych.

Po wysłuchaniu relacji Nancy, Moore pogratulował sobie w duchu, że zwrócił się do niej dopiero po zakończeniu wszystkich podstawowych czynności dochodzeniowych. W przeciwnym razie nie miałby tej pewności, jaką miał teraz, że niemal wszystko, co powiedziała o finku, zgadza się z informacjami, które sami zdobyli na wstępnym etapie śledztwa. Wiedział również, że większość z tych danych nigdy się nie dostała na łamy gazet, a ta kobieta mówiła o nich, jakby je skądś знаła.

– Jest pewien szkopuł – ciągnął Moore – Finke ma żelazne alibi. Tamtego dnia pracował. Sam widziałem jego kartę pracy.

– Sprawdźcie go, panowie, jeszcze raz. Pogadajcie z tym facetem, który go podrzucił ciężarówką.

– On rzeczywiście ma kolegę, który z nim mieszka – zwrócił się Moore do sierżanta. – I obaj pracują w firmie budowlanej. Remontują domy.

– Czy ten facet, który zawiózł Finke’a na miejsce zbrodni, nie będzie przypadkiem uznany za współwinnego, ponieważ nie udzielił informacji policji?

– Zgadza się – potwierdził Moore.

Na koniec detektywi, żegnając się z Nancy, podziękowali jej szczerze. Moore zapłacił jej za współpracę, wsiedli do samochodu i ruszyli w kierunku Marylandu. Przez dłuższy czas w aucie panowała cisza. Pierwszy odezwał się sierżant:

– Szkoda, że już miesiąc temu nie zadzwoniliśmy do tej babki.

W tym momencie myśleli tak wszyscy trzej. Słowa te jakby przerwały tamę milczenia. Od tej chwili podniecenie, które udzieliło im się w związku z tym, czego niedawno byli świadkami, znalazło ujście w ożywionej konwersacji. Czuli się tak, jak po meczu baseballowym z udziałem samych sportowych gwiazd.

Wizyta u Nancy miała miejsce w piątek, 6 lipca. W poniedziałek rano Moore pojechał do zakładu pracy Finke’a i odbył rozmowę z jego szefem. Policja musiała postarać się, aby podważyć alibi Finke’a, inaczej bowiem, mimo przekazu Nancy, nie było sensu podążać tym tropem. Moore chciał rozpocząć od wyjaśnienia, czy ich podejrzany nie wyjeżdżał na długi lub późny lunch.

– To łatwo wyjaśnić – odparł szef firmy natychmiast gdy Moore powiedział mu w czym problem. – Allen Finke tego dnia nie pracował.

Moore spojrzął spod oka na swego partnera.

– Ależ ja przeglądałem kartę pracy z tamtego dnia. Finke figuruje w niej jako zatrudniony.

– To moja wina – przyznał kierownik. – Widzicie, panowie, tego ranka, jadąc do pracy, podjechałem po niego i jego kolegę, żeby ich podrzucić. Byłem pod ich mieszkaniem o siódmej rano, ale na moje pukanie nikt nie odpowiedział. Wszedłem do środka, ale oni byli w fatalnym stanie. Zupełnie nie nadawali się do wyjścia. Kompletna ruina!

– Wyszedł pan i zostawił ich?

– Powiedziałem im, że poczekam chwilę, aż się doprowadzą do porządku, ale kiedy się przywlekli do mojej ciężarówki, byli na takim kacu, że nie mogłem nawet myśleć o przydzieleniu im jakiejś roboty. Kazałem im wracać do łóżka, przespać się i dojść do siebie. Spóźniłem się przez nich do pracy i nie zdążyłem zmienić harmonogramu w karcie.

Detektywi byli naprawdę pod wrażeniem – w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od wizyty u Nancy trafili na ślad, którego szukali dotąd bezskutecznie. Ona skierowała ich uwagę na najmniej podejrzanego osobnika i po niewielkich wysiłkach jego alibi zostało podważone.

Teraz wzięli pod lupę kolegę Finke’a.

Przesłuchiwali go pełne dwa dni, poddając próbom na wykrywaczu kłamstwa. Facet z początku utrzymywał, że po wyjściu szefa spali do jedenastej lub jedenastej trzydzieści, potem wstali i wyszli z domu, żeby kupić narkotyki. Sprzedawca, do którego udawali się zwykle, kiedy byli splukani, mieszkał w Stony Creek, na Fort Smallwood Road, na trasie z Riviera Beach. Tego dnia jednak nie mieli szczęścia i wrócili do domu z pustymi rękami. Resztę dnia spędzili rzekomo w swoim mieszkaniu i na tym koniec.

– Słuchaj, koleś – powiedział Moore – twój kłopot polega na tym, że jak cię badaliśmy na wykrywaczu kłamstwa pytając, czy byłeś owego dnia koło domu Schillingów. To kiedy zaprzeczyłeś, urządzenie wykazało, że kłamiesz. Jak to wytłumaczysz?

– To przez to, że jechaliśmy wtedy po towar koło domu Schillingów – tłumaczył się przesłuchiwany.

Powtórzono badanie na wykrywaczu kłamstwa, tym razem jasno formułując pytanie:

– Czy byłeś koło domu Schillingów nie tylko przejazdem?

– Nie.

Aparat wykazał kłamstwo.

Na drugi dzień kolega Finke'a, bojąc się oskarżenia o współudział w morderstwie, zmienił zeznanie.

– Wstaliśmy o jedenastej, może jedenastej trzydzieści i postanowiliśmy zdobyć trochę narkotyków – zaczął.

– Pojechaliśmy do sprzedawcy mieszkającego w Stony Creek, ale albo go nie było w domu, albo żądał zapłaty gotówką, nie pamiętam. W każdym razie nic nie załatwiliśmy. Kiedy ruszaliśmy z powrotem, kumpel powiedział: „wiem, gdzie zdobyć trochę szmalu. Moja ciotka i wujek pojechali na wycieczkę do kasyna w Las Vegas. Chata jest pusta, a u nich w domu zawsze jest kupa forsy; tysiące dolców. Włamię się do nich i trochę ich skubnę.”

Moore poczuł narastające podniecenie – ta historia zaczęła pobrzmiewać nutą prawdy. Zbierając dane o Schillingu, detektyw dowiedział się, że biznesmen często wyjeżdżał na wycieczki organizowane dla graczy hazardowych i na ów dzień też był wpisany na listę jednej z takich imprez. Jednakże z uzyskanych informacji wynikało także, że ta właśnie wycieczka została odwołana, a Schilling nie załatwił sobie innego wyjazdu w tym terminie.

Kolega Finke'a zeznawał, że zajechał przed centrum handlowe znajdujące się za domem Schillingów i tam zaparkował. Finke wysiadł z pojazdu, przesadził płot i podszedł do tylnych drzwi domu ciotki. W tym momencie, według słów przesłuchiwanego, zajął on się czytaniem gazety i nic nie widział aż do powrotu kumpla. Ten zjawił się po kilku minutach oznajmiając, że nie zdołał zdobyć pieniędzy. Potem pojechali do domu.

Moore nie posiadał się z radości. Dzięki temu ważnemu świadkowi – o którego istnieniu do niedawna nic nie wiedzieli – mogli teraz głównego podejrzanego powiązać z miejscem zbrodni i czasem dokonania zabójstwa.

Moore wraz ze swoim partnerem przeprowadzili szereg rozmów ze sprzedawcami ze sklepów, znajdujących się na tyłach posesji Schillingów. Jeden z nich pamiętał ciężarówkę i potwierdził większość informacji podanych przez kolegę Finke'a. Po czterech dniach, licząc od wizyty u Nancy, Allen Finke został wezwany na przesłuchanie.

Jeśli Moore miał jakiegokolwiek wątpliwości co do osoby Finke'a, to mężczyzna swoim zachowaniem usilnie starał się je rozwiać. Od pierwszego dnia przesłuchań uczestniczył w wielogodzinnych, przedłużających się do późnego wieczora rozmowach, a kiedy policjanci proponowali mu wcześniejszy powrót do doniu, niezmiennie odmawiał. Chcę was przekonać, chłopcy, że nie jestem winien, mawiał. I choć oficerowie dochodzeniowi dawali mu się we znaki, bo wyciągali informacje od jego kolegów i współpracowników, zachowywał się przyjaźnie i okazywał ochotę do współpracy. Moore wiedział z doświadczenia, że człowieka niewinnego już dawno poniosłyby nerwy i zaczęłyby występować przeciw takiemu traktowaniu, używając wszelkich dostępnych, legalnych środków.

Ale nie Finke. Choć nie najlepiej mu poszło w badaniu na wykrywacza kłamstwa, a fragmenty jego relacji zmieniały się co chwila, jego postawa pozostawała przedziwnie przyjazna nawet wówczas, gdy prawda zaczynała wychodzić na jaw. Po jednej z rund przesłuchania przyznał w końcu, że w dzień morderstwa istotnie był w domu ciotki, utrzymywał jednak, że nie poszedł tam kraść, a jedynie pożyczyć pieniądze. W pewnej chwili przyznał nawet, że widział ciotkę martwą na podłodze, ale twierdził, iż nie wie, jak zginęła.

W trakcie przesłuchania Moore również zachowywał się uprzejmie w stosunku do podejrzanego, okazując skłonność do zaspokojenia jego każdego życzenia.

– Coca cola? Papierosy? Kąpiel? Na pewno nie chcesz, żebyśmy cię już podrzucili do domu? – pytał przynajmniej z tuzin razy w ostatnim dniu przesłuchania.

– Nie. Chcę wam udowodnić, panowie, że jestem niewinny – odparł Finke.

Na koniec, gdy zrobiło się późno, a oficerowie śledczy sami poczuli się zmęczeni, znów zaproponowali mu do wyboru: podwiezienie albo nocleg w komisariacie. Ku ich zdumieniu Finke postanowił zostać. Salę przesłuchań zamieniono w sypialnię i młodzieniec ułożył się w niej do spania.

Jednak w czwartek rano, gdy Moore przyszedł do pracy, niewyspany Finke powitał go krzywym uśmiechem i poprosił o odstawienie do domu. Nie chciał już rozmów. Moore zorganizował mu środek transportu, a sam zabrał się do segregowania zebranych materiałów i informacji. Wprawdzie nie uzyskali od Finke'a przyznania się do winy, ale mieli czyściutką sprawę poszlakową.

W czwartek rano, równo w tydzień po wizycie policjantów u Nancy, Allen Finke został aresztowany i oskarżony o zamordowanie Leonetty Schilling. Później dostał wyrok skazujący za morderstwo pierwszego stopnia, a choć jego adwokaci doprowadzili do drugiej rozprawy, ze względu na rzekomy błąd techniczny w pierwszym procesie, i tak ponownie został uznany winnym i skazany tak samo, jak za pierwszym razem.

Dziś Jim Moore powiada, iż wątpi, czy sprawa ta osiągnęłaby swój finał, gdyby nie konsultacja z Nancy.

Był to niemal klasyczny przykład tego, jak może być przydatna osoba paranormalnie uzdolniona – i to w sposób decydujący – w policyjnym śledztwie. Na rzeczniku prasowym policji praca Nancy wywarła tak duże wrażenie, że postanowił na własną rękę ogłosić światu jej sukces. Zdecydował się na bezprecedensowy krok udostępnienia prasie dokumentacji z relacji jej wizji i udzielił zgody na wydrukowanie ich wraz z informacją o aresztowaniu sprawcy we wszystkich liczących się dziennikach w Baltimore. Następnego ranka *Baltimore Sun*, jeden z dziesięciu najpoczytniejszych dzienników okręgowych, zamieścił na pierwszej stronie ogromny tytuł: „Siostrzeniec oskarżony o zabójstwo ciotki. Paranormalnie utalentowana kobieta pomaga ująć mordercę pani Schilling”. W gazecie zamieszczono duży artykuł o roli Nancy w rozwiązaniu zagadki krwawej zbrodni oraz drugi, mniejszy, o metodach jej pracy, na przykładzie współdziałania z detektywem Moorem.

Nadanie tej sprawie rozgłosu wprawdzie nie wyszło na dobre policyjnemu rzecznikowi, ale Nancy stała się obiektem chwilowej sensacji. Z całego wschodniego wybrzeża sygnął się szereg propozycji wywiadów dla prasy i radia.

Dopiero kilka dni później, gdy wrzawa ucichła, Nancy znalazła czas na spokojny wypoczynek. Chłopcy poszli na basen, Heidi spała, a matka malowała w swojej pracowni. Był słoneczny lipcowy dzień. Nancy, usadowiwszy się przy starym stole stojącym na patio z tyłu domu, rozkoszowała się ciepłem promieni słonecznych. Lipiec i sierpień lubiła najbardziej. Aura tych miesięcy przypominała jej Chile i cudowne dni dzieciństwa.

Dokoła fruwały motyle. Wpatrując się w kolorowe skrzydełka bijące powietrze, Nancy czuła, jak sływa na nią błogi spokój. Ktoś kiedyś nazwał ją motylem z napędem odrzutowym. Podobało jej się to porównanie. Zdawało się łączyć w sobie pojęcie kruchości i zwiewności jej przeżyć wewnętrznych, wrażliwości i współczucia dla ludzi z apetytem na życie. Uwolniona od ambiwalencji małżeństwa, Nancy tryskała energią; myślała jaśniej, a w pracy osiągnęła wyżyny dokładności.

Czekała na jakiś znak i dostała sprawę Schillingów, która przyniosła jej spektakularny sukces. A teraz jej rola w tej sprawie – właśnie tej, najlepiej rozwiązanej – została rzetelnie opisana w prasie. Przypadek? Chyba nie. Dłużej już nie musiała się martwić o to, że będzie nazywana dziwakiem czy potworem. To już minęło. Od tego czasu będzie kojarzona ze sprawiedliwym skazaniem zabójcy pani Schilling.

Pozwoliła sobie na chwilę satysfakcji, nawet dumy. Wraz z tą pewnością siebie przyszła nowa refleksja: być może problem polega nie tylko na tym czy kontynuować współpracę z policją, ale na odpowiedzi na pytanie: co więcej należy uczynić ze swym szczególnym darem? Zrozumiała przesłanie. Trzeba się coraz bardziej rozwijać, być coraz lepszą, podejmować wyzwania. Brać wszystko, cokolwiek Bóg zsyła, odegrać każdą rolę najlepiej jak można. Miliony ludzi wiedzą, że jest osobą, która pomaga policji łapać złoczyńców; przekonali się, że to potrafi i jest w tym dobra. Wykazało to jasno dochodzenie w sprawie morderstwa pani Schilling. Jaka będzie następna sprawa?

Epilog

Nancy nadal współpracowała z policją. W latach osiemdziesiątych brała udział w dochodzeniach równie intrygujących i interesujących jak te, opisane w „*Niemym świadku*”. Jednakże wiele z nich wciąż pozostaje nie rozstrzygniętych, inne są w trakcie postępowania sądowego, byłoby więc nietaktem opisywanie ich już teraz.

Zdarzenia przedstawione w niniejszej książce są tak niezwykle, że nawet najbardziej tolerancyjny czytelnik może się zastanawiać, czy jest jakieś inne potwierdzenie ich autentyczności oprócz wspomnień Nancy. Mimo, iż próbowałem umieścić w treści książki takie potwierdzenie chciałbym dodatkowo zapewnić czytelników, że współpraca Nancy z policją w każdej sprawie opisanej w tej książce została potwierdzona przez przynajmniej jednego z policjantów, a w wielu przypadkach przez kilku. Dodatkowym potwierdzeniem są artykuły prasowe i korespondencja.

Dialogi oraz interpretacja wrażeń i myśli przedstawionych w tej książce zostały odtworzone w porozumieniu z Nancy i innymi uczestnikami poszczególnych rozmów. Nie upieram się, że użyłem dokładnie tych samych słów, jakie padły prawie dwadzieścia lat temu, ale Nancy, na podstawie własnych wspomnień stwierdziła, że oddają one istotę głównych informacji, jakie były treścią tych rozmów.

Ponadto, celem uwiarygodnienia podanych tu wiadomości, niektóre rozdziały zostały oddane do sprawdzenia i weryfikacji oficerom, którym znane były opisane sprawy. Fragment o Aubreyu McKayu przeglądał Jack Sines, prowadzący śledztwo w tej sprawie. Większość materiału o Susie Spahn oddano do przejrzania Gregowi Sacco, który zapoznał się także z dialogami dotyczącymi sprawy Jacka White'a, a opis pracy Nancy w związku z podpaleniem, oceniali zarówno Sacco, jak i Williamsowie.

Wielu policjantów występujących w niniejszej książce odeszło już na emeryturę. Carl Williams odszedł z policji w 1982 roku i założył agencję detektywistyczną, której klientelę stanowią najbardziej wzięci prawnicy z Wilmington.

Greg Sacco w 1992 r. przeszedł na emeryturę w randze kapitana. Był wówczas komendantem specjalnej grupy dochodzeniowej. Obecnie jest szefem transportu christine school district w Newark.

Irvin B. Smith opuścił policję stanową w 1979 roku i w latach 1979–1981 piastował urząd szeryfa. Później został szefem policji miejskiej w Newcastle, a w 1984 roku otworzył prywatne biuro detektywistyczne.

Jim Moore odszedł na emeryturę w 1992 roku i zrobił karierę jako pisarz. Tematem jego książek były interesujące sprawy dochodzeniowe.

Jack White, dzięki heroicznym wysiłkom rodziny, a zwłaszcza matki, odzyskał przytomność, choć nadal ma ogromne trudności z mową i jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Mieszka wraz z matką w Bear, w stanie Delaware.

Bill Bonds wrócił do domu i skończył uniwersytet w Ohio, zdobywając dyplom magistra ekonomii. Jest obecnie wiceprezesem firmy Helical Line Products, jest żonaty i ma dwie córki. Mieszka z rodziną w Bay Village nad jeziorem Erie i namiętnie uprawia żeglarstwo.

Sprawa Schillingów ściągnęła na Nancy uwagę wielu środków masowego przekazu. Od owego czasu Nancy stała się częstym gościem radia i telewizji. Wywiady z nią ukazywały się wielokrotnie w czasopiśmie o zasięgu ogólnokrajowym.

W 1981 roku przeprowadziła się do Pittsburga, a w 1982 wyszła po wtórnie za mąż za Steve'a Czetliego. Podejmowali później wiele wspólnych działań; owocem jednego z nich jest niniejsza książka. Obecnie Nancy stara się łączyć pracę z policją, sesje dla osób prywatnych i prelekcje z obowiązkami matki.

Heidi, uczennica szkoły średniej, kilka lat temu odkryła w sobie skłonności i talent do jazdy figurowej na lodzie. Obecnie bierze udział w zawodach rangi krajowej i lokalnej.

Małomówność Trvisa minęła w szkole średniej, gdy osiągnął imponujący wzrost metr osiemdziesiąt, a jego poczucie humoru i miły sposób bycia zjednały mu wielu przyjaciół. Szkołę średnią ukończył w 1992 roku, a obecnie pracuje w firmie Keebler Co.

Blake stwierdził, że jego życiowym powołaniem jest gotowanie, wyuczył się więc na kucharza.

George, pies Nancy, dożył psiego sędziwego wieku, a obecnie George II, podobny do dawnego pupila, usiłuje z powodzeniem zająć miejsce swego poprzednika.